

HYBRYDA

Pismo Artystyczno-Literackie Stowarzyszenia Twórczego POLART

Nr 28/2016



Renata Bonczar – *Niespokojny czas*, olej na płótnie, 92 x 100 cm

Nr 28/2016

W numerze:

Joanna Krupińska-Trzebiatowska Słowo od redaktora	2
Joanna Krupińska-Trzebiatowska Nasza rzeczywistość	5
Józef Lipiec Człowiek: Odkrywcą i twórcą	9
Ignacy S. Fiut W poszukiwaniu nowego modelu egzystencjalnego człowieka. W 55 rocznicę śmierci Alberta Camusa	15
Anna Szklarska Życie i upływ czasu w ujęciu Jeana Amery	23
Ryszard Sławczyński Samochodem przez Kresy	26
Marek Dunin-Wąsowicz Golgota księdza Bronisława	37
Jerzy Tuszewski Krótka opowieść o lotniku - podwójnym agencie, który oszukał Hitlera	41
Krystyna Szlaga Wiersze	48
Marek Soltysik Darmowy Wiśniarz w twoim living roomie!	49
Danuta Perier-Berska Wiersze	58
Stanisław Dziezic Chcę pieśni innej... U genezy krakowskiego teatru.	59
Jurata Bogna Serafińska Analiza bajki Bajka świetlista	73
Andrzej Bogunia-Paczyński Czerwono-Czarni. Reaktywacja po krakowsku	78
Barbara Wyrzycka Darowizna	84
Ewa Zelenay Wiersze	87
Ignacy S. Fiut Detale emocjonalne w poezji	89
Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska Moda na festiwale	91
Bolesław Faron - "Sądecki Autor"	94
Janusz Trzebiatowski na Targach w Karlsruhe	95
Marek Soltysik Złączone w blasku. O najnowszych obrazach Janusza Trzebiatowskiego	96
<i>Sztuka włókna</i> - wystawa Ewy Poradowskiej-Werszel	98
Maciej Szczawiński Wykres	101

A

D

Y

R

B

Y

H



MEDAL XXV-LECIA S.T. POLART

autor Jerzy Nowakowski

SŁOWO OD REDAKTORA

Szanowni Państwo,

minęło dwadzieścia pięć lat od dnia, w którym osiemnastoosobowa grupa krakowskich artystów podjęła decyzję o utworzeniu Stowarzyszenia Twórczego POLART.

Był to czas przemian ustrojowych, stopniowej dekomunizacji systemu w rezultacie rozmów toczących się przy okrągłym stole pomiędzy przedstawicielami opozycji a władzami PRL-u, stojącymi wobec widma kolejnej fali strajków na niespotykaną dotąd skalę. (Brutalna pacyfikacja strajku w Hucie im. Lenina w maju 1988 r. nie zahamowała fali strajków). Władze chciały skłonić opozycję do udziału w tzw. niekonfrontacyjnych wyborach parlamentarnych, które zapewnić miała wspólna lista krajowa, na której znaleźć się mieli członkowie reprezentanci obu stron. (Ustępstwem ze strony władz były całkowicie wolne wybory do Senatu, co dawało szansę na stworzenie organu państwa o w pełni demokratycznym charakterze). Ze strony opozycji w trakcie negocjacji pojawiło się jako warunek *sine qua non* – żądanie legalizacji „Solidarności”. W styczniu 1989 r. KC PZPR przyjął uchwałę o pluralizmie związkowym, która stanowiła zgodę na legalizację „Solidarności”, co nastąpiło 17 kwietnia 1989 r. na mocy Ustawy z dnia 7 kwietnia 1989 r. *Prawo o stowarzyszeniach*.

Ta ustawa, nowelizowana później kilkakrotnie, pozwoliła na powstanie ogromnej liczby organizacji pozarządowych działających w sferze pożytku publicznego, a w tym POLART-u.

W tym miejscu wypadałoby zapytać, co osiągnęliśmy na przestrzeni minionego ćwierćwiecza. Jaki duch sprawił, że stowarzyszenie, utrzymujące się wyłącznie ze składek członkowskich, zdołało nie tylko przetrwać, ale umocnić się do tego stopnia, że ma obecnie ponad stu członków, organizuje liczące się w świecie sztuki wystawy, koncerty, spotkania autorskie i międzynarodowe festiwale, a co więcej, od ponad piętnastu lat wydaje własne pismo o statusie czasopisma naukowego. Można powiedzieć, że jest to efekt osobistego ogromnego zaangażowania w pracę na rzecz tej wyjątkowej społeczności bardzo wielu osób, nie tylko artystów, wiedzionych najwyraźniej potrzebą łączenia się w grupę, która poza zapewnieniem im poczucia przynależności do pewnej wspólnoty, stawia sobie za cel nadrzędny promocję sztuki współczesnej. Pełnieniu tej misji sprzyja



interdyscyplinarny charakter POLART-u, dzięki czemu wernisażom towarzyszą koncerty, a poeci dedykują muzykom swoje wiersze.

Tak będzie i tym razem podczas czwartej edycji Międzynarodowego festiwalu *Związki pomiędzy kulturą południa a północy /Schubert–Chopin–Grieg/ wzajemne inspiracje i rezonans w malarstwie i literaturze*, który niebawem rozpocznie na Zamku Królewskim w Niepołomicach wystawa malarstwa i rzeźby. Inauguracji Festiwalu – pod patronatem i przy wsparciu finansowym Marszałka Województwa Małopolskiego Jacka Krupy – towarzyszyć będzie koncert klawesynowy w wykonaniu prof. Elżbiety Stefańskiej.

Szczegółowy program festiwalu zamieszczamy poniżej, a razem z bieżącym numerem naszego pisma oddajemy Państwu do rąk Katalog *XVIII Wielki Salon Sztuki POLARTU*. Ta dziewiętnasta z kolei wielka zbiorowa wystawa, w której zwyczajowo biorą udział wszyscy twórcy należący do naszego stowarzyszenia, w tym roku różni się od poprzednich tym, że wezmą w niej udział również ci, którzy już od nas odeszli, a pozostawili po sobie niezatarte ślady: współzałożyciel POLART-u i pierwszy jego wiceprezes Andrzej Pollo, niezapomniany aktor i malarz w jednej osobie Krzysztof Litwin, wybitny grafik Waldemar Świeży, czy wreszcie laureat wielu polartowskich medali Stanisław Batruch.

A co do samej *HYBRYDY* – jak zwykle rekomendować jej nie ma potrzeby – a co za tym idzie, życzę Państwu miłej lektury.

Joanna Krupińska-Trzebiatowska



IV MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL

ZWIĄZKI POMIĘDZY KULTURĄ POŁUDNIA A PÓŁNOCY
/SCHUBERT-CHOPIN-GRIEG/ WZAJEMNE INSPIRACJE
I REZONANS W MALARSTWIE I LITERATURZE

2016



Patronat honorowy: Jacek Krupa – Marszałek Województwa Małopolskiego

W ZAMKU KRÓLEWSKIM W NIEPOŁOMICACH

7 kwietnia – Uroczyste otwarcie IV Międzynarodowego Festiwalu

18.00 Wernisaż XVIII SALON SZTUKI POLARTU

Koncert kameralny: Elżbieta Stefańska – klawesyn



7 maja – Finisaż wystawy XVIII SALON SZTUKI POLARTU

18.00 Koncert symfoniczny:

Sinfonietta Cracovia

Tadeusz Strugała – dyrygent

Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska – fortepian



30 maja – Koncert kameralny:

18.00 Bogusława Hubisz-Sielska – altówka i Mariusz Sielski – fortepian



27 czerwca – Koncert Finałowy:

18.00 Renata Żelobowska-Orzechowska – fortepian i Mariusz Pędziałek – obój

Uroczyste zamknięcie Festiwalu



W KLUBIE DZIENNIKARZY "POD GRUSZKĄ" W KRAKOWIE

24 maja – Koncert kameralny:

18.00 Malwina Lipiec – harfa i Maria Ołdak – skrzypce

Promocja książki Józefa Lipca *Filozofia miłości*

Wystawa Jednego Dzieła Janusza Trzebiatowskiego



JOANNA KRUPIŃSKA-TRZEBIATOWSKA



POLSKA RZECZYWISTOŚĆ

Czas, w którym zostało powołane do życia Stowarzyszenie Twórcze POLART, był czasem nadziei, a dla niektórych – a w tym nieprzystosowanych do społecznej i politycznej rzeczywistości i zepchniętych na margines życia społecznego przedstawiciele przedwojennych elit – czasem euforii. Bo oto na ich oczach rodziła się Wolna Polska. Polska, dla której przodkowie przelewali krew w powstaniach listopadowym i styczniowym i wiedli katorżnicze życie na Syberii. A że ta wolność wywalczona została przez klasę robotniczą, z którą tak niewiele mieli wspólnego, było widowym dowodem, że tamta epoka przeminęła bezpowrotnie.

– *O tempora, o mores!*¹ – wykrzyknąłby zapewne mój zastrzelony przez zwolnionego z pracy pracownika dziadek, nie mogąc uwierzyć, że w niespełna 50 lat po jego śmierci, właśnie robotnicy wzniesli bunt w obronie demokracji.

– Historia zatoczyła koło. Znowu ktoś domaga się przywrócenia swobód obywatelskich, znowu poleje się krew – powiedziała moja mama, wpatrując się z niedowierzaniem w ekran telewizora po podpisaniu *Porozumień sierpniowych* w 1981 roku. Nie była zaskoczona, gdy 13 grudnia wprowadzono stan wojenny a trzy dni później padły strzały w pacyfikowanej siłami milicji oraz wojska Kopalni „Wujek”.

Jako córka dyplomowanego majora Wojska Polskiego pamiętała marsz wojsk Józefa Piłsudskiego na Warszawę w maju 1926 roku, a jej ojciec znał osobiście dowodzącego obroną stolicy w imieniu legalnego rządu Wincenego Witosa generała Tadeusza Rozwadowskiego oraz szefa sztabu dowódcy obrony Warszawy generała Andersa.

Po przewrocie majowym rząd Witosa podał się do dymisji, a prezydent Stanisław Wojciechowski złożył urząd. 31 maja Zgromadzenie Narodowe wybrało Piłsudskiego na prezydenta RP, ale ten odmówił objęcia tego urzędu, rekomendując nań prof. Ignacego Mościckiego, sam natomiast objął tekę ministra spraw wojskowych, przewodniczącego Rady Wojennej i generalnego inspektora Sił Zbrojnych.

Później jeszcze dwukrotnie sprawował urząd premiera – w 1926 roku oraz w latach 1928 i 1930.

Przewrót majowy oznaczał koniec rządów parlamentarnych opartych na *Konstytucji marcowej* – wprowadzonej Ustawą z 17 marca 1921 – uznającej monteskiuszowską koncepcję trójpodziału władz. Tym samym zaprzęszczone zostało wszystko to, co Polska zyskała po odzyskaniu niepodległości. Początki tej niepodległości były trudne, jeśli zważyć, iż pierwszą ofiarą walki politycznej o władzę stał się wybrany przez Sejm I kadencji – zamordowany 16 grudnia 1922 w warszawskiej Zachęcie przez endeckiego fanatyka Eligiusza Niewiadomskiego – prezydent Gabriel Narutowicz. Ten wybitny naukowiec, profesor Politechniki w Zurychu, był kandydatem PSL „Wyzwolenie” akceptowanym przez Józefa Piłsudskiego, lecz spotkał się z wrogim przyjęciem ze strony środowisk narodowo-prawicowych – popierających hrabiego Maurycego Zamoyskiego – a w tym również osławionego dowódcę „Błękitnej Armii” generała Józefa Hallera.

Autorytarne rządy sanacji trwały aż do wybuchu II wojny światowej, pomimo protestów środowisk inteligentnych oburzonych procesem brzeskim, obozem w Berezie Kartuskiej oraz serią morderstw politycznych, jak to dokonane na osobie gen. Włodzimierza Zagórskiego, który rzekomo zaginął, lecz którego po raz ostatni widziano 6 sierpnia 1927 roku w Warszawie po przewiezieniu z wileńskiego więzienia, gdzie notabene był przez ponad rok bezprawnie przetrzymywany w urągających ludzkiej godności warunkach.

Generał w latach 1911-1914 pełnił służbę w centrali austriackiego wywiadu wojskowego K-Stelle, mającej swoje komórki w różnych miastach na ziemiach polskich i wtedy po raz pierwszy zetknął się z Piłsudskim, który jako zwerbowany agent do tajnej, płatnej współpracy, informował m.in. o nastrojach panujących w zaborze rosyjskim, a także położeniu carskich wojsk.

Po odzyskaniu niepodległości Zagórski wielokrotnie publicznie twierdził, iż w każdej chwili może ujawnić kompromitujące piłsudczyków materiały dokumentujące agenturalną współpracę przedstawicieli PPS, a w tym również Józefa Piłsudskiego, z wywiadem austriackim. Razem z gen. Zagórskim uwięziony został gen. Tadeusz Rozwadowski, który zmarł wkrótce potem, a także gen. Malczewski i gen. Jaźwiński. Biorący udział w obronie legalnego rządu generał Haller przeniesiony został natomiast w stan spoczynku. Również skonfliktowany z Józefem Piłsudskim Władysław Sikorski 19 marca 1928 został odwołany ze stanowiska dowódcy VI Okręgu Korpusu we Lwowie, pomimo że czynnego udziału w obronie legalnego rządu nie brał, bo przebywał akurat w tym czasie we Lwowie.

Nie był to jednak koniec rozprawy z opozycją skupioną w Centrolewie. W dniu 30 sierpnia 1930 roku prezydent Ignacy Mościcki na wniosek Józefa Piłsudskiego, jako premiera, rozwiązał Sejm II kadencji wyłoniony w wyniku wyborów przeprowadzonych w Polsce 4 marca 1928, po czym w nocy z 9 na 10 września dokonano aresztowania kilkunastu posłów, którym wygasł immunitet poselski. Wśród aresztowanych przywódców znalazł się były premier Wincenty Witos. Ponadto aresztowano wielu działaczy terenowych Centrolewu oraz byłego działacza BBWR Józefa Baćmagę, pod zarzutem rzekomych nadużyć finansowych, a to w celu nadania sprawie zabarwienia kryminalnego. W ciągu następnych tygodni aresztowanych na dłuższy lub krótszy czas zostało około 5 tys. osób, wśród nich 84 byłych parlamentarzystów. Nie udało się utrzymać w tajemnicy aresztowań i miejsca przetrzymywania więźniów. 14 września odbyło się wiele wieców Centrolewu, na które przybywały tysiące poruszonych obywateli i działaczy partyjnych manifestujących solidarnie dezaprobatę wobec panującej sytuacji i żądających uwolnienia więźniów. Piłsudski rozprawiał się w Warszawie z manifestantami przy pomocy silnych oddziałów policji pieszej i konnej.

Prokurator zarzucał oskarżonym, że w okresie od 1928 r. do 9 września 1930 r. „po wzajemnym porozumieniu się i działając świadomie, wspólnie przygotowywali zamach, którego celem było usunięcie przemocą członków sprawującego w Polsce władzę rządu i zastąpieniu ich przez inne osoby, wszakże bez zmiany zasadniczego ustroju państwowego”. Ostatecznie po długotrwałym i skandalicznym procesie dziesięciu posłów PPS, PSL Piast i PSL Wyzwolenie, zostało skazanych na kary od półtora roku – Witos – do trzech lat pozbawienia wolności – Dubois, Ciołkosz, Mastek, Pragier i Putek.

Było tajemnicą poliszynela, że kolejne wybory do sejmu 16 listopada 1930, nazywane przez przeciwników sanacji wyborami brzeskimi, zostały sfałszowane, przez co

partie opozycyjne wchodzące w skład Centrolewu poniosły znaczącą klęskę. Wygrał Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem, utworzony w 1927 roku przez blisko związanego z Marszałkiem pułkownika Walerego Sławka.

Po śmierci Józefa Piłsudskiego na posiedzeniu Rady Gabinetowej w nocy z 12 na 13 maja 1935 roku prezydent Ignacy Mościcki zdecydował, że generalnym inspektorem Sił Zbrojnych zostanie Edward Rydz-Śmigły, pomimo że umiarkujący marszałek namaścił na to stanowisko Walerego Sławka. Z tego głównie powodu zaczął narastać konflikt pomiędzy premierem a mającym coraz poważniejsze aspiracje polityczne prezydentem Mościckim. Również Rydz-Śmigły darzył niechęcią szefa rządu i ostatecznie po wyborach do Sejmu IV kadencji przeprowadzonych we wrześniu 1935 roku miejsce Sławka zajął Marian Zyndram-Kościałkowski. Wcześniej jednak Sławek rozwiązał BBWR, czemu ostro sprzeciwili się zarówno Mościcki, jak i Rydz-Śmigły. Ostre protesty i to nie tylko ze strony Sławka, budziło kreowanie Rydza-Śmigłego na następcę Józefa Piłsudskiego. W okólniku z 13 lipca 1936 kolejny premier RP, Felicjan Sławoj-Składkowski, przyznał „generałowi Śmigłemu (...) miejsce pierwszej w Polsce osoby po Panu Prezydencie Rzeczypospolitej” oraz obligował wszystkich funkcjonariuszy państwowych z prezesem Rady Ministrów na czele do okazywania Mu (...) posłuszeństwa. Dokument ten w sposób oczywisty naruszał porządek państwowy – system prezydencki o charakterze autorytarnym – wprowadzony *konstytucją kwietniową* w 1935 roku. Nie bacząc na to, 10 listopada 1936 roku prezydent Mościcki mianował Śmigłego generałem broni i jednocześnie marszałkiem Polski.

Do graczy na arenie politycznej Polski międzywojennej należał pułkownik Adam Koc, który po śmierci Piłsudskiego utworzył – z myślą o dalszym ograniczaniu skuteczności działania demokratycznej opozycji – Obóz Zjednoczenia Narodowego, na czele którego stanął generał Stanisław Skwarczyński i marszałek Śmigły-Rydz. Wcześniej rozwiązany został, założony w 1926 roku przez Dmowskiego, Obóz Wielkiej Polski i to pod zarzutem zagrożenia bezpieczeństwa publicznego. Reżim zwalczał opozycję wszelkimi metodami, ale nie zdołał jej unicestwić.

Wyjazd na emigrację Witosa oraz pozostałych więźniów brzeskich sprawił, że najaktywniejsi spośród przywódców antysanacyjnych w Stronnictwie Ludowym znaleźli się za granicą. W kwietniu 1935 roku w związku z groźbą aresztowania opuścił Polskę Wojciech Korfanty, któremu zarzucono dokonanie malwersacji gospodarczych, co było, rzecz jasna, pretekstem do wyeliminowania go z życia politycznego. Wtedy generał Sikorski zorganizował spotkanie Paderewskiego, Witosa oraz generała Józefa Hallera w Riond Bosson, a równocześnie prowadził rokowania z emigrantami Hermanem Liebermanem i Wojciechem Korfantym oraz najprawdopodobniej

z przedstawicielami innych grup, w tym ze Stronnictwem Narodowym, zamierzając utworzyć szerokie porozumienie, które połączyłoby większość legalnej opozycji – od PPS-u, aż po Stronnictwo Narodowe (SN).

16 lutego 1936 roku w Morges w willi Paderewskiego doszło do debaty Sikorskiego, Witosy i Hallera nad planami przygotowania w Polsce przewrotu i usunięcia wojskowego reżimu. Dostrzeżono potrzebę zjednoczenia społeczeństwa wokół idei zniesienia sanacji i przywrócenia systemu demokratycznego w Polsce, przeprowadzenia wyborów, w wyniku których miałby powstać rząd popierany przez większość narodu. Wyniki narady oznaczały pójście zaproponowaną przez generała Sikorskiego drogą, łączenia różnorodnych stronnictw kierowanych przez zakonspirowany, jednolity ośrodek. Po zebraniu ogłoszono lakoniczny komunikat, który opublikowano w czasopiśmie francuskich.

W dniu 27 lutego 1936 roku odbyła się następna narada, tym razem w miejscowości Palkowice na terenie Czechosłowacji, w posiadłości posła czeskiego parlamentu Wacława Wolnego. Na spotkaniu zjawili się Korfanty wraz ze swoim bliskim współpracownikiem doktorem Tempką oraz Witos, Popiel, pułkownik Modelski, przedstawiciel Stronnictwa Narodowego Morszewski oraz generał Januszajtis. Nie pojawili się za to Feliks Młynarski i Stanisław Mikołajczyk. Uczestnicy konferencji zgodzili się na zarys porozumienia wstępnego. Zamierzali powołać Ignacego Paderewskiego na stanowisko prezydenta, a Wincenego Witosy na stanowisko premiera. Żądali przywrócenia demokracji i zacieśnienia współpracy z Francją.

Nie obeszło się wszelako bez animozji. Roman Dmowski dostrzegał w Sikorskim nazbyt gorliwego sympatyka Francji i obawiał się, iż francuskie naciski i wpływy będą przez osobę Sikorskiego popychały Front Morges do szerszej współpracy z żydowską i masonską międzynarodówką. Działające w kraju Stronnictwo Ludowe nie angażowało się zbyt w emigracyjne przedsięwzięcie Witosy. Ostatecznie doszło do połączenia Chrześcijańskiej Demokracji z NPR i w ten sposób powstało Stronnictwo Pracy na czele z generałem Hallerem, które wraz ze Związkiem Halerczyków miało stanowić podstawę Frontu Morges. Po stronie Frontu Morges opowiedzieli się lewicowcy PPS-u, między innymi Lieberman, Dubois, Borlicki, a co więcej uzyskał on też poparcie części ziemiaństwa i kręgów wielkoprzemysłowych.

W opinii polityków Frontu, przeciwnikiem pozostawały Niemcy a naturalną sojuszniczką Francja. Polityka Frontu zyskała szersze poparcie w chwili aneksji Austrii, gdy okazało się, że jedynym sposobem przeciwstawienia się potędze III Rzeszy jest stworzenie obronnego bloku składającego się z Rumunii, Czechosłowacji i Polski. Blok ten miał być dodatkowo rozszerzony na południe i

północ i w dalszym ciągu ściśle współpracować z demokracjami zachodnimi. Jednocześnie Morżowcy, z generałem Sikorskim na czele, demaskowali dążenia Wielkiej Brytanii do zabezpieczenia własnego spokoju kosztem przyzwolenia na podbój Etiopii przez Włochy oraz na dominację III Rzeszy na obszarze Europy Środkowo-Wschodniej a także na oddanie hitlerowcom wolnej ręki w kwestii Wschodu. Sikorski jednak nadal łudził się, iż Francja i Anglia opamiętają się i w końcu nie dopuszczą do zajęcia przez Hitlera Czechosłowacji.

Niestety okazało się, że Front nie jest zdolny do przeprowadzenia „narodowej konsolidacji”, nie potrafi, a może też nie chce, przeprowadzić reform umożliwiających rozwiązanie najbardziej palących konfliktów w Polsce i nie zdoła doprowadzić do obalenia rządów pułkowników.

Na marginesie wspomnę, że w walce z obozem sanacji i jego proniemiecką polityką stracił życie mój dziadek, a ów rzekomo zwolniony z pracy zamachowiec, bojówkarz PPS, został zlikwidowany na miejscu zdarzenia, jako potencjalnie niewygodny świadek mogący ujawnić swoich mocodawców. Ten proces, którego tezę wiodącą był rzekomy motyw zemsty ze strony zwolnionego pracownika oraz jego samobójstwo na miejscu zbrodni, też był parodią wymiaru sprawiedliwości i nie prowadził żadną miarą do ustalenia osób, które zleciły dokonanie zbrodni.

Dwa lata po tragicznej śmierci Michała Wąsowicza, Walery Sławek został marszałkiem sejmu, tym razem głosząc hasła poszanowania prawa. Pomimo poparcia ze strony wdowy po marszałku, Aleksandry Piłsudskiej, było już zdecydowanie za późno na bezkrwawe przywrócenie demokracji. We wrześniu 1938 roku na rok przed końcem kadencji, prezydent Mościcki rozwiązał parlament, a w nowych wyborach przepadł zarówno Sławek jak i jego pułkownicy. Zanośli się na nowy zamach stanu. Takie plotki krążyły w kołach rządowych, a częściowo potwierdziła je w marcu 1939 roku nagła choroba prezydenta Mościckiego, co do której padły supozycje, że była wynikiem podania głowie państwa trucizny. Prezydent wprawdzie przeżył, Warszawą wstrząsnęła natomiast 3 kwietnia 1939 roku wiadomość o samobójczej śmierci Walerego Sławka. Ostatnią osobą, która widziała Sławka przed samobójczym strzałem, był Bohdan Podolski, który odwiedził go w mieszkaniu przy alei Szucha i twierdził później, że Sławek, z całą pewnością, samobójstwa nie planował, gdyż umówił się z Michałem Brzękiem-Osińskim, że pojedą tego dnia razem do Raławic, a co więcej zamówił konia i powóz. Kula utkwiała w podniebieniu i Sławek jeszcze żył, gdy go znaleziono, a wśród piłsudczyków panowało powszechne przekonanie, że Sławek został zastrzelony właśnie na polecenie prezydenta Mościckiego. Oficjalnie takiego zarzutu nikt nie wysunął, ale w kręgach bliskich prezydentowi mówiło się, że podejrzewał on Sławka o zorganizowanie zamachu na swoją osobę.



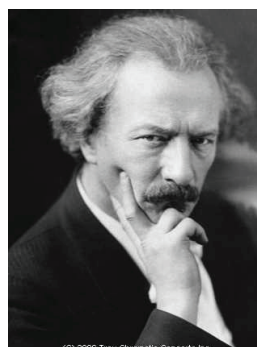
gen. Tadeusz Rozwadowski



gen. Włodzimierz Zagórski



gen. Józef Haller



Ignacy Jan Paderewski



gen. Władysław Sikorski

Każdy zamach na demokrację bywa bolesny, a nabiera dramatycznego wręcz wymiaru, jeśli przeciwników eliminuje się z życia politycznego za pomocą wymiaru sprawiedliwości, rękami sędziów i prokuratorów podporządkowanych totalitarnie sprawowanej władzy albo wręcz za pomocą skrytobójczych zamachów.

Nie zamierzam czynić tu odniesień do tragicznie kończących się procesów w okresie stalinowskiego terroru, w wyniku których tracili życie ludzie całkowicie niewinni, walczący o wolność Polski działacze Armii Krajowej, ani do procesów przeciwko działaczom opozycji w okresie stanu wojennego, ani nawet stawiać znaku równości pomiędzy przewrotem majowym a wprowadzonym dekretem Rady Państwa 13 grudnia 1981 roku stanem wojennym, pragnę jedynie podkreślić, że każde naruszenie równowagi pomiędzy władzą ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą może być groźne w skutkach. W tych kategoriach też postrzegam zamach na Trybunał Konstytucyjny. Oby to nie był pierwszy krok w kierunku zaprzepaszczenia wszystkiego, co kraj zyskał w wyniku obrad Okrągłego Stołu. Pamiętajmy, że historia kołem się toczy...

A co do zarzutów stawianych Lechowi Wałęsie zachowałabym daleko idącą ostrożność w wypowiedaniu wszelkich sądów, wychodząc z założenia, że rozważanie, czy mielibyśmy dzisiaj inną Polskę, gdyby był otwarcie przyznał, że był „Bolkciem” – przypomina bicie piany nader widoczne w toczących się wokół tego tematu debatach telewizyjnych.

Jak na razie żaden z niewygodnych świadków życia nie stracił, a aferę teczkową miała już II Rzeczpospolita. Po odzyskaniu niepodległości rozpoczęła się zakrojona na szeroką skalę operacja niszczenia fizycznych dowodów agenturalnej przeszłości Naczelnika, a jego podwładni penetrowali archiwa i wynosili stamtąd wszystko, co tylko się dało.

Z perspektywy historii patrząc, nie umniejsza zasług Józefa Piłsudskiego dla odzyskania przez kraj niepodległości fakt, że w okresie poprzedzającym wybuch pierwszej wojny światowej posunął się do kolaborowania z zaborcą, bo tak tylko można nazwać jego szpiegowskie

działania na rzecz Austriaków, od których notabene brał za to pieniądze. To na co je przeznaczał, to już zgola inna rzecz. Stąd też brał się późniejszy konflikt pomiędzy Marszałkiem a doskonale wyszkoloną kadrą oficerską II Rzeczypospolitej wywodzącą się jeszcze z armii austriackiej – generałami Włodzimierzem Zagórskim, Józefem Hallerem, Tadeuszem Rozwadowskim, Władysławem Sikorskim. Oliwy do ognia dołał fakt, że Zagórski, jako szef sztabu Komendy Legionów, został przełożonym Piłsudskiego, pozostającego wówczas w randze brygadiera. Jesienią 1918 roku gen. Tadeusz Rozwadowski uzyskał stanowisko szefa Sztabu Generalnego odradzającego się Wojska Polskiego, na mocy decyzji Rady Regencyjnej; już po ogłoszeniu przez nią niepodległości.

Z kolei po zabójstwie Gabriela Narutowicza, marszałek Sejmu Maciej Rataj desygnował na szefa rady ministrów generała Władysława Sikorskiego. W jego gabinecie ministrem spraw wojskowych został generał Kazimierz Sosnkowski, który dążąc do kompromisu z piłsudczykami, powołał Józefa Piłsudskiego na stanowisko szefa Sztabu Generalnego.

Piłsudski nigdy nie zdołał dojść z Rozwadowskim i podlegającym mu służbowo Zagórskim do porozumienia, ale z racji ich wielkich zasług na polu wojennym, a zwłaszcza w wojnie polsko-bolszewickiej, było mu niezmiernie trudno pozbyć się ich dopóki sami nie dali mu ku temu pretekstu. Mało znanym pozostaje fakt, że tylko doskonała strategia generała Rozwadowskiego zdołała uratować w 1920 roku Warszawę przed Moskalami. To on sprawił, że nad Wisłą zdarzył się cud...

Przypisy:

1. Cytat z pierwszej mowy Cycerona przeciw Katylinie, który wcześniej usiłował go zamordować.

JÓZEF LIPIEC



CZŁOWIEK: ODKRYWCA I TWÓRCA

OFENSYWA I DEFENSYWA ANTROPOLOGICZNA

Żyjemy w niewielkim zakątku Kosmosu. Sądzymy, że jest to dogodny, a na pewno wystarczający punkt obserwacyjny, by pokusić się o prawo wygłaszania sądów uniwersalnych, sięgających wszelkich miejsc, sfer i sposobów istnienia. Dotyczy to faktów i procesów, o których nie mamy i nie możemy mieć żadnego pojęcia – jako ludzie i jako obiekty określonej pozycji strukturalnej i jako danego tu i teraz. Jesteśmy złączeni z resztą świata poprzez p o b r a t y m s t w o o r g a n i c z n e , zapewne słusznie siebie samych stawiając powyżej jednokomórkowców, roślin i zwierząt, choćby z powodu świadomości oraz talentów kulturotwórczych. W imieniu Matki-Ziemi potrafimy wzbudzać w sobie nieustanną ciekawość, przemieszana z egzystencjalnym lękiem co do ewentualnego spotkania innych, rozumnych Cywilizacji. Dotychczasowe próby, czynione w wielowiekowych dialogach między kulturowych są mało optymistyczne. Dotyczy to zwłaszcza sfery stosunków międzyreligijnych i międzynarodalnych nie poddających się z zasady logice chłodnej racjonalności.

Jesteśmy – jako gatunek – królami życia, aczkolwiek uprawiamy naszą wyższość egzorcyzmując całą resztę biosfery, wyłącznie w oparciu o uznanie świętości, jaką jest tablica Mendelejewa. Czy wyczerpuje ona arsenał wszelkich możliwości w zakresie doboru podstawowych składników bytu? Czy życie, w sensie: wszelkie życie, musi się wesprzeć na schemacie węgla, wilgoci, i ciepła. Tak jakby wyższe, samodzielne formy istnienia musiały realizować znany nam, białkowy fundament organiczny w jedynej znanej wersji, monopolizującej, co prawda, sytuację ziemskiego zacisza, niekoniecznie wszak powszechnej? Czy są możliwe inne struktury życia, wykorzystujące odmienne kombinacje pierwiastków i atomów?

Idąc zaś krok dalej: czy rzeczywiście życie stanowi najwyższy rodzaj bytu, a tym samym, czy naprawdę ludzie są efektem ostatniego dnia stworzenia świata (wedle wyobrażeń świętych ksiąg i potocznych mniemań)? Oczywisty lokalizm, by nie rzec: prowincjonalizm bytu ludzkiego uzurpuje sobie przywilej depozytariusza rozumu absolutnego (w heglowskim znaczeniu). Być może w ogóle bezpodstawnie, niewykluczone jednak, że tylko przedwcześnie. Przypadkowo rozwinięte właściwości w warunkach pewnej planety, położonej niedaleko pewnej gwiazdy, nie dają żadnej gwarancji najlepszego z możliwych wyborów. Robimy co się da, aby zrozumieć zarówno warunki miejscowe – koło tego lasu, tej pustyni, opodal tej właśnie rzeki i tej oto

góry – jak i po to, by uznać swą pozycję za uprzywilejowaną, zwłaszcza w zakresie prawa do uogólnienia.

Filozoficzne pytania, zadawane przynajmniej od czasów starogreckich są nadal aktualne, dlatego przede wszystkim, iż nie dokonał się, jak na razie, żaden istotny postęp w sytuacji człowieka we Wszechświecie. Jesteśmy zatem tam gdzie byliśmy i tacy sami, jakimi byli nasi przodkowie. Istniejemy jako istoty żywe, w miarę świadome swych dyspozycji, w charakterze gatunku Ziemi przypisanego, zapewne dość wyjątkowego pod względem niespożytych sił produkcyjnych i jeszcze większych ambicji, tudzież podziwu godnej elastyczności w sferze strukturalnej. Człowiek potrafi się zgrabnie adaptować do różnych okoliczności, kultur i ustrojów, choć umie także wieść żywot pustelniczy.

Wedle filozofii pracy, przez całe długie epoki człowiek był niewątpliwie w stanie permanentnej ofensywy, stawiając sobie jednak tylko cele lokalne, ziemskie po prostu. Teraz nadchodzi zwolna czas defensywy, polegający ma uruchomieni środków obrony tego, co udało się dotąd osiągnąć w dziele czynienia Ziemi poddaną. Mgliście rysuje się program alternatywny. Jeden z możliwych wariantów zakłada swoistą ucieczkę do przodu, a więc *exodus* w stronę rezerwowych, a może i bardziej przyjaznych, jak marzymy, rejonów Kosmosu.

Mniej fantazyjne, a więc realistyczne koncepcje głoszą, iż eskapistyczne strategie przypominają raczej marsze lemingów ku zagładzie. Najmniejszy nawet błąd w koncepcji „nowej ofensywy” może okazać się nieodwracalny, a kosmiczna Ziemia Obiecana objawi się jako miraż, tyleż nęcący sztuczną urodą, co śmiertelnie niebezpieczny. Dobrą radą wydaje się dzisiaj po pierwsze, zalecenie uruchomienia nieskrępowanej wyobraźni. Po drugie, skierowanie uwagi na potrzebę zwrotu ku wizji świata *po n a d l u d z k i e g o i p o - l u d z k i e g o*. Chodzi zatem o wszczęcie badań w obrębie *o n t o l o g i i c z ł o w i e k a*, w najściślejszym sensie tego słowa, czyli rozważań nad *p r z e s t r z e n i ą w s z e l k i c h m o ż l i w o ś c i*. Jeśli się okaże, iż mamy poważne szanse, by wpłynąć na optymalny wybór możliwości najlepszych, słusznie jest wyprzedzić rzeczywistość myślą, przynajmniej odrzucając rozstrzygnięcia najgorsze.

CHAOS I PORZĄDEK

W niezmiernym przestrzennie i nieskończonym czasowo bycie znajdujemy się wraz z całą Matką-Ziemią w samym centrum Kosmosu. Identyczna pozycja przysługuje zresztą każdemu punktowi czasoprzestrzeni, w tym też dokładnie każdej ludzkiej monadzie, słusznie uznającej siebie za środek i układ odniesienia wszystkiego co istnieje. Swoiście uprawniony jest również antropometryczny punkt widzenia, wedle którego człowiek jako

gatunek stanowi uniwersalną *m i a r ę w s z e c h r z e c z y* (podług pomysłu Protagorasa).

Zauważyć wszelako wypada, iż podobne roszczenia towarzyszyć mogą wszelkim innym rodzajom i zjawiskom przyrody, a także – w ramach określonych poglądów metafizycznych – światu idei lub absolutowi boskiemu. Dowolność jest tutaj dozwolona bez żadnych ograniczeń. Z reguły zwyczajem jednak uprzywilejowana pozycja człowieka, z oczywistego powodu wyróżnionego w strukturze teorii bytu zhierarchizowanego. Człowiek i tylko on może wystąpić w roli podmiotu, albo ujawnionego wprost, albo przynajmniej gramatycznie ukrytego w w dominujących *n a r r a c j a c h t r z e c i o o s o b o w y c h*. Ten podmiotowo ujęty człowiek musi też zwyczajowo przybrać jakąś formę określoności substancjalnej – monadycznie pojedynczej lub zbiorowej. Wszystkie, nawet najbardziej sceptyczne spekulacje – potoczne, naukowe i filozoficzne – są zawsze tego człowieka dziełem, prowadzonym na ludzką modłę i bez wyjątku w którymś z ludzkich języków.

Niepokojący wydaje się jednak problem *g r a n i c h o r y z o n t u l u d z k i e g o ś w i a t a*. Wyznaczany on bywa najczęściej przy pomocy dwóch kryteriów. Pierwszym jest, oczywiście, kwestia *d y s p o z y c j i p o z n a w c z y c h* samego człowieka, Podejmowana i rozwiązywana bywa, jak wiadomo, na różne sposoby – od *n a i w n e g o r e a l i z m u* (człowiek jest doskonale przygotowany do odbioru wszelkich sygnałów w obrębie zmysłowego doświadczenia świata oraz jego prawomocnej interpretacji), poprzez *t r a n s c e n d e n t a l i z m* (człowiek kroi obraz rzeczywistości tylko na swoje podobieństwo i podług własnych, specyficznych kategorii), aż po *a g n o s t y c y z m*, *n i h i l i z m e p i s t e m o l o g i c z n y* i *s o l i p s y z m* (człowiek nie ma żadnych możliwości, aby dotrzeć do prawdy innej od treści własnych, subiektywnych doznań).

Zagadnienia te zajęły większość nowożytnych traktatów filozoficznych. Niektórzy uznają to za wyraz chwalebnej skromności, inni uznają ten zwrot ku minimalizmowi za objaw tendencji likwidatorskich w dziedzinie *w o l n e g o r o z u m u*. Jeszcze następnym, ta filozoficzna rejterada na pobocza analizy zastanych pojęć wydaje się nawet swoistym paradoksem w epoce ogromnych sukcesów *c z ł o - w i e k a n a u k i*, zwłaszcza w sferze wiedzy przyrodniczej. Odpryski debat quasi-filozoficznych. Głoszących niemoc filozofii, docierają jednak także do większości nauk szczegółowych drogą pośrednią, poprzez defetystyczną refleksję metodologiczną.

Jest i drugi aspekt zagadnienia dostępu do świata, mianowicie *o r g a n i z a c y j n y*, z zasady wkomponowany w dzieje *p r a k t y k i z b i o r o w e j*. Nie wiemy wszystkiego na temat racji i praźródła naszej przeszłości, zwłaszcza zagadki, dlaczego to przyszło nam wieść ludzką

egzystencję akurat na trzeciej planecie Układu Słonecznego w naszej Galaktyce, w przyznanym nam konkretnym odcinku czasu historycznego. Faktem jest atoli, że właśnie t e r a z i t u t a j ż y j e m y , przebywając zresztą w tych rejonach stosunkowo krótko i nie bez licznych przeszkód, zarówno z powodu niesprzyjających stosunków z otoczeniem, jak i z nieokiełznaną naturą własną, nie zawsze dobrze służącą dobrostanowi gatunkowemu, a przede wszystkim życiu poszczególnych zbiorowości.

Zapatrzeni w swoją historię, z dumą podkreślającą stały postęp w zakresie wiedzy i umiejętności, zapominamy wszelako o istotnych b a r i e r a c h a n t r o p o l o g i c z n y c h . Osadzone są zarówno w ograniczonym wyposażeniu naszego, ludzkiego potencjału poznawczego i interakcyjnego, jak i w wysoce ograniczonym polu eksploracji. Obydwa aspekty wykazują nadto znamienne zależności funkcjonalną. Nie możemy rozwinąć własnych dyspozycji, gdyż przyjmowany w nowożytniej nauce proces ewolucyjny zakresłony jest wpływem s t y m u l a c j i l o k a l n y c h . Poszerzenie obszaru empirycznej penetracji okazuje się nie tylko utrudnione, lecz po prostu niemożliwe z natury rzeczy. Brakuje nam otóż adekwatnych zdolności i środków. Krąg się tedy zamyka, toteż człowiek ziemi przypisany musi poprzestać, ba na tej tylko roli.

Pojawia się kategoria permanentnej tymczasowości, patronującej ujęciu antroposfery jako w i e c z n o t r w a ł e g o p r o w i z o r i u m . Rangę pojęcia podstawowego zyskuje termin „n a r a z i e”, zawierający tyleż usprawiedliwienia dotychczasowej niemocy, ile nadziei, iż kiedyś może uda się wszystko lepiej. Na razie więc wiemy to co wiemy, zakładając, że nasze tutaj ukute pojęcia muszą odpowiadać wszelkim wskazanym fragmentom i wszelkim wymiarom bytu jako takiego. Na razie też możemy uczynić to i tylko to, co potrafimy dokonać, nie próbując nawet zadań przekraczających nasze aktualne szanse, nie mówiąc o wybieganiu poza dzisiejsze o nich wyobrażenia.

To co się nie śni filozofom, wyłania się stopniowo z mgławicy n i e o k r e ś l o n o ś c i , dostępnej ludzkim ambicjom, pożądaniom i wybuchom wolnej woli. Do nich dołącza wreszcie siła marzeń, zarówno możliwych do krótkoterminowego spełnienia, jak i wyłącznie czysto intencjonalnych. Nie sposób dzisiaj rozstrzygnąć, do której kategorii wypada zaliczyć ogół różnorodnych, często fantastycznych, choć zwykle naiwnych pomysłów rozszerzenia fizycznej obecności w Kosmosie, poza Ziemią w każdym razie. Czy wizja W i e l k i e g o E x o d u s u okaże się możliwa do spełnienia, a jeśli tak, to jaki byłby cel owej gatunkowej migracji poza czysto poznawczą i wyczynową satysfakcją? Jeżeli zaś zawiera się tutaj wyłącznie zapowiedź Nowej Alienacji, przyszłość rodzaju ludzkiego sytuując co prawda w Kró-

lestwie Niebieskim, ale w jego realistycznym, dosłownym wariacie, po prostu w wyborze innego, alternatywnego miejsca w tym samym Kosmosie?

Te i im podobne hipotezy wydają się nęcące i wcale nie przedwczesne, zważywszy na rosnący lęk przed przypadkowym Armagedonem. Czy uprzednio nie należy aby postawić fundamentalnej kwestii ontologicznej, mianowicie pełnego bilansu obu potencjałów, a więc tego co ma wciąż i jeszcze do zaofiarowania Ziemia i przyległe rejony oraz tego, czym dysponuje człowiek, nadal dla siebie nieodkryty w teorii i niesprawdzony w praktyce? Odpowiedź nasuwa się sama.

Ludzki obraz świata polega zresztą na swoistym połączeniu poznawczych d y s p o z y c j i z jeszcze silniejszymi p r e f e r e n c j a m i . Nadzwyczaj chętnie przypisujemy wszechbytowi właściwości przeniesione jeśli nie z nas samych, z naszej immanencji, to z pewnością z naszego k a w a ł k a p o l a d o ś w i a d c z a l n e g o i naszych d z i s i e j s z y c h k a t e g o r i i . Czynimy to w imię wiary w aprioryczny uniwersalizm, z naszych małych, lokalnych prawd tworząc rozwiązania, obowiązujące według naszych założeń, w innych rejonach, warstwach i czasowych wymiarach świata, narazie całkiem przed człowiekiem zakrytych.

Nieustającą ciekawość budzi także problem zdolności ludzkiego umysłu. Czy jest on w stanie zmobilizować i wykorzystać nieznane swe możliwości, istniejące, rzecz jasna faktycznie, choć żyjące w uśpieniu.? Co więcej, czy ludzki intelekt potrafi ewoluować w stronę pożądanego N a d – u m y s ł u , notabene w dowolnej wersji – indywidualnej (nietzscheańskiej, na przykład lub zbiorowe (systemowej), względnie nawet globalnej (noosferycznej, w rozumieniu Teilharda de Chardin?

ODKRYWANIE ŚWIATA

Zrozumiała jest euforia i podziw Inmanuela Kanta dla „nieba gwiazdzistego nade mną” (oraz „prawa moralnego we mnie”, oczywiście). Zachwyt nad niezwykle przemyślnością i urodą natury towarzyszył zresztą uczuciom bodaj wszystkim wielkim badaczom przyrody, podobnie jak i ogółowi artystów i co wrażliwszych umysłów amatorskich. Uczucia te stanowią rezultat zajętej pozycji o b s e r w a t o r a , który bez żadnych, własnych starań przychodzi na g o t o w e , nie wymagające od człowieka niczego więcej ponad otwarcie oczu i wkroczenia w stan p o d m i o t o w e j p r z y t o m n o ś c i . Jest to przywilej wszelkiego istnienia, które polega na tym, że istnieć oznacza uczestniczyć w bycie. Uczestniczyć zaś w przypadku istoty rozumnej to z kolei tyle, co uświadamiać sobie przynajmniej niektóre cechy świata, a może i jakieś jego prawidłowości.

Egzystencjalna partycypacja nie wymaga przecież

ponadnormatywnego wysiłku poznawczego, pozostając z reguły tylko na poziomie pasywnego odbiorczy. Uderzająca jest analogia do odkrywania Ameryki albo nowego gatunku wymarłych gadów prehistorycznych. Nie inaczej bywa z prawami Archimedesza, Newtona czy Mendla oraz statusem wszystkich pozostałych kanonów nauk wszelakich. Rzecz w tym, że Ameryki nie stworzył Kolumb, biologowie nie powołali do życia żadnego z dawnych gatunków, ani jakiegokolwiek osobnika. Żaden, najbardziej zasłużony odkrywca w dziedzinie fizyki lub chemii nie zmusił swego materialnego otoczenia do przyjęcia formuł jego zasad, od tej dopiero pory gotowych do sterowania światem. To nie pitagorejczycy spowodowali, że odkryte prawo o trójkątach zaczęło obowiązywać w geometrii dopiero od VI wieku przed nową erą. Trafnie wyraził tę zależność Fleming, kwitując skromnie swe zasługi: „ja nie stworzyłem penicyliny, ja ją tylko odkryłem”.

Wiedza ludzka, w tym cała nauka, stanowi system odkrytych prawd dotyczących kwestii „jak jest?”. To jednak co wyraża owo „jak jest” – przecież istnieje i nie zależy niestety w czasie – niż sam akt odkrycia oraz sporządzenia dlań odpowiedniej formuły językowej. Jest wielce prawdopodobne, że ludzka wiedza nie ma sama z siebie żadnych właściwości kreacyjnych, kontentując się trywialną poniekąd umiejętnością adaptacyjną, to znaczy zdolnością dotarcia do już wypróbowanych rozwiązań w wybranych dziedzinach i częściach bytu.

Ten jeszcze antyczny punkt widzenia, znany zarówno w wersji Platńskiej, jak i Arystotelesowej zaciążył zresztą nad całą epoką nowożytną. Według Platona szło o zaufanie do odkrywanych stopniowo prawd ogólnych, zawartych w odwiecznym, pierwotnym projekcie idei. Wariant Stagiryty zdominowała natomiast perspektywa negatywna: aktualizacja potencjalności możliwa jest tylko w ramach form substancjalnych, nie da się bowiem nigdy i nigdzie powołać do istnienia żadnych esencjalnie nowych gatunków. Szczególnym wyrazem tej pasywnej postawy okazał się stosunek do *prawy*. Jest ona mianowicie efektem jej odkrywania właśnie, albowiem uprzednio przecież istnieje, choć w *ukryciu* to co wyraża jej sens. Tak jest zarówno w ujęciu alethei Heideggera, jak i w interpretacji klasycznej (nie wyłączając koncepcji Tarskiego). Mamy więc do czynienia zawsze z następującym porządkiem: najpierw jest byt, a potem dopiero jego poznanie (tudzież przedmiot tego poznania, koniecznie podobny do oryginału).

W ten sposób wyłania się seria fundamentalnych pytań ontologicznych: „skąd wziął się ów byt?”, „jaki on jest i dlaczego taki właśnie?” albo „czym jest on wewnętrznie i zewnętrznie regulowany i dlaczego podlega tym a nie innym prawom”? Na kanwie rozwiązań uniwersalnych umieszczamy nieprzeliczalny zestaw

pytań detalicznych, interesując się takimi kwestiami jak: skąd się wzięła Ameryka, albo przynajmniej Wielki Kanion, dlaczego pojawiły się rośliny strączkowe i zwierzęta parzystokopytne, czym uzasadnić przyciąganie grawitacyjne, do jakiej zasady odwołać się w tłumaczeniu zjawiska rozpadu całości przedmiotowych? Jak uzasadnić nieobowiązywalność tablicy Mendelejewa albo odkrycie niepoważności kartezyjskiego „cogito:?”

Odpowiedzi padają rozmaite, ale łączy je wszystkie jeden wspólny mianownik: wbrew podejrzaniom idealistów subiektywnych – akt odkrycia nie ma nic wspólnego z powołaniem do istnienia tego co odkrywane. Najwyżej uczyniła natura to sama, eksplodująca mocą *pasji życia*. A może odpowiedzialność ponosi jakiś anonimowy program potencjalności, albo nawet jakiś przemyślny Wielki Programista? Jedno wydaje się pewne: oto w spokojnym zakątku Układu Słonecznego jacyś mądrzy i wytrwali ludzie odsłoniли wiele tajemni otaczającego ich świata. Co więcej, mają prawo czuć się słusznie dumni z tego powodu, że udało im się choćby w niewielkim stopniu zrozumieć rzeczywistość, do której i oni z konieczności należą.

HOMO CREATOR

Odczuwamy tedy ogromną wdzięczność wobec przychylnie dla nas ewoluującej planety, nadchodzi jednak godziny próby, kiedy zadajemy pytanie, czy nadal tylko trwać w zachwycie, a przynajmniej w błogim spokoju, czy też raczej wywołać radykalny zwrot w stronę nowego otwarcia, przenosząc uwagę na krytykę zaniechania oraz świadomego zawężenia pola penetracji, a także poddawania się cnotce konserwatywnego uporczywości, w imię wygody i fałszywie pojmowanej wierności niedorzecznym założeniom i błędnym kalkulacjom. Czy doprawdy nie dało się uczynić czegoś więcej, lepiej i rozsądniej, niż sprawiła to *ewolucja naturalna* (z Bogiem i choćby mimo Boga)?

Odpowiedź pozytywna prowadzi nas nieuchronnie do kolejnego, zapewne najistotniejszego zagadnienia antropologicznego, mianowicie perspektywy spożytkowania zdobytej wiedzy w działaniach naprawczych, przede wszystkim zaś ściśle kreacyjnych. Wiedząc *jak jest*, człowiek mógłby wskazać, po pierwsze, na to czego *nie ma* i czego *nie należy się spodziewać* w wyniku działań natury. Po drugie, człowiek ma szansę określić *jak być powinno*. Po trzecie, potrafi on – posługując się wiedzą i zdrowym rozsądkiem – wskazać *jak być może*. Wreszcie po czwarte, podjąć dzieło *urzęczywania* i *istnienia* swych lepszych jakościowo projektów, w każdym razie szybszych w realizacji, dojrzalszych i bar-

dziej użytecznych od chaotycznego planu pozaludzkiej ewolucji.

Czy mamy uznać, w myśl koncepcji Leibniza, iż żyjemy w najlepszych z możliwych światów? Czy zastany świat musi pozostać takim jakim go przejęliśmy od losu i jakim go znamy, w jego pozytywnych i negatywnych właściwościach? Czy aby nie zamykając się przed wykorzystaniem lokalnej i czasowo ograniczonej wiedzy do ambitnych prób twórczych, tym samym nie blokujemy sobie dostępu do nowej wiedzy, mianowicie o wciąż zakrytych, niezrealizowanych możliwościach – bytu i nas samych?

Stawiając te kwestie, porzucamy dotychczasową drogę czysto opisowego stosunku do bytu. Jest to szlak permanentnego mozołu rekonstrukcyjnego i odtwórczego, mimo ograniczonych efektów przecież godny najwyższego szacunku. Kierując się natomiast w stronę *e k s p e r y m e n t u k r e a c y j n e g o*, jesteśmy zmuszeni wybrać inną postawę własną oraz wkroczyć na nieprzetarte, nowe ścieżki, wiodące do odmiennie określonego celu. Wolno i należy wówczas postawić pytanie, czy z wiedzy o tym „jak jest” da się skutecznie wywieść pożądane rezultaty, zarówno w czystej teorii, jak i nade wszystko w praktyce egzystencji, przekraczające poziom powielanych od zawsze schematów. Mówiąc wprost: czy musimy powielać w nieskończoność dzieło stworzenia, czekając cierpliwie na jego spontaniczny ruch transformacyjny, czy też nie podjąć aby śmiało roli *s a m o d z i e l n e g o p o d m i o t u s t w ó r c z e g o*?

Problem kreacji należy – jeśli to możliwe – rozumieć w maksymalnie prosty sposób. Najpierw trzeba przeobrazić wiedzę, usuwając z niej czynniki suwerennej intencjonalności, wzmacniając zaś siłę służebności. Postulat to nie Nowy, konstytuujący wiele nurtów nowożytnych, takich jak utylitaryzm oświeceniowy, pozytywizm, marksizm, pragmatyzm, a także pewne prądy w metodologii nauki. Drugie, ważniejsze zadanie dotyczy wprzęgnięcia wiedzy w służbę *p r a k t y c e w ś w i e c i e r e a l n y m*.

Wiedzę o Ameryce, energii wodoru, wydajności z hektara i patologii fanatyzmów (tudzież o wszystkich innych sprawach) trzeba użyć do jej aplikacji w rzeczywiste procesy, najlepiej zgodnie z jakimś mądrym, dalekowzrocznym planem. Bezinteresowna wiedza sam dla siebie działa jak sztuka dla sztuki – kojąco lub kataraktycznie, zawsze jednak przenosząc nas w inny, przedstawiony świat intencjonalności. Wiedza jako *p o - d s t a w a e w o l u c y j n e j , c y w i l i z a c y j n e j k r e a c j i w p r a w i a w r u c h n a s z l u d z k i c z y n*.

Pozaludzkie moce naturalne zostały, jak dotąd, mocno wyeksploatowane, realizując jakiś plan dziejów kosmosu, w tym lokalnej, powszechnej ewolucji życia. Nie wiemy, czy chodzi o projekt przemyślany (wtedy zaś: jak i przez ko-go?), czy o ruch żywiołowy, na chybił trafił, z ewentualną korektą na słabą determinację ewolucyjną, sprowadzoną w zasadzie do swoistego melanżu prawa ada-

ptacji i przywilejów dla silniejszego. Wyrosły na tym gruncie światopogląd darwinistyczny wolno wyrazić maksymą „*plus vis, quam ratio*”, gdy tymczasem wyłaniający się stopniowo stan ucłowieczenia wymagał uznania dokładnej odwrotności: „*plus ratio quam vis*” (notabene słynnego przesłania z Collegium Maius Uniwersytetu Jagiellońskiego). Chyląc nisko czoła przed przekazaniem *C z ł o w i e k o w i – O d k r y w c y* pięknym i bogatym dziedzictwem naturalnym, musimy postawić pytanie o możliwość *C z ł o w i e k a – T w ó r c y*, który staje się – poza naturą – projektodawcą i realizatorem autentycznie nowych rozwiązań, nieobecnych dotąd w świecie i być może w ogóle mu niedostępnych inaczej, jak tylko poprzez udział człowieka. Na horyzoncie procesu istnienia pojawia się tedy Homo Creator. On to właśnie *p r a g n i e i m o ż e* wykorzystać *p o t e n c j a ł b y t u* do ujawnienia i wprzęgnięcia go w zupełnie nowe dzieła. Najwyraźniej widać tę szansę na terenie sztuki, medycyny i technologii, a także w obrębie czystej kreacji antropologicznej, czyli *s a m o f o r m o w a n i a s i ę g a t u n k o w e g o*, na wszystkich poziomach: indywidualnym, społecznym oraz globalnym.

LOKALIZM I UNIWERSALIZM

Skrajnie optymistyczna koncepcja ontologiczna głosi, że byt jest *j e d n o ś c i ą*, a dowolna część świadczy o naturze całości. Człowiek, który stanowi również fragment danej, regionalnej części i zarazem globalnej całości, jest pełnoprawnym uczestnikiem nie tylko bycia w świecie, ale i podmiotem jego integralnego, adekwatnego, prawdziwego *p o z n a n i a*. Ten naiwny, choć przecież szczerzy radykalizm towarzyszył większości myślicieli antycznych, powracając jednak sporadycznie również w nowożytnych koncepcjach (kryjących się zwłaszcza pod szyldami materializmu, naturalizmu, realizmu i zdrowego rozsądku).

Bardziej umiarkowane stanowiska kwestionują przede wszystkim pogląd o identyczności ontologicznego przedmiotu „w sobie” z epistemologicznym przedmiotem „dla nas”, czyli jakąś formą konstrukcji, sporządzonej przez człowieka. Przyjmuje się wtedy ostrożniejszą wersję podmiotowości, znacznie pomniejszającą zdolności człowieka do poznawczego kontaktu ze światem, Ograniczenia te wynikają, z jednej strony, z wrodzonej ułomności aparatu zmysłowego oraz stosunkowo niskiego poziomu programu mózgowego, z drugiej zaś – z powodu nadmiernego, antropologicznie nadambitnego wpływu na przedmiot i efekt poznania. Wtedy to, miast o rzeczywistym świecie, znacznie więcej dowiadujemy się o obserwatorach, czyli nas samych, o strukturze kategorii umysłu i szczególnych talentach językowych, o roli emocji, uprzedzeń i kulturowej cenzury, o umiejętności wywoływania popolitej nieodróżnialności fantazji i realności. Ten *n a s z*

l u d z k i ś w i a t okazuje się więc nie tyle „światem”, ile „naszością ludzką”, indywidualną i zbiorową po równi.

Nic dziwnego, że w obszarze poznawczej niepewności musiały się zrodzić koncepcje nihilizmu, sceptycyzmu, agnostycyzmu i im podobnych manifestacji niewiary w ludzkie możliwości. Ich logiczną konsekwencją stał się kartezjanizm, dopuszczający wyłączną pewność subiektywnego cogito, potem zaś transcendentalizm wszelkich odmian (od Kanta po Husserla), sprowadzający się ostatecznie do tezy, iż o ewentualnym świecie „rzeczy samych w sobie” nie możemy wiedzieć niczego, ta rzeczywistość (lub quasi-realność), która jest nam dana, musi być li-tylko naszą, podmiotową konstrukcją, albo wprost: zbiorem fenomenów jako efektów konstytucji transcendentalnego umysłu. Nic dziwnego, że zwieńczeniem takich właśnie rozważań stał się *s o l i p s y z m*, swoiście heroiczny wyraz przeświadczenia, iż cały byt mieści się w immanencji ludzkiego „ja”, dokładniej: we wnętrzu jednej, mianowicie mojej świadomości. W ten oto, nieskomplikowany sposób chronimy się przed rozpaczą uczestnictwa w syzyfowym dramacie, zyskując władztwo nad bytem całym, cóż z tego, że skurczonym do punktowego w istocie stanu idei mej umysłowości.

Przedstawione powyżej rozwiązania idealistyczne wydają się nie spełniać nadziei na zrozumienie pozycji człowieka w świecie i świata samego. Skrajne warianty uchodzą za filozoficzny żart, a najpewniej za produkt niestaranności w rozumowaniu, zgłasza uległość wobec wieloznaczności środków pojęciowych (błędy te tropione są zaciekle przez krytyków, choć same teorie idealistyczno-subiektywistyczne na ogół nie ponoszą większych strat).

Ciężar sprostania wyzwaniom antropologicznym spoczywazatem, tak czy inaczej, na filozofii *realistycznej*, dodajmy: w jej wersji *k r y t y c z n e j*. Realizm naiwny głosi, że jedynym właściwym jest obraz świata formowany przez ludzi i tylko przez nich, a jeśli istnieją lub dadzą się pomyśleć inne rodzaje odzwierciedlenia, to muszą być albo błędne, albo zdeformowane. Tylko więc człowiek otrzymał świat w depozyt i tylko jego interpretacja musi być uznana za właściwą, kanoniczną i bezwzględnie prawdziwą. Ten szczególny wyraz *z a s a d y a n t r o p i c z n e j* odrzucany bywa przez *r e a l i z m k r y t y c z n y*. Wyraża on pogląd, iż po pierwsze, wersja człowieka *j e s t j e d n ą z m o ż l i w y c h*, zapewne górujących pod pewnymi względami nad światami bakterii, pajaków i wielorybów, ale być może, jest za to obrazem prymitywniejszym od światów dostępnych podmiotom wyższej inteligencji i sprawności. Po wtóre, realizm krytyczny odwołuje się do idei *c z ł o w i e k a h i s t o r y c z n e g o*, innego przed tysiącami lat, zupełnie też niepodobnego dziś do człowieka ewolucyjnej przyszłości. Po trzecie, na

razie jest nam dany wyłącznie człowiek Matki-Ziemi, co nie znaczy wcale, że człowiek odmiennych doświadczeń kosmicznych nie zmodyfikuje zarówno wizji świata, jak i własnych dyspozycji.

Człowiek lokalny jest przeświadczony, iż jego miejsce i jego czas są *w y r ó ż n i o n e*, oczywiście faktem, iż on sam tam właśnie został tu i teraz umieszczony w bycie. Reguła ta sprawdza się w wydaniu mikrośrodowiskowym (swojej wsi, regionu lub kraju), jak i zapewne w wariacie kosmicznym. Lokalizm ma też niebezpieczną tendencję *p s e u d o u n i w e r s a l i z a c y j n ą*, tyleż fałszywą co zabawną.

Rozstrzygnięcie sporu między lokalizmem a uniwersalizmem właściwym wymaga odwołania się do dwóch przesłanek. Chodzi o zdemaskowanie istoty lokalizmu i obnażenie jego ograniczoności nie tylko w prezentacji uproszczonych portretów świata, ale również w programie wykorzystaniu mocy twórczych człowieka. Chodzi też zarazem o rozbudzenie wrażliwości na mnogość różnorodności i ogrom szans, ukrytych w ofercie *u n i w e r s a l i z m u*. Odkrywa on bowiem z jednej strony *w i e l o ś ć m o ż l i w y c h ś w i a t ó w*, być może zasadniczo odmiennych od naszego, uformowanego w naszych wyobrażeniach i teoriach naukowych, Z drugiej strony – i przede wszystkim – odsłania *w i e l o ś ć m o ż l i w y c h p o d m i o t ó w*, zdolnych do świadomej partycypacji w bycie, acz dysponujących odmiennymi niż człowiek metodami kontaktu z dostępną im rzeczywistością i w swoisty sposób budujących poznawczą i sprawczą z nią więź.

Ten ostatni problem może być pojęty w wariacie potocznym, zasilanym przez kulturę masową, głównie w postaci powieści, komiksów i filmów *science fiction*. Dotyczą one zarówno naszego rodzinnego otoczenia w kosmicznej przestrzeni w postaci podobnych do nas stworów, jak i ambitniejszych prób poszukiwania różnorodności form Istnienia i Rozumu oplatających nieskończoność materialnej czasoprzestrzeni (a może i czegoś zupełnie swoistego, istniejącego poza przestrzenią i poza czasem).

Kreacja tych wizji wydaje się się wyzwaniem i obowiązkiem ludzkim, zapewne fundamentalnym. Niebo gwiazdziste okazuje się nie tylko obiektem admiracji, ile i moralnym obowiązkiem.



IGNACY S. FIUT

W POSZUKIWANIU NOWEGO MODELU EGZYSTENCJALNEGO CZŁOWIEKA. W 55 ROCZNICĘ ŚMIERCI ALBERTA CAMUSA

Uwagi wstępne

Celem artykułu jest upamiętnienie 55 rocznicy śmierci francuskiego pisarza, eseisty i filozofa Alberta Camusa. Zginął tragicznie 4 stycznia 1960 roku w wypadku samochodowym, a w jego teczce znaleziono maszynopis niedokończonej powieści – „Pierwszy człowiek”, która ukazała się już po jego śmierci. Zawarty jest w niej nowy zarys egzystencjalistycznej koncepcji rozumienia człowieka w globalizującym się świecie. Był on wsparty własnym doświadczeniem człowieka, który należał do różnych kręgów kulturowych, przeżył okupację niemiecką, ale nie obcy był mu również los emigrantów przybywających do Europy Zachodniej. Przypominamy, więc losy jego życia i ich wpływ na rozwój jego osobowości twórczej oraz postawy filozoficznych rozważań o człowieku w XX wieku¹. Omawiamy w zarysie jego elementy filozofii absurdu i buntu, w oparciu o które systematycznie rozwijał własne poglądy filozoficzne. Szczególną uwagę kładziemy na wartość buntu wyeksplicowaną przez myśliciela i wskazujemy na jej możliwe znaczenie dla współczesnego człowieka w szybko globalizującym się świecie.

Kwestia sensu ludzkiego istnienia nurtuje refleksję intelektualną i filozoficzną od dawna, a właściwie dotyka nawet okresu dziejów jeszcze przedhistorycznych. W dziejowym rozwoju człowieka ów sens wyrażały kulturowane i rozwijane mity, czyli narracje tworzone przez ludzi, sytuujące człowieka w świecie, tzn. w stosunku do siebie samego, do innych ludzi, do świata społecznego i przyrodniczego oraz zakładanej rzeczywistości transcendentnej w wymiarze kosmologicznym i metafizycznym. Analogiczną rolę w tych kwestiach odgrywała i obecnie również pełni dla zdecydowanej większości ludzi religia, zarówno w formie politeistycznej, mieszanej oraz monoteistycznej, które to jej formy również odpowiadały na fundamentalne pytania związane z sensem

życia człowieka. W tych pierwotnych formach wyobraźni ludzkiej oraz myślenia formowanego w obszarze mitu i religii, a następnie kolejnych fazach rozwoju myśli filozoficznej okresu antycznego, średniowiecznego, a nawet i nowożytnego, te systemy intelektualno-aksjologiczne przedstawiały człowiekowi modele przede wszystkim esencjalne myślenia o sensie istnienia bytu jednostkowego. Były to propozycje pewnej formy świadomości zbiorowej, która określała czym człowiek powinien być, by stać się w pełni człowiekiem a jego życie miało określony cel, nadający sens jego istnieniu indywidualnemu. Człowiek w tych okresach dziejów jako jednostka wyzuta z przynależności do wspólnoty był oderwany od możliwości nadawania odpowiedniego sensu swemu istnieniu. Często też powątpiewano w człowieczą naturę bytu ludzkiego, sytuując go pomiędzy innymi bytami żywymi o zwierzęcej proveniencji. Dopiero rozwój myśli nowożytnej, związany z subiektywizacją myślenia, któremu towarzyszyła również walka o pełną wolność, przynajmniej w myśleniu, pozwolił człowiekowi stawiać pytania o sens własnego myślenia jednostkowego.

Sytuacja w myśli europejskiej zmieniła się radykalnie w okresie nowożytnym głównie za sprawą René Des Cartesa oraz Johna Locke'a, a grunt społeczny dla akceptacji tego sposobu myślenia przygotowało z jednej strony społeczne doświadczenie reformacji, z drugiej myśl oświeceniowa i związane z nią postępujące procesy demokratyzacji życia społecznego, szczególnie po rewolucji francuskiej oraz wojnach napoleońskich, które rozprzestrzeniły idee sprzyjające indywidualizacji życia ludzkiego po całej Europie, a następnie po wojnie secesyjnej w Ameryce Północnej.

Najbardziej decydującym doświadczeniem dla rozwoju doktryny personalistycznej i egzystencjalnej były masowe doświadczenia wojenne w XX wieku i związane

z nimi ludobójstwa oraz holocaust, szczególnie w dwóch kolejnych wojnach światowych, w wyniku których poniosły śmierć miliony niewinnych ofiar, a wiele narodów i grup społecznych doświadczyło eksterminacji wspomaganej rozwojem nauki i technologii służących nie do polepszania kondycji ludzkiej w świecie, ale do masowego uśmiercania ludzi, których najpierw urzeczowiano, odbierając im technikami socjo-ideologicznymi godność ludzką, a następnie traktowano gorzej niż przysłowiowe zwierzęta. Ów wstrząs świadomościowy wynikający z tych doświadczeń w wymiarze masowym stworzył przestrzeń duchową do postawienia na nowo pytania o to: kim właściwie jest człowiek? W jego kontekście na pierwszy plan musiało się wysunąć ze zwielokrotnioną siłą pytanie o sens jego istnienia w rozwijającym się żywiołowo społeczeństwie masowym zmierzającym do społecznej globalizacji. W obszarze refleksji filozoficznej przełomu XIX i XX wieku grunt dla takiej postawy myślowej i refleksji filozoficznej przygotowała niewątpliwie metoda fenomenologiczna Edmunda Husserla, myśl marksistowska i neomarksistowska, odniesione do opisu i analizy jednostkowego istnienia ludzkiego. W takim kontekście należy również rozumieć egzystencjalizującą refleksję filozoficzną francuskiego powieściopisarza, dramaturga i eseisty – Alberta Camusa, który wraz ze swoją rodziną i bliskimi uczestniczył w tych złożonych doświadczeniach historycznych XX wieku związanych z obydwojma wojnami światowymi². Dlatego jego pytania o sens ludzkiego istnienia, odrzucające dostatecznie już skompromitowane wcześniejsze antropologie esencjalistyczne, stanowiły znaczący wkład w rozwój współczesnej refleksji filozoficznej i to w wymiarze globalnym, obserwując jednocześnie wzmagającą się procesy globalizującego się kulturowo i cywilizacyjnie świata. Dokonania literackie Camusa były niewątpliwie ważnymi źródłami wspomagającymi ekspansję tego typu świadomości w stopniu ogólnoswiatowym. Stanowiły one również pewnego rodzaju prolegomena dla rozwoju filozofii i kultury ponowoczesnej zarówno ze względu na formy, jak i zawarte w nich treści. Bohaterami bowiem opowiadań, powieści, ale i esejów filozoficznych byli ludzie ukształtowani i wychowani w różnych kulturach, które odcisnęły piętno na ich tożsamościach jednostkowych. Jednak analiza ich doświadczeń i losów indywidualnych z perspektywy analityki egzystencjalnej pokazywała dzięki wnikliwoci intelektualnej autora „Obcego”, że sens ich istnienia jednostkowego zawsze dotyczy uniwersalnej problematyki człowieka, przekraczającej granice wzorców religijnych, kulturowych, rasowych, czy klasowych i to w wymiarze dziejowym, czego wyrazem są np. mity antyczne ludzi różnych kręgów kulturowych, których struktura wewnętrzna, prócz specyfiki społeczno-świadomościowej, zawsze zawiera ów moment uniwersalny, np. niezgody na śmierć lub wskazywania zasadności zabójstwa, czy samobójstwa³. W głębokiej ocenie francuskiego pisarza na poziomie jednostkowej

oceny egzystencjalnej człowieka ważniejszą siłą twórczą jest bowiem wartość miłości i przyjaźni, sprawczo przeciwstawianych nienawiści i wrogości, wyrażających ową pierwotną solidarność gatunkową człowieka w interakcjach społecznych pomiędzy jednostkami, grupami społecznymi (pierwotnymi i wtórnymi), tworzącymi coraz szersze narodowości i narody, ich federacje, przygotowująca i rozwijająca już wtedy pojawiające się zmiany globalizacyjne, którym powinna towarzyszyć odpowiednia aksjologia uniwersalistyczna i wynikające z niej odpowiednio adekwatne wzory koegzystencji kulturowej, ekonomicznej i politycznej, źródłowo związane z tą typowo ludzką, pierwotną formą solidarności gatunkowej, bo przecież każda żywa istota ludzka jest człowiekiem już przez fakt narodzenia się i winna być za taką uważana i traktowana przez innych ludzi⁴.

Istotne fakty z życia francuskiego myśliciela

Pisarz urodził się w biednej rodzinie w Mondovi – ubogiej dzielnicy Algieru. Jego matka była niepiśmienną Katalonką, a ojciec należał do starej emigracji francuskiej w Algierii. Zginął w roku 1914 w czasie I wojny światowej w bitwie nad Marną, kiedy Albert miał rok. Jego wychowaniem zajmowała się babka oraz matka, która musiała pracować na utrzymanie całej rodziny. Wpływ na jego rozwój intelektualny miał przede wszystkim jego nauczyciel i sponsor Louis Germaine. Pod jego namową po skończeniu szkoły średniej rozpoczął studia na Uniwersytecie w Algierze, gdzie studiował filozofię oraz historię kultury antycznej. Napisał wtedy swoją pracę filozoficzną poświęconą myśli Augustyna z Tagoste i Plotyna. Po skończeniu studiów pracował w teatrze – „Théâtre du Traváile”, a w roku 1936 założył własną grupę teatralną – „L Equipe”. Został również w tym czasie członkiem Partii Komunistycznej, z której został usunięty ze względu na różnice światopoglądowe. Był też bramkarzem w lokalnej drużynie piłkarskiej, czego doświadczenie wyraził w „Notatkach” formułując m.in. taką myśl, że „wszystkiego, co nauczyłem się o życiu, zawdzięczam grze w piłkę nożną”⁵.

W roku 1940 wyjechał do Paryża, a po jego zajęciu przez Niemców przeniósł się do Lyonu, a następnie Oranu. W roku 1942 wrócił do Paryża, gdzie wraz z Pascalem Pia redagowali czasopismo podziemne – „Combat”, którego był przez pewien czas redaktorem naczelnym. Wtedy zaprzyjaźnił się z najbardziej wpływowym egzystencjalistą – Janem-Paullem Sartrem i był przez pewien okres pod wpływem jego poglądów. Po krytycznej recenzji jego pracy na łamach „L'Emps Moderns” (1952, nr 82) przez Francisa Jeansonera oraz autora „Bytu i Nicości” na zawsze zerwał z nim więź intelektualną oraz odseparował się, we własnym mniemaniu, od ruchu egzystencjalistów, którzy jego zdaniem nie zauważali m.in. zbrodni stalinizmu i odradzających się na gruncie różnych form rewolucji przeciw kolonializmowi

i neokolonializmowi postaw esencjalistycznych w głoszonych przez nie ideologiach – np. „prawdziwy Niemiec”, „człowiek radziecki”, „prawdziwy muzułmanin”, „prawdziwy katolik”, które absolutyzowały niektóre elementy antropologii egzystencjalnej, ograniczając tym samym wartość podstawową egzystencjalizmu, jaką była pełna wolność człowieka w wyborach na sposób ludzki składowych aksjologicznych sensu własnego życia. Już od roku 1947 Camus praktycznie przestał zajmować się działalnością dziennikarską i polityczną, poza nielicznymi tekstami i wypowiedziami dla mediów, np. w kwestii wojny w Algierii, a swój wysiłek twórczy skierował głównie na teatr i tworzenie literatury społecznie zaangażowanej, która, jego zdaniem, mogła mieć silniejszy wpływ na zmiany świadomości kulturowej ludzi w wymiarze globalnym, kiedy np. ruchy narodowo-wyzwoleńcze zaczęto postrzegać w tej neoesencjalistycznej perspektywie jako zwykły terroryzm. W kolejnych swych esejach krytykował zarówno kolonializm i neokolonializm, ale i faszyzm oraz stalinizm, jako przejawy myśli filozoficzno-politycznej, które w praktyce politycznej sprzeniewierzyły się swym humanistycznym ideałom i przyczyniały się do szerzenia również nienawiści, przemocy oraz terroru. Pośrednio więc przeciwstawiał się myśli post-heglowskiej, jaką był marksizm w wersji leninowskiej, ale i fenomenologii, która – jego zdaniem – blokowała w praktyce badania nad aktualną egzystencją człowieka, ograniczając horyzont jednostkowych poszukiwań egzystencjalnych, poniekąd sprzyjając powrotowi w zaawuwalowanej formie antropologii esencjalistycznej i związanych z nią praktyk politycznych.

W roku 1957 otrzymał literacką Nagrodę Nobla za całokształt twórczości literackiej, ze szczególnym uwzględnieniem jego powieści „Dżuma”, której treść stanowiła niejako metaforę kondycji człowieka we współczesnym mu świecie. W werdykcie Szwedzkiej Akademii Nauk możemy przeczytać, że nagroda ta jest uhonorowaniem jego ogromnego wkładu „(...)w literaturę, która ukazuje znaczenie ludzkiego sumienia”. Trzy lata później zginął w wypadku samochodowym wraz z Michaelem Gallimardem, a w jego teczce znaleziono maszynopis powieści – „Pierwszy człowiek”, w której – jak się później okazało – starał się poszerzyć własny system filozoficznej refleksji egzystencjalnej nad człowiekiem w wymiarze już uniwersalnym⁶.

Struktura refleksji egzystencjalnej francuskiego intelektualisty

Sprzeciw, a potem bunt u Camusa pojawił się stosunkowo wcześnie, bo nie zgadzał się już z kondycją egzystencjalną biedoty a Algierze, do której należał i dlatego podjął naukę, a potem zaangażowaną działalność twórczą, która miały mu zapewnić emancypację społeczną, ale i stworzyć możliwość pomocy innym ludziom pozostającym w podobnej sytuacji jak on i jego rodzina. Tu wzorem dla niego był

głównie jego nauczycie L. Germaine. Wybuch II wojny światowej i doświadczenia terroru w okupowanej Francji spowodowały, że zaczął walkę polityczną z niemieckim okupantem. Jako dziennikarz i pisarz walczył również z uciskiem militarnym i społecznym w swej rodzinnej Algierii, by w końcu, jako artysta teatralny (aktor, reżyser) oraz pisarz, rozpocząć budowę wśród ogółu ludzi świadomości niezgody na utraty własnej godności i wolności w myśleniu oraz działaniu. Twórczym narzędziem buntu miała stać się dla niego miłość bez wyjątku do drugiego człowieka, która nie zna żadnych ograniczeń jeśli chodzi o byt bliźni człowieka i innych istot żywych. Nie tylko przeciwstawiał się więc polityce rządów opartych na ideologii nazistowskiej czy marksistowskiej, ale również na płaszczyźnie filozoficznej fenomenologii Edmunda Husserla, katolickiemu esencjalizmowi filozoficzno-religijnemu, widząc w nich źródła konstrukcji w obszarze świadomości zbiorowej idealistycznego „ja” transcendentalnego – ostatniego podmiotu ludzkiej rzeczywistości świata, która – zdaniem austriackiego filozofa i filozofów chrześcijańskich – miała proponować ostateczną zawartość uniwersalną sensu świata i wskazywać na sens indywidualnej egzystencji człowieka. Określał taki typ świadomości jako „absurdalny mur”, który blokuje rozwój egzystencjalnej istoty człowieka, prowadzący do totalizujących prób narzucania mu od zewnątrz jego wyidealizowanej istoty gatunkowej, a w konsekwencji celu jednostkowego istnienia. Nie było to zgodne z jego rozumieniem w duchu sartr'owskim istoty człowieka, jako tego, który, „jest tym, czym nie jest, ale będzie tym, czym siebie uczyni”. Były mu bliskie raczej poglądy fenomenologii (analityki) egzystencjalnej Martina Heideggera, postrzegającego człowieka jako byt typu Dasein, czyli byt specyficzny i wyróżniony, bo przytomny (świadomy) swego istnienia w świecie, będący nieustannie „projektem nastawionym na przyszłość” (*Einwurf für Zukunft*), stający w prześwicie (*das Lichtung*), wydobywający dzięki pojęciom byty składające się na jego świat, wydobyte z jego i ich bycia, przez co stawał się on owym „pasterzem bycia bytów” (*der Hirter des Seins den Seineden*). Jako więc byt przytomny, ze swej natury psychofizycznej nastawiony na przyszłość, obarczony wyborami kierunków działania, w których tworzy swą istotę jednostkową, nadający sens i cel osobistemu istnieniu, jest obciążony jako właśnie taki całą odpowiedzialnością nie tylko za własne istnienie, ale i innych ludzi, jak również za świat jako całość społeczną, a pośrednio i za jego uniwersum przyrodnicze. Jeśli dla Jaen-Paul Sartre'a, czy Martina Heideggera była to sytuacja tragiczna, wynika z doświadczenia własnej absurdalności w świecie, dla Camusa ów tragizm indywidualnej egzystencji, a więc życia przepelnionego również pasją tworzenia, miał również wymiar optymistyczny, przede wszystkim wtedy, gdy znajdował racjonalne uzasadnienie w swej pasji istnienia

dla przekroczenia absurdalności ludzkiego egzystowania. To przekonanie stał się dla niego źródłową przesłanką performacji podstaw całej kultury filozoficznej człowieka, a przede wszystkim jej metafory zawartej w antycznym micie Syzyfa, przez pokolenia uzasadniającej ludzka traumę egzystencjalną. Pasja istnienia bowiem w opinii Camusa została uznana za nową drogę odrodzenia twórczej wartości wolności egzystowania jednostek ludzkich. Miała ona już na poziomie emocjonalnym wspierać to racjonalne odkrycie oraz transformację mitu antycznego uzasadniając czynnie zarówno sprzeciw, jak i bunt egzystencjalny, wyrażające się pozytywnie w tworzeniu i rozwoju własnej indywidualnej i zbiorowej istoty gatunkowej człowieka poprzez różnorodne wytwory twórczości typowo egzystencjalnej, ale i artystycznej. Ów sprzeciw i bunt skierowany winien być bowiem przeciw aktualnej, wynaturzonej kondycji człowieka w jego świecie przez mechanizmy gospodarcze i psychospołeczne, zamykające horyzont jego możliwości egzystencjalnych tworzenia własnego sensu życia, skazujących jednostkę na urzeczowienie, alienacje od społeczeństwa i świata, a więc w praktyce skazujące go na marginalizację w życiu społecznym, a w praktyce na utratę godności osobistej siebie i innych ludzi, do chęci samobójczych włącznie. Nie zgadzała się radykalnie przy tym na funkcjonujące wtedy modele narzucające ludziom ograniczone wybory sensu własnej egzystencji, głównie natury polityczno-ideologicznej oraz religijnej, demaskując w swych opowiadaniach, powieściach, dramatach i esejach ich ciemną stronę w kontekście własnego doświadczenia egzystencjalnego, ale i innych jemu współczesnych ludzi, jak i historycznie wcześniejszych przypadki buntu ludzkiego i rewolucji społecznych z nią związanych, jakim był np. przypadek cesarza Kaliguli, które zgodnie ze znaną regułą losów rewolucjonistów - „zjadały własne dzieci”.

Również w tym czasie odrzucił religię postrzegając ją jako narzędzie wyobcowania człowieka ze świata i od drugiego człowieka, by w zamian pozyskać wieczną opiekę bożą zarówno w życiu doczesnym, ale przede wszystkim w życiu pośmiertnym, a w konsekwencji idealistyczną filozofię religijną, która uzasadniała dogmaty wiary chrześcijańskiej prowadzące do tego typu postaw u osób wierzących. W to miejsce zaczął poszukiwać czegoś nowego, co stało by się w przyszłości celem uniwersalnym ludzkiego działania, nadającego mu sens, ale i sens jego jednostkowemu istnieniu uwikłanemu w ów aporetyczny, najeżony sprzecznościami i konfliktami egzystencjalnymi świat, w którym poniewierana i dewastowana jest godność człowieka jako jednostki, nierzadko w imieniu narodu, ludzkości, czy odpowiednio pojmowanego bytu bożego i kościołów, które w jego oparciu eksploatuje i konfliktuje ludzi, często sobie najbliższych ze względu na więzy pokrewieństwa.

Abstrahując od kolejności jego esejów filozoficznych należy wspomnieć przynajmniej trzy, które stanowią korpus jego filozofii absurdu i buntu, tj. „Mit Syzyfa”, „Człowiek absurdalny” i „Człowiek zbuntowany”. Wszystkie one stanowią jakby „trzy strony” jądra jego refleksji filozoficznej, wyabstrahowanej z myśli antycznej, poszukującej uniwersalnego rozwiązania, zgodnego z naturą ludzkiej egzystencji w ogóle, którą zaproponował ruch egzystencjalistyczny w filozofii XX wieku.

W pierwszym okresie swojej twórczości literackiej Camus dokonuje pojednania ze światem ludzkiej zmysłowości i eksponuje wartość konkretnego życia ludzkiego, choć równoległe odkrywa tkwiące tam źródła rzeczywiste ludzkiej samotności, oprócz tych, które z perspektywy transcendentnej narzucało mu totalizujące myślenie absolutystyczne funkcjonujące w społeczeństwie oraz religijne, nierzadko go wspierające i eskalujące. Dochodzi do wniosku, że w krytycznych sytuacjach egzystencjalnych lepiej wybrać nawet śmierć jako sposób pojednania się ze światem, choć samobójstwo nigdy nie może być uzasadnione w żadnej perspektywie myślowej, bo zawsze dezawuuje godność ludzką, bo unicestwia szamo życie, jak wartość bezwzględna, sytuującą się u podstawy innych wartości⁸.

Towarzyszące jednostkowej ludzkiej egzystencji poczucie absurdu inspirowane jego rozważania do szeregu esejów określanych mianem „Człowieka absurdalnego”. Wszystkie tzw. ucieczki egzystencjalne człowieka w przysłowiowego: aktora, Don Juana, zdobywcę, przepełnione jedynie pasją działania, nie pozwalają – w opinii Camusa – rozwiązać jego dylematów egzystencjalnych, a eksponowana przy tym „etyka ilości” nie daje nowej jakościowo etyki życia ludzkiego, ale raczej pogłębia osamotnienie jednostki, gdyż „świadomość absurdalności” ludzkiego istnienia nie może w tych formach egzystowania pomagać w życiu najeżonym sprzecznościami i nieustannie zagrożonym śmiercią⁹. Nie posiadając pełnej świadomości konsekwencji „świadomości absurdu”, będąc uwikłany w resztki świadomości esencjalnej, tracącej znaczenie, człowiek staje się obcy sobie i światu, i ucieka od siebie, czyli na dobra sprawę „traci siebie” i świat, w którym powinien przecież budować i odnawiać sens własnego istnienia. Taka postawa należy przecież do jego natury bytowej. Odwołując się do antycznego mitu Syzyfa, Camus dokonuje w nim performacji jego tradycyjnego znaczenia jako metafory ludzkiej egzystencji, odczytując go we współczesnej, egzystencjalnej perspektywie. W sytuacji „mitycznego Syzyfa” widzi bowiem obecnie pewien istotny optymizm, pod warunkiem, że jego doświadczenie uświadamia nam faktyczny sens naszego istnienia, a więc obowiązek notorycznego sprzeciwu wobec sił niszczących godność ludzką tu i teraz. Dlatego filozof pisze, że: „Syzyfa możemy wyobrazić sobie szczęśliwym”. Ten stan świadomości może zatem stanowić kolejny etap rozwoju świadomości jednostkowej

ludzi, w oparciu o który możemy w pełni odpowiedzialnie rozwinąć w sobie „świadomość buntu”, czyli konieczność sprawczego i aktywnego działania przeciwko siłom i mechanizmom dezawuuującym wartość i godność każdego bez wyjątku człowieka. Dlatego w „Człowieku zbuntowanym” wyrazi tę zasadę przywracającą buntownika światu, w którym odzyskuje sens istnienia, czyli potrzebę aktywnej solidarności z innymi. Camus kończy ten esej ważną konkluzją: „Buntuje się więc jesteśmy”. Miałoby to znaczyć tyle, że tylko wtedy stajemy się w pełni ludźmi, kiedy jesteśmy w stanie przeciwstawić się czynnie sytuacjom, w którym dezawuowana jest godność i bezwzględna wartość drugiego człowieka, czyli bronimy bezwzględnie jego i nasze „jest” w bytowaniu ludzi w świecie¹⁰. Wtedy też ukazujemy, że jesteśmy bytami faktycznie wolnymi i świadomymi celu własnego istnienia we współegzystowaniu z innymi.

Camus, jako analityk fenomenu ludzkiej egzystencji, zdawał sobie dobrze sprawę, że ze swej istoty człowiek jako byt posiadający świadomość intencjonalną, skazany jest przez ten fakt na nieustanne transcendowanie ku światu oraz ku przyszłości nie tylko swojej, ale gatunkowej człowieka. Zdawał sobie również sprawę z tego, że dotychczasowe jego propozycje co do opisu i analizy funkcjonowania jednostki ludzkiej są niepełne i wielu zjawisk jego bytowania nie daje się w pełni wyjaśnić i zrozumieć. Sądzimy, że dlatego podjął się pracy nad kolejnym dziełem literackim, jakim był właśnie „Pierwszy człowiek”¹¹. To w nim przecież zarysował „kosmiczną ideę człowieka”, ów zespół wartości, do których winien nieustannie i konsekwentnie zmierzać człowiek, jeśli ma podejmować świadomy bunt. Idea ta miałaby mieć charakter uniwersalny, ważny we wszystkich kulturach, ale i ponadczasowy kontekstach egzystencjalnych, by zabezpieczyć możliwość sensownego istnienia jednostek ludzkich w przyszłości i to w wymiarze uniwersalnym. Nie mogła ona być – rzecz jasna – tworem stricte idealnym, narzucającym od zewnątrz człowiekowi, ograniczającym jego wolność wybory i zamkniętym. Człowiek bowiem – czego świadomość posiadał francuski egzystencjalista – jako gatunek i jednostka ciągle się rozwija i ewoluuje, a w globalizującym się świecie musi podejmować ryzyko egzystowania w różnych kulturach, czego osobiście i sam doświadczył. Idea ta nie mogła i nie może być teraz i w przyszłości obca ludziom w całym współczesnym świecie, dlatego powinni ją nieustannie tworzyć, performować w granicach, które nie przekreślałyby istoty człowieczeństwa człowiek teraz i w bliższej oraz dalszej perspektywie dziejowej, by nie stali się również „niewolnikami historii”.

Tradycyjny i nowy uniwersalizm a myśl A. Camusa

Współczesne podejście uniwersalistyczne do człowieka napotyka wiele trudności, które wynikają z mnożących się podziałów między ludźmi, u podstawy których leżą

różnice kulturowe, ekonomiczne i polityczne. Trafnie wydaje się oceniać tę sytuację grupa myślicieli określaną nową lewicą. Ważne miejsce w analizie tej sytuacji przedstawiają prace Etienne Balibar – francuskiego filozofa o orientacji marksistowskiej. Upatruje on źródeł kryzysu targającego współczesną Europą w spuściźnie dziejowej, którą narzuciła sobie, ale i światu w procesach jego kolonizacji. Jest to strategia dzielenia go i konfliktowania zgodnie z zasadą: *divide et impera*. Podstawą tej polityki były podziały świata na strefy wpływów kolonizatorów, które pociągały za sobą budowę i przebudowę granic. Granice te nie odzwierciedlały naturalnych podziałów etnicznych między ludźmi nie tylko w Europie, ale i na całym świecie¹². Dorobek pojęciowy Balibara i jego wiedza wielokulturowa wzbogacają narzędzia teoretyczne współczesnego materializmu historycznego i mogą być skutecznie przydane do oceny i stawiania diagnoz dla integrującej się Europy oraz globalizującego się świata. Balibar pokazuje również potrzebę tworzenia nowego dyskursu np., w sferze uniwersalizmu, którego obecny program w praktyce ma charakter typowo hipokryzyczny, bo dalej dzieli ludzi, miast ich integrować. Program ten popiera wiele form partykularyzmu białych i bogatych ludzi Zachodu i ukazuje swój przemocowy charakter. Balibar nie proponuje zmianę tego uniwersalizmu i jego elementów partykularyzujących ludzi¹³. Szkodzi on uniwersalnemu pojmowaniu człowieka we współczesnym świecie ponowoczesnym o charakterze wielokulturowym. Nowy uniwersalizm wielokulturowy powinien zakładać u swej podstawy uniwersalnej również postawy partykularne, które dynamizowałyby dążenia do uniwersalnego rozumienia człowieczeństwa współczesnego na planecie. Powinien on znosić postawy rasistowskie, nacjonalistyczne i nieostrości tożsamościowe, a w miejsce fałszywych treści uniwersalistycznych odkrywać i konstytuować nowe, bardziej otwarte na współczesne sytuacje społeczne. Sytuacje te wynikają z ogromnego przyspieszenia życia i mobilności ludzi we współczesnym świecie. Proces ten powoduje, że zdecydowana większość społeczeństw ma obecnie charakter mozaikowy i składa się z autochtonów i emigrantów. Treści nowego uniwersalizmu powinny mieścić się w kategorii obywatela danego państwa, a nie jego narodowego pochodzenia i religijnej afiliacji. Musi to również dotyczyć dominujących ideologii klas panujących, które legitymizują owe partykularyzmy i są źródłem świadomości fałszywej, dzielącej ludzi. Panujące fałszywe treści w świadomości społecznej o charakterze hegemonicznym dzielą i podporządkowują sobie obecnie świat jako zbiorowość skonfliktowaną. Sytuacja taka w sposób szczególny dotyczy obecnej Europy po zjednoczeniu, bo dalej dzieli się ją w ramach obowiązującego starego uniwersalizmu na części, np. rozwoju „różnych prędkości” itp. Nieskuteczne jest również wywodzenie jej uniwersalizmu z antycznych źródeł: Aten, Rzymu, Jerozolimy, bo dotyczy to tylko południa Europy. Rozumiał

tę kwestię A. Camus dzieląc Europę na „ciepłe południe” i „zimną północ”, w których odmiennie postrzega się emigrantów – „obcych”. Warto nadmienić, że geneza nazwy Europa wywodzi się również ze słowa fenickiego „erbe” (ciemność, wieczór). Starożytni Grecy widzieli siebie bowiem jako „ludzi środka”, wrzuconych między Azjatów i Europejczyków, czyli było to dla nich miejsce nieustannego „dochożenia do jakiegoś uniwersalizmu”, a nie jego petryfikacji¹⁴. Balibar widzi natomiast ten obecnie narastający problem w dążeniach do mnożenia się granic w Europie. Podziały te są w jego opinii pozbawione sensownej podstawy¹⁵. W tym też tkwi źródło podstawowe kryzysu Europy i świata poddawanego europeizacji. Ten kryzys granic jest też źródłem kryzysu idei obywatelstwa, ale i niewłaściwego rozumienia dekolonizacji, która odbiera obywatelom dawnych kolonii obywatelstwo wcześniejszych metropolii. Procesy te przenoszą się na rynek pracy, wspólną walutę, a ich źródło tkwi w neoliberalizmie gospodarczym, budzącym demony nacjonalizmu, rasizmu i klasizmu, które wynikają z analizy sytuacji we współczesnej Europie widzianej dzisiaj oczami Balibara¹⁶, a analogicznie postrzeganej już w XX wieku przez A. Camusa.

Nowy uniwersalizm przyjmujący zasadę multi-kulturową koegzystencji ludzi – zdaniem badaczy lewicowych – powinien być oparty na etniczności zróżnicowanych grup ludzi w globalnym świecie. Każda grupa dąży bowiem do uniwersalizacji swoich norm i wartości kulturowych o etnicznym pochodzeniu. W komunikacji międzykulturowej istnieje możliwość uzyskiwania dynamicznego konsensusu co do preferowanych wartości uniwersalnych. Jednocześnie można również zachować dysensus podkreślający etniczną genezę wszystkich wartości uważanych obecnie za uniwersalne¹⁷. Należy jednak odejść od „zachodniego uniwersalizmu”, który jest źródłem „post-rasizmu” i „neorasizmu” głoszonego przez prawicowe ośrodki polityczne w imię „czystości monolitu kulturowego” społeczeństwa bogatego Zachodu¹⁸. „Biały uniwersalizm” generuje wykluczenie egzystencjalne i ekonomiczne ludzi jako pracowników i podważa racje moralne ich bytowania w społeczeństwach bogatych, które swoją pozycję ekonomiczną zawdzięczają eksploatacji rodzimych krajów emigrantów i uchodźców. Te negatywne procesy społeczne są wyjaśniane i usprawiedliwiane tą „białą ideologią” ukazywana jako uniwersalistyczna i hegemoniczna. Tylko więc nowa forma uniwersalizmu budowana na partykularyzmach etnicznych może stworzyć szanse rozwiązywania konfliktów społecznych we współczesnym świecie. Współczesne społeczeństwa są nawet skazane na tworzenie form „otwartych społeczeństw”, w których będą mieć swoje prawa zarówno autochtoni i emigranci. Niedługo bowiem ta dystynkcja ulegnie osłabieniu, bo współczesny „człowiek ponowoczesny” staje się obecnie nomadą ekonomicznym i kulturowym, tracąc świadomość

swojego pierwotnego pojmowania narodowości i jej dziedzictwa religijno-kulturowego¹⁹.

Bunt jako narzędzie obrony i rozwoju sensownego istnienia człowieka

W refleksji filozoficznej Camusa daje się wyróżnić dwie formy buntu: bunt fizyczny (egzystencjalny i artystyczny) oraz metafizyczny, ze szczególnym naciskiem na wartość sprawczą i aksjotwórczą tego drugiego. Bunt fizyczny bez wcześniejszego buntu metafizycznego najczęściej przekształca się w gwałt i przemoc, co potwierdza historia, która ujawniają się we wszystkich działaniach rewolucyjnych i tak jest też postrzegany w świadomości społecznej czyniąc najczęściej buntownika w bezpośrednim doświadczeniu egzystencjalnym zwykłym przestępcą. Nieprzypadkowo więc rewolucje i kontrrewolucje „zjadają własne dzieci”. Mechanizm ten polega na tym, że nowa świadomość buntownicza walczy o zmianę postrzegania człowieka w aktualnej sytuacji społeczno-świadomościowej, proponując jednocześnie jego nową formę, która uzasadnia zarówno sprzeciw jak i bunt w kontekście obowiązujących wzorów esencjalistycznych. Określają one kim właściwie winien być człowiek danego kontekstu społeczno-świadomościowego. Buntownicy kwestionujący te obowiązujące wzory esencjalne w kontekstach analizy egzystencjalnej dla wzmocnienia swoich aktów sprzeciwu i buntu proponują nową wizję metafizyczną człowieka również o charakterze esencjalnych. W świetle faktów gwałtu i przemocy, w których buntownicy narażają własne życie, ma ich uczynić nie przestępcami, ale bohaterami, zaś innych im obecnych ludźmi jakby ludźmi niższego typu, którzy przez fakt nieuczestniczenia w sprzeciwie i buncie będą uchodzić za jednostki reakcyjne i kontrrewolucyjne. Wyjaśnia to mechanizm maszyny społecznej w przypadku kontrrewolucji, zjadającej również „własne dzieci” – „kto nie z nami, ten przeciw nam”.

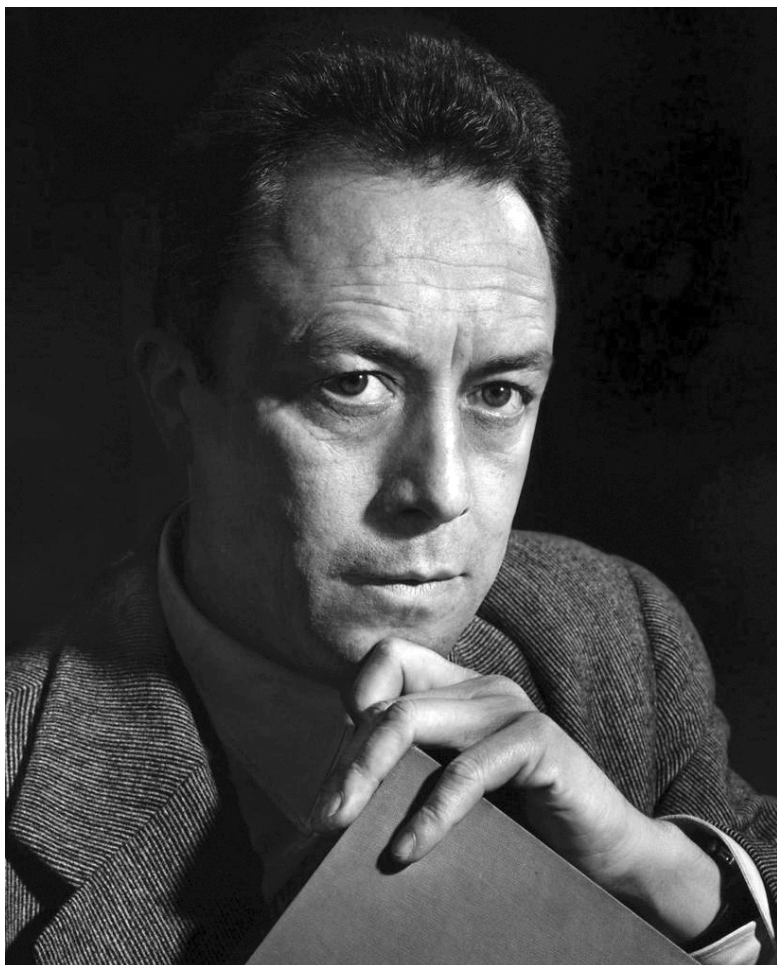
Ten model buntu fizycznego najczęściej nazywa się „modelem Spartakusa”, który wszczął bunt przeciwko niewolniczej kondycji ludzi w imperium rzymskim, ale nie proponowała innego, od poprzedniego rozwiązania społecznej kondycji ludzi, spychając wcześniejszych swoich adwersarzy i przeciwników do poziomu niewolników, co doprowadziło do jego klęski. Można zatem przyjąć, że Camus zrozumiał ten mechanizm aksjologiczny wcześniejszych dziejowych buntów i rewolucji ludzkich i chciał zaproponować nowe jego rozwiązanie aksjologiczne, eksponując przede wszystkim bunt metafizyczny, na poziomie świadomości zbiorowej i to o charakterze uniwersalistycznym, który wykluczałby i minimalizował krwawy gwałt i przemoc, a więc ludobójstwa i samobójstwa. One towarzyszą takim nagłym zmianom społecznym o charakterze buntu fizycznego, który w wydaniach masowych przybiera formy rewolucji i towarzyszących im

wielkich aksjologicznych odwartościowań godności ludzkiej przez „aktyw rewolucyjny buntowników”.

W opinii Camusa z perspektywy historycznego doświadczenia ludzi bardziej wartościowy i wartościotwórczy jest bunt metafizyczny, skierowany w wyniku analityki egzystencjalnej aktualnej kondycji człowieka i towarzyszących jej kontekstów aksjologicznych, przeciw „aktualnej idei człowieka”. Bunt ten ma mieć charakter stricte uniwersalny, eksponujący przede wszystkim prymarną aksjologicznie wartość wolności człowieka, ale i „solidarności w wolności”. Ma więc zabezpieczać bez wyjątku godne życie każdej jednostce, ale i nie daje żadnego aksjologicznego uzasadnienia śmierci, tj. różnym formom marginalizacji, zabójstwa i ludobójstwa²⁰. Osłabia on również pasję świadomości indywidualnej i społecznej do przyjmowania fizycznych postaw buntowniczych, bo pozwala je pokojowo korygować i ograniczać głównie do aktywnych protestów społecznych oraz tzw. postaw „biernego oporu”, które tylko incydentalnie mogą prowadzić do zabójstwa lub samobójstwa. W takiej perspektywie metafizyczno-uniwersalnej bunt „sam w sobie” staje się również wartością, tworzącą i sprzyjającą próbom podejmowania kreacji nowych wartości. Jako wartość pozytywna zapobiega bowiem absolutyzacji wartości i ich idealistycznej esencjalizacji, absolutyzującej m.in. pojęcie istoty egzystencjalnej człowieka z danego kontekstu społeczno-swiadomościowego, czyli etnicznego. Na tym odkryciu i racjonalnym uzasadnieniu oraz propozycji rozwiązywania natury aporetycznej bytu ludzkiego w kontekście tworzonego przez niego świata zdaje się polegać obecnie, ale i w przyszłości wartość myśli tego egzystencjalizującego intelektualisty francuskiego, które zwiera jego puścizna pisarska i eseistyczno-filozoficzna.

Przypisy:

1. M. Kałuża, *Elementy filozofii absurdu w dramaturgii Alberta Camusa*, Wydawnictwo LIBRON, Kraków 2016, s. 23-23.
2. Por. I. S. Fiut, *Człowiek według Alberta Camusa. Studium antropologii egzystencjalnej*, Kraków 1993, szczególnie rozdział I. „Twórca, jego dzieło i epoka”, s. 7-14 i J. Daniel, *Le combat pour „Combat”*, P-H Simon, *Le combat contre les mandarins*, J. Roy, *La tragédie algérienne*, (w:) R-M Albérès i inni, Camus, *Collection Génies et Réalités*, Hachette, Paris 1964, s. 77-156 i 199-216.
3. W. Szydłowska, *Camus*, Seria: Myśli i Ludzie, Wiedza Powszechna, Warszawa 2002, s. 36-37.
4. A. Camus, *Człowiek zbuntowany*, (w:) W. Szydłowska, Camus, ibidem, s. 135-138 i 141-143.
5. F. Estrade, *Człowiek i twórca: Albert Camus*, MUZA SA, Warszawa 2008, s. 17-48.
6. Ibidem, s. 81 – 98.
7. I. S. Fiut, *Człowiek według Alberta Camusa. Studium antropologii egzystencjalnej*, op. cit., s. 49-52.
8. A. Camus, *Mit Syzyfa. Rozumowanie absurdałne*, (w:) idem, *Eseje*. Wydanie drugie, PIW, Warszawa 1974, s. 112-114.
9. Ibidem, s. 162.
10. A. Camus, *Człowiek zbuntowany*, (w:) idem, *Eseje*, op. cit., s. 273-275 i 281-282. Por. również. F. Estrade, *Człowiek i twórca: Albert Camus*, op. cit., s. 137-139.
11. Por. A. Camus, *Pierwszy człowiek*, PIW, Warszawa 1994. Camus rozwodzi się tu nad własnym doświadczeniem związanym z brakiem autorytetu ojca w rozwoju własnej dojrzałej osobowości. Jednocześnie dzieli się doświadczeniem z prób konstrukcji samodzielnej i własnej osobowości twórczej, co zbliża go jakby do sytuacji „ucznia Sokratesa” po śmierci mistrza, który był stworzył sobie „ducha opiekuńczego” (cenzora), czyli ową „kosmiczną ideę człowieka”, która w konsekwencji staje się dla niego wzorem i granicą w wyborach siebie i innych w świecie w oparciu o mechanizm buntowniczości fizycznej, metafizycznej oraz artystycznej.
12. L. Althusser, E. Balibar, *Czytanie Kapitału*, Warszaw 1975, s. 15-16.
13. E. Balibar, I. Wallerstein, *Race, Nation, Class. Ambiguous Identities*, Verso 1991, s. 44.
14. Por. R. Gasche, *Europe, or the Infinite Task. A study of philosophical concept*, Stanford 2009.
15. E. Balibar, *Trwoga mas. Polityka i filozofia przed Marksem i po Marksie*, Warszawa 2007, s. 289-300.
16. Ibidem, s. 369-371.
17. E. Balibar, I. Wallerstein, *Race, Nation, Class. Ambiguous Identities*, op. cit., s. 56-59.
18. Ibidem, s. 17-28.
19. Por. J. Butler, E. Laclau, S. Žižek, *Przygodność, hegemonia, uniwersalność: współczesne debaty na lewicy*, Warszawa 2014.
20. Por. W. Natanson, *Szczęście Syzyfa*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1980 i O. Todd, *Albert Camus, une vie*, Gallimard, Paris 1996.



ALBERT CAMUS

francuski pisarz, dramaturg, eseista, reżyser teatralny. Czołowy reprezentant egzystencjalizmu w literaturze. Uważany za jednego z najwybitniejszych intelektualistów europejskich II połowy XX w.

ur.: 7 listopada 1913, Dréan, Algieria, zmarł 4 stycznia 1960, Villeblevin, Francja

Książki: *Obcy*, *Dżuma*, *Mit Syzyfa*, *Człowiek zbuntowany*

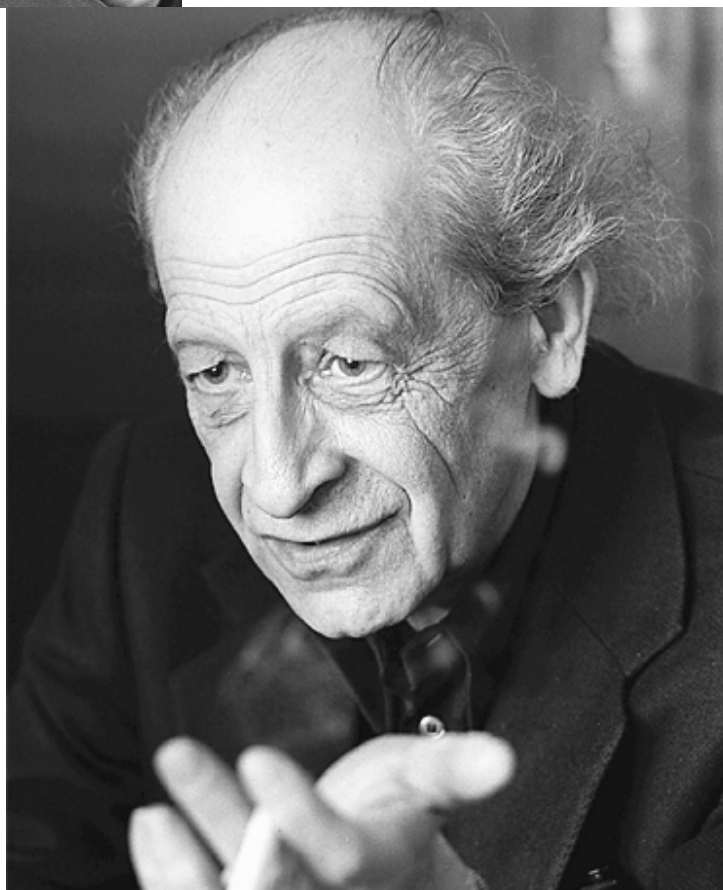
Sztuki: *Kaligula*, *Sprawiedliwi*

JEAN AMÉRY, WŁAŚCIWIE HANS MAYER

ur. 31 października 1912 w Wiedniu, zm. 17 października 1978 w Salzburgu) – belgijski pisarz pochodzenia austriackiego, autor książki *Poza winą i karą* (1966).

Urodzony w zasymilowanej rodzinie żydowskiej, otrzymał katolickie wychowanie. W roku 1938 wyemigrował wraz z żoną do Belgii, gdzie zmienił nazwisko na Améry (anagram nazwiska Mayer), dla podkreślenia swego zerwania z kulturą niemiecką. Po wybuchu II wojny światowej działał w belgijskim ruchu oporu. Został aresztowany przez gestapo i był torturowany. Po odkryciu jego żydowskiego pochodzenia wysłano go do niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz, następnie do Buchenwaldu i Bergen-Belsen, gdzie w kwietniu 1945 został wyzwolony przez armię brytyjską.

W roku 1978 popełnił samobójstwo.



ANNA SZKLARSKA

ŻYCIE I UPŁYW CZASU W UJĘCIU JEANA AMÉRY

Tematem niniejszego artykułu będzie refleksja nad starością dokonana przez Jeana Améry. Ten oryginalny pisarz i myśliciel żydowskiego pochodzenia, autor m.in. książek „Poza winą i karą” czy „O starzeniu się. Bunt i rezygnacja” w sposób niebywale przejmujący i szczery wypowiada się o zbliżaniu się do kresu życia. Pisze o utraceniu godności starzenia się, o tym, jak społeczeństwo reaguje na fakt, iż człowiek przestaje nadążyć za biegiem kultury, w której żyje, wreszcie – analizuje starzenie się jako czas, w którym spotykamy się z myślami o śmierci.

Urodził się w Austrii, w czasie drugiej wojny światowej działał w belgijskim ruchu oporu, przeszedł piekło obozów koncentracyjnych. Chcąc zdystansować się od niemieckiej kultury, przez wiele lat nie posługiwał się językiem niemieckim, również jako twórca. Przyjął francusko brzmiące imię i nazwisko, stanowiące anagram pierwotnego (Hans Mayer).

Améry pisze swoją książkę poświęconą tematowi przemijania w drugiej połowie lat 60-tych XX wieku, jej pierwsze wydanie ukazuje się w 1968 roku. Autor ma wówczas pięćdziesiąt pięć lat i zaczyna dostrzegać, że się starzeje. Co to jednak oznacza: starzeć się? Można zaproponować następującą odpowiedź na to pytanie: starzenie się polega z jednej strony na pewnej nostalgii wobec wydarzeń, które już minęły, wiąże się więc ze swego rodzaju sentymentalizmem, przede wszystkim zaś na postrzeganiu upływu czasu w kategoriach czasu, który został podmiotowi dany. „Jeszcze tylko tyle a tyle przede mną” – konstatuje Améry. Człowiek starzeje się, czyli w szczególny sposób odnosi się wobec czasu jako takiego. Dla myśliciela starzenie się jest doświadczeniem bardzo subiektywnym i wszechogarniającym człowieka.

W połowie XIV wieku w Europie dżuma zbierała straszliwe żniwo nawet dziewięćdziesięciu na stu mieszkańców przeciętnego trapionego epidemią miasta. Jeszcze w latach 50-tych XX wieku średnia światowa długość życia wynosiła niecałe 50 lat. Dawniej śmierć nagła, niespodziewana, spadająca na człowieka zniemacka była dużo częstsza. Odkąd stała się bardziej naturalna, odkąd człowiek zyskał więcej czasu, nastąpiła też zmiana w myśleniu o starości, w postrzeganiu samej starości. Jednakże, dając więcej czasu na starzenie się, kultura obarcza zarazem ludzi starych swego rodzaju presją, a nawet wywołuje poczucie wykluczenia. Im bardziej długowieczne społeczeństwo, tym bardziej afirmująca młodość i represyjna wobec starości okazuje się być kultura. Człowiek stary w ujęciu Améry'ego to człowiek żyjący w stresie i zmagający się niejednokrotnie z

melancholią, a nawet kliniczną depresją. We współczesnej kulturze, owładniętej kultem młodości, człowiek traci godność starzenia się. Améry w sposób niebywale sugestywny i emocjonalny opisuje tą deprecjację. Starzenie rozpoczyna się wraz z chwilą uświadomienia, iż oto zaczęło się zbliżanie ku śmierci, ku temu, co nieuchronne. Dotychczas człowiek żył w horyzoncie możliwości, odtąd zaczyna żyć w perspektywie pewnej bezdyskusyjnej skończoności, graniczności. Moment, w którym pojawia się ta świadomość, stanowi moment bolesnego rozpoznania. Fakt, iż jest to coraz powszechniejsze doświadczenie, ma swoje konsekwencje. Przez stulecia człowiek, żyjący długo, uznawany był – z uwagi na bogactwo doświadczenia, które było czymś unikatowym, wyróżniającym go spośród innych – za dojrzałego mędrca. Dziś zastąpił go zgorzkniały i stetryczały emeryt, którego świat nie potrzebuje, by się rozwijać. Młodzi, rozważając wybór zawodowej drogi czy podejmując decyzję w sprawie kredytu nie udaje się po życiową poradę do swoich dziadków, którzy wydają się nie przystawać do ulegającego ciągłym zmianom świata.

Améry był więźniem aż trzech obozów koncentracyjnych: w Oświęcimiu, Buchenwaldzie i Bergen-Belsen. Pobyt tam pozostawił w nim traumatyczne wspomnienia, z którymi myśliciel nie zdołał się uporać, o czym może świadczyć fakt, iż w roku 1978 odebrał sobie życie, prosząc w pożegnalnym liście, by na jego nagrobku wyryty został numer oświęcimski, który mu przydzielono wiele lat wcześniej. Mimo całej grozy, jaka temu towarzyszyła, Améry opisuje doświadczenie obozów jako pozostawiające nadzieję ocalenia, nadzieję radykalnej zmiany i w opozycji do nich określa ostatni obóz, w jakim się znalazł – a ma tu na myśli dom starców – jako nie dający już takiej nadziei. Skontrastowanie obozu koncentracyjnego i obozu starców stanowi mocny akcent tych rozważań. Jednocześnie, Améry doświadczając osamotnienia i upokorzenia obozu starców, rezygnuje z wszelkich, jak sam je nazywa – ucieczek z tego stanu, mających charakter religijny. W miejsce poszukiwania pocieszenia w sferze sacrum wybiera ucieczkę niespodziewanej, gwałtownej śmierci, nim jednak do tego dochodzi porywa się na demistyfikację starości. Wymaga to nie lada odwagi.

Wokół procesu starzenia się, wobec fenomenu starości panuje zmowa milczenia. Starość jest czymś wstydlivym, mało atrakcyjnym, bolesnym, trudnym, nieestetycznym, jest zwycięstwem słabości. Jest rodzajem getta, z którego nie ma wyjścia. Jest stanem zdeterminowania, zorientowania na śmierć, stanem, w którym niemożliwa jest spontaniczność, działanie twórcze i nieprzewidywalne. Stary człowiek to ktoś, komu społeczeństwo daje wyraźnie do zrozumienia, iż nie nadąża za biegiem jego kultury. To, zdaniem myśliciela czas rezygnacji, poczucia zbędności i cierpienia. Pytanie, jakie się nasuwa, brzmi: co zrobić z tym dramatycznym obrazem starości, jaki przedstawia Jean Améry? Ma

on oczywiście pewien biograficzny, historyczny kontekst. Améry dzieli się swoim doświadczeniem starości, które posiada zdecydowanie tragiczny rys. Myślicielowi, w duchu egzystencjalizmu, paradoksalnie idzie o próbę obrony ludzkiej godności w obliczu dramatu schyłku życia. W czasach, gdy pisarz wchodził w jesień życia, temat starości był mało popularny. Wówczas nauka nie zajmowała się starzeniem, jak to się dzieje dzisiaj. Nie było analogicznych do współczesnych, rozmaitych programów wsparcia w starości, specjalistycznych terapii osób dojrzałych, Uniwersytetów Trzeciego Wieku i innych inicjatyw mających na celu aktywizację tej grupy wiekowej. Améry pozostawia po sobie zapiski stanowiące świadectwo dojmującego bólu i poczucia rezygnacji człowieka starego. W swoich analizach życia wewnętrznego pomija radość życia, poczucie sensu i spełnienia, eksponuje natomiast izolację, osamotnienie, klęskę, odrzucenie, poczucie bezsensu. Pojawia się wówczas pytanie: czy życie warte jest życia. Pytanie, na które Améry odpowiada na sposób radykalny, wierząc, iż desperacki krok może stanowić akt odwagi, poświęcenie własnej autonomii, wbrew światu, który starość postrzega jako stan coraz głębszej utraty wolności, coraz boleśniejszego zatracania prawa do decydowania o sobie. Eseje Jeana Améry odsłaniają pewne kulturowe tabu, aczkolwiek autor wydaje się nie mieć intencji dotarcia do jakichś konstruktywnych konkluzji. W perspektywie tej starość jest sprawą kłopotliwą. Można nawet rzec – sytuacja jest beznadziejna. Améry ukierunkowuje nas na pewien dramat, o którym współczesny człowiek nie lubi myśleć. Chce wiernie oddać procesy, w jakie uwikłany jest starzejący się człowiek. Stosuje metodę introspekcji, stara się także obserwować i wczuwać w sytuację innych starszych osób. Chce rzucić światło na pewną sytuację w wymiarze psychologicznym i filozoficznym. Jak twierdzi – pragnąc pozostać wiernym prawdzie – porzuca ewokowane przez starzejącego się człowieka nadzieje, pozbawia go pociechy. Dojrzałą mądrość, dystans, pogodzenie z losem, spokój wieku dojrzałego uznaje za poniżające oszustwo, hipokryzję, wobec której się buntuje. Starość na gruncie tych rozważań jest czymś nieuchronnym, skandalicznym i skrajnie osobistym. Impresje o starości Améry'ego nie mają charakteru powszechnie obowiązującego. Autor wyraża przekonanie, iż „społeczeństwo musi zrobić wszystko, by ulżyć doli starzejących i starych.”¹ Jednocześnie jednak zwraca uwagę, iż „wszelkie godne szacunku wysiłki w tej mierze mogą łagodzić,(...) ale nie potrafią wnieść gruntownej zmiany ani poprawy do tragedii starzenia się”.²

Podsumowując – Améry jest zdania, że proces starzenia się zaczyna się stosunkowo wcześnie, nawet przed pięćdziesiątym rokiem życia, w chwili, gdy uświadomiamy sobie boleśnie swoją skończoność. Uważa, że świat unicestwia starzejącego i czyni go niewidzialnym. Ubolewa, że szacunek dla starszych to pusta konwencja. Co więcej – stary człowiek

to w soczewce myśliciela ktoś, kto nie rozumie już świata, ponieważ świata, który rozumie, już nie ma.

Młode życie daje wiele nadziei, mnogość perspektyw, obiecuje przestrzeń i świat, które czekają, by je eksplorować. Stary człowiek jest od tych wyzwań odgradzony, żyje w niechcianej symbiozie z umieraniem, w zakłamanym kompromisie nieuchronności swej kondycji. Dni kurczą się, marzenia wysychają, pojawia się pragnienie, by powiedzieć prawdę.

Prawda o starości, przemijaniu, radykalności śmierci jest ekskluzywną wartością, niedostępną młodym – uważa autor. Prawda Jeana Améry związana jest oczywiście z prawdą jego życia, ma subiektywny, a niekoniecznie uniwersalny charakter. Jego zapiski wyrażają pewne indywidualne doświadczenie egzystencjalne. Jakkolwiek subiektywna, jest to jednak prawda, która daje do myślenia.

Filozofowie antyczni uważali, że życie, w którym brakuje przyjaźni nie jest wiele warte. Arystoteles podkreślał, iż dla osiągnięcia szczęścia nic nie jest tak niezbędne jak przyjaźń. Zapewnia nam ona poczucie wspólnoty, zrozumienia, radość z obecności drugiego, intymność a zarazem doświadczenie dzielenia się z kimś światem. Gdy jej zabraknie, człowiek popada w osamotnienie. Przyjaźń możliwa jest w każdym okresie życia, stąd mogłaby stanowić naturalny rodzaj wsparcia w obliczu tego, co ostateczne. Jak sprawić, by taka przyjaźń się powiodła, to inne, niebanalne zagadnienie. Sam Améry jednak nie proponuje takiego antidotum na ów nieznośny ból starości, który analizuje. Pragnie się zeń wyzwolić, lecz nie ma pomysłu jak to zrobić. Jego dyskurs pobrzmiwa rezygnacją, osamotnieniem i zniechęceniem.

Wydaje się jednak, że istnieje taka sfera naszej egzystencji i taka aktywność, która pomaga stawić czoła przemijaniu. Jest nią dziedzina ludzkiej myśli i samo myślenie, które mają charakter ponadczasowy. Jak celnie zwracała uwagę Hannah Arendt w eseju napisanym z okazji jubileuszu osiemdziesiątych urodzin Martina Heideggera: „Każdy myśliciel, jeśli tylko dożyje dostatecznie późnego wieku, musi dążyć do rozwikłania tego, co już faktycznie wyłoniło się jako wynik jego myślenia, a czyni to po prostu przez ponowne przemyślenie. (...) Myślące „ja” jest pozaczasowe, co jest przekleństwem i błogosławieństwem myśliciela, w tej mierze bowiem, w jakiej istnieje on tylko w myśleniu, staje się stary, nie starzejąc się.”³ Dla myślącego ego czas się zatrzymuje, nie ma on znaczenia dla myśli. Myśl nie jest młoda, ani stara, lecz powierzchowna, lub głęboka, trafiająca w prawdę, przybliżająca się doń, bądź chybiająca. Głębina myśli nie jest uwarunkowana metryką, namiętność myślenia przydarza się każdemu. Bywa jednak, że czas zadaje gwałt myślącemu ego i sprawności jego umysłu.

Heidegger uważał, że człowiek, każdy, bez wyjątku, jest byciem ku śmierci. Jednakże możliwe jest odwrócenie tej perspektywy i uznanie, że może być on ukierunkowany zarówno na śmierć, jak i na życie, i to niezależnie od bagażu doświadczeń, stanu zdrowia czy wieku. „Człowiek (...) chcąc czy nie chcąc musi dokonać elementarnego wyboru: wmówić sobie albo życie albo śmierć. Przekonując się do śmierci, czyli dokonując wyboru tanatycznego, podkreśla on i urefleksyjnia moment problematyczności (..) wybór ten oznacza trwanie w (..) nostalgicznym poczuciu wybrakowania wobec istot, którym dana jest egzystencja pełniejsza.”⁴ Choć fragment ten, pochodzący z książki Agaty Bielik-Robson poświęconej witalizmowi, nie nawiązuje bezpośrednio do problemu starości, może świetnie funkcjonować w takim kontekście. Starość dla Améry’ego to właśnie nostalgia za egzystencją pełniejszą, poczucie braku i zawodu, powiązane z myśleniem o czasie odejścia i odliczaniem czasu do odejścia. Czytelnik pism Améry’ego odnosi wrażenie, że ten wmówił sobie śmierć, będąc zarazem przekonany, że prawdziwe życie jest gdzie indziej, poza całą obozu starców, w której nie ma najmniejszych śladów witalności. Nie chciałbym bynajmniej, by słowa te zabrzmiały jak oskarżenie myśliciela. Améry nie pragnął ani sądu, ani współczucia, lecz na to drugie zasługiwał jak mało który twórca. Starość przezeń przedstawiona jest potwornie smutnym obrazem. Trudno jednak pozbyć się przekonania, że przybliżyła nas do jakiejś prawdy o ludzkiej kondycji.

Bibliografia:

1. J. Améry, *O starzeniu się. Bunt i rezygnacja*, przeł. B. Baran, Czytelnik, Warszawa 2007.
2. J. Améry, *Podnieść na siebie rękę. Dyskurs o dobrowolnej śmierci*, Czytelnik, Warszawa 2007.
3. H. Arendt, *Martin Heidegger kończy osiemdziesiąt lat*, [w:] *Ludzie w mrocznych czasach*, przeł. H. Krzeczkowski, wyd. Słowo/obraz/terytoria, Gdańsk 2013.
4. A. Bielik-Robson, *Erros. Mesjański witalizm i filozofia*, Universitas, Kraków 2012.

Przypisy:

1. J. Améry, *O starzeniu się. Bunt i rezygnacja*, przeł. B. Baran, Czytelnik, Warszawa 2007, s. 20.
2. Tamże.
3. H. Arendt, *Martin Heidegger kończy osiemdziesiąt lat*, [w:] *Ludzie w mrocznych czasach*, przeł. H. Krzeczkowski, wyd. Słowo/obraz/terytoria, Gdańsk 2013, s.179-180.
4. A. Bielik-Robson, *Erros. Mesjański witalizm i filozofia*, Universitas, Kraków 2012, s.8.



Mereczowszczyzna – dworek Tadeusza Kościuszki, foto R. Sławczyński

*Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy,
Choć macie sami doskonalsze wznieść;
Na nich się jeszcze święty ogień żarzy,
I miłość ludzka stoi tam na straży,
I wy winniście im cześć! (...)*

Adam Asnyk, „Do młodych”

*Jeśli zapomnę o nich,
Ty, Boże na niebie, zapomnij o mnie.
(...)*

Adam Mickiewicz, „Dziady”



Draguny. Cmentarz Żołnierzy Wojska Polskiego z wojny polsko-bolszewickiej 1919-1920, R. Sławczyński

Od autora

Wszystkie wyjazdy były skrupulatnie przygotowane, a naszym środkiem lokomocji prawie zawsze był samochód, co pozwalało na stosunkowo łatwe dotarcie do każdego wyznaczonego celu.

Obszarem globtroterskich wojaży były Kresy. No tak, tylko gdzie je znaleźć na mapie i na której mapie? Do jakiego odnieść obszaru geograficznego?

RYSZARD SŁAWCZYŃSKI



SAMOCHODEM PRZEZ KRESY

W najszerszym rozumieniu terytorialnym Kresy to dawne rozległe ziemie Rzeczypospolitej, Księstwa Litewskiego i Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Położone są na wschód od aktualnej wschodniej granicy Polski i sięgają na północy po dawne Inflanty, Ziemię Smoleńską i Czernichowską na wschodzie oraz Dzikie Pola i Besarabię na południu. Czyli Kresy znajdują się na dzisiejszym terytorium Litwy, Łotwy, Estonii, Białorusi, Rosji, (do Kresó1) należy zaliczyć również obwód kaliningradzki), Ukrainy i Mołdawii. Ale to nie tylko terytorium. To przede wszystkim arcybogata spuścizna polskiego i europejskiego dziedzictwa kulturowego. Ekspansja Rzeczypospolitej na te tereny trwała bowiem od średniowiecza, a na Kresach ścierały się dwie cywilizacje: łacińska i bizantyjska. Ziemie te zamieszkiwało ponad dwadzieścia narodowości i grup etnicznych, wśród nich: Polacy, Litwini, Żydzi, Łotysze, Rusini czyli dzisiejsi Ukraińcy i Białorusini, Ormianie, Tatarzy, Rosjanie, Czesi, Niemcy, Karaimi, Łemkowie, Hucułowie, Bojkowie oraz Liwowie. Obok siebie żyli tam w duchu tolerancji ludzie różnych narodowości i wyznań. Przykładem jest Iwie – miasteczko liczące obecnie ponad osiem tysięcy mieszkańców, gdzie dawniej znajdował się kościół rzymskokatolicki wraz z klasztorem Bernardynów, cerkiew, synagoga i meczet. Ponadto w Iwiu istniała szkoła ariańska. To na Kresach, powstał w 1596 roku w Brześciu Litewskim kościół unicki (greckokatolicki), tam znalazły również swoje miejsce liczne skupiska wyznawców kalwinizmu, luteranizmu w okresie Reformacji czy wyznawców arianizmu. Tam funkcjonowały dwa silne ośrodki akademickie: Uniwersytet Wileński założony w 1579 roku przez króla Stefana Batorego oraz Uniwersytet Lwowski powstały w 1661 roku z inicjatywy króla Jana Kazimierza. Na przestrzeni setek lat Kresy zmieniały swoje oblicze i jak pisze Nikołaj Iwanow w książce „Powstanie Warszawskie widziane z Moskwy”: Antypolska polityka caratu i stalinowskie wyniszczanie narodu polskiego miały wyraźny wspólny cel: doprowadzić do powstania zupełnie nowej sytuacji narodowościowej, do

przekształcenia niegdyś licznych Polaków-Kresowian w kategorię wyłącznie historyczną. Holokaust Żydów dokonany przez nazistów niemieckich oraz mordy na ludności polskiej, wywózki na Sybir i w końcu wypędzenie Polaków z tych ziem po II wojnie światowej oraz powstanie z początkiem lat dziewięćdziesiątych – po upadku władzy sowieckiej – nowych organizmów państwowych zmieniło ostatecznie obraz Kresów wielonarodowych i wieloreligijnych. Jednak Kresy wciąż „przemawiają” do nas. I nie sposób zrozumieć współczesnego położenia Polski bez wiedzy o Kresach – jednym z płuc Polski.

Na szlaku naszych wakacyjnych wędrówek znalazły się takie miejscowości jak Drohobycz, gdzie urodził się poeta Kazimierz Wierzyński, Stryj – skąd pochodzi pisarz, twórca Koziołka Matołka kultowej postaci dla dzieci, Kornel Makuszyński, Berdyczów, gdzie w 1857 roku przyszedł na świat pisarz Józef Konrad Korzeniowski, Krzemieniec Juliusza Słowackiego, Nowogródek wieszca Adama Mickiewicza. Zresztą lista wybitnych Polaków urodzonych na Kresach jest wyjątkowo długa i przypomnijmy jeszcze choć kilkoro z nich: Eliza Orzeszkowa – autorka powieści „Nad Niemnem”, Stanisław Moniuszko – kompozytor, autor opery „Halka” i „Straszny dwór”, Karol Szymanowski – kompozytor i pianista, Franciszek Karpiński – autor kolędy „Bóg się rodzi, moc truchleje”, Władysław Syrokomla – poeta, autor piosenki „Wlazł kotek na płotek”, Kornel Ujejski – poeta, Gabriel Narutowicz – pierwszy prezydent Rzeczypospolitej, Ignacy Domeyko – inżynier górnictwa, badacz Ameryki Południowej czy Ignacy Paderewski – pianista, kompozytor i premier Polski. Z Kresów pochodzą: Mariusz Zaruski – pionier polskiego żeglarstwa, Wanda Rutkiewicz urodzona w Pługianach na Żmudzi – światowej sławy himalaistka, Czesław Niemen – piosenkarz i kompozytor urodzony w Starych Wasylizkach, Stanisław Lenartowicz – reżyser i scenarzysta filmowy, żołnierz Armii Krajowej urodzony na Wileńszczyźnie czy kontrowersyjny w swych postawach

laureat literackiej Nagrody Nobla - Czesław Miłosz. We Lwowie urodził się Zbigniew Herbert – poeta, dramaturg, autor cyklu poetyckiego „Pan Cogito“, oraz zmarły pod koniec 2015 roku kompozytor – Wojciech Kilar.

Najdłuższa z wypraw odbyła się latem 2008 roku i trwała półtora miesiąca, prowadząc od Białogrodu nad Dniestrem (dawny Akerman) i Odessy na terytorium Ukrainy do Rygi na Łotwie (od morza do morza). Ogółem przejechaliśmy wtedy blisko dziewięć tysięcy siedemset kilometrów. W trakcie wędrówek dotarliśmy do miejscowości Krewa, gdzie w 1385 roku doszło do zawarcia unii między Polską a Litwą, ponadto znaleźliśmy się w miasteczku Bar na Podolu, gdzie w 1768 roku w obronie niepodległości Rzeczypospolitej powstał związek szlachty polskiej wymierzony przeciwko ingerencji Imperium Rosyjskiego w sprawy polskie. Dojechaliśmy też do położonej nieopodal Humania Targowicy będącej symbolem zdrady narodowej. Tu, na Kresach, wojska polskie walczyły, odnosząc zwycięstwa i porażki z wojskami rosyjskimi, tureckimi, szwedzkimi czy Tatarami. Nie mogło więc zabraknąć na naszym szlaku miejsc związanych z chwałą polskiego oręża: Kamieńca Podolskiego, Okopów Świętej Trójcy, Chocimia, Zbaraża, Beresteczka, Zadwórza czy Kircholmu, gdzie w 1605 roku wojska polskie pod dowództwem Jana Karola Chodkiewicza pokonały Szwedów. Na Kresach urodziło się wielu wybitnych dowódców polskich, między innymi hetman Stanisław Żółkiewski, zwycięzca bitwy pod Kłuszynem w 1610 roku, po której Polska zajęła na dwa lata Moskwę. Następstwem tego zwycięstwa był również hołd ruski 29 października 1611 roku w Sali Senatu Zamku Królewskiego w Warszawie. Hołd został złożony w obecności szlachty i senatu królowi Polski Zygmuntowi III Wazie i królewiczowi Władysławowi (będącemu wówczas carem Rosji) przez zdetronizowanego Wasylę IV Szujskiego i jego braci Dymitra i Iwana. Na Kresach urodził się też król Polski Jan III Sobieski pogromca Turków pod Wiedniem w 1683 roku, ponadto generał, dyktator Powstania Styczniowego, Romuald Traugutt, marszałek Józef Piłsudski, marszałek Edward Rydz-Śmigły, generał Lucjan Żeligowski, generał Franciszek Kleeberg, generał Stanisław Maczek, generał Stanisław Sosabowski, generał Tadeusz Bór-Komorowski oraz urodzony w Pacewiczach podpułkownik Maciej Kalenkiwicz ps. „Kotwicz”. Wśród wielu postaci kresowych znajduje się również urodzony na Merczowszczyźnie generał Tadeusz Kościuszko.

Merczowszczyzna – miejsce urodzenia Tadeusza Kościuszki

Pierwsza część powstałego w efekcie albumu przybliżyła nam miejsce, w którym przyszedł na świat Tadeusz Kościuszko – Merczowszczyznę – oraz najciekawsze obiekty znajdujące się w okolicy: ruiny Pałacu Pusłowskich oraz kościół rzymskokatolicki p.w. Świętej Trójcy w Kosowie Poleskim.

Merczowszczyzna – tajemniczo, ale nie obco brzmiąca nazwa – to dawna wieś i folwark położone na Polesiu, około 170 kilometrów na wschód od Brześcia - jadąc w kierunku Baranowicz. Dzisiaj to terytorium Białorusi. Z lekcji historii pamiętamy o kopcu Kościuszki w Krakowie, że serce Naczelnika znajduje się na Zamku Królewskim w Warszawie, ale już nie każdy wie, że urodził się, jak wielu innych wybitnych Polaków, na Kresach, że to tam, zanim trafił do Szkoły Rycerskiej w Warszawie, pobierał wraz ze starszym bratem pierwsze nauki w Kolegium Pijarów w Lubieszowie na Wołyniu. Na Kresach przez długie, długie lata – począwszy od początku XVI wieku, kiedy to król Polski Zygmunt I Stary nadał swojemu dworzaninowi Konstantemu, zwanemu Kostiuszko, dobra w Siechnowiczach na Polesiu – znajdowało się rodowe gniazdo Kościuszków. Teren jest tu nizinny, porośnięty rozłogami i starymi lasami sosnowymi, nad którymi dostojnie krążą białe bociany. Ale Polesie to przede wszystkim kraina jezior, bagien i sieć dziko płynących rzek na czele z największą – Prypecią.

W pierwszej połowie XVIII wieku folwark Merczowszczyzna był własnością Sapiehów. Posiadłość objął jako zastaw miecznik brzeski – Ludwik Kościuszko i zamieszkał tu wraz z żoną Teklą z Ratomskich. W drewnianym dworku przyszły na świat dzieci państwa Kościuszków: dwie córki, Anna i Katarzyna oraz synowie Józef i najmłodszy Tadeusz. Późniejszy kapitan korpusu kadetów, pułkownik i generał lejtnant wojsk amerykańskich, Najwyższy Naczelnik Siły Zbrojnej Narodowej urodził się mroźnego poranka 4 lutego 1746 roku. Ochrzczony został kilka dni później w kościele rzymskokatolickim p.w. Świętej Trójcy w Kosowie Poleskim. W świątyni, po lewej stronie, obok chóru, znajduje się chrzcielnica oraz odlany w brązie tekst metryki pochodzącej z księgi parafialnej, a powyżej umieszczono podobiznę Naczelnika. W rzeczywistości ochrzczono go w drewnianym kościółku z 1520 roku, który znajdował się w tym samym miejscu co obecny. Pożar strawił jednak starą świątynię, a nową wzniesiono w latach 1877 – 1878. Z wieży kościoła, gdzie w 1888 roku zawieszono dzwon zakupiony ze składek parafian w Wągrowcu, rozpościera się przepiękny widok na miasteczko i najbliższą okolicę. W okresie międzywojnia – jak pisze Michał Marczak w „Przewodniku po Polesiu” wydanym w 1935 roku w Brześciu nad Bugiem – w Kosowie Poleskim było kilka hotelików, największy „Kupiecki” przy ulicy T. Kościuszki, restauracja „Baczyńskich” w Klubie Oficerów Rezerwy oraz Dom Ludowy przy skręceniu do Merczowszczyzny. Wśród ważniejszych obiektów należy również wymienić: szpital powiatowy, urząd pocztowy, posterunek Policji Państwowej oraz tartak parowy. W okolicy powstało wiele gospodarstw rolnych prowadzonych przez osadników wojskowych. Z wieży kościoła widać położoną w bliskim sąsiedztwie Kosowa Poleskiego Merczowszczyznę wraz ze stawami pełnymi ryb, nad które często

i licznie przyjeżdżają okoliczni rybacy. Tadeusz Kościuszko żył na Mereczowszczyźnie w latach 1746 – 1755, a następnie po powrocie ze szkoły w Lubieszowie od 1760 do 1764 roku. W 1764 roku właściciele dóbr kosowskich Flemingowie wykupili Mereczowszczyznę, a Tadeusz wraz z matką przeniósł się do Siechnowicz. Rok później w grudniu 1765 roku młody Tadeusz wstąpił do Korpusu Kadetów Szkoły Rycerskiej w Warszawie, której hymnem była pieśń biskupa Ignacego Krasickiego pt. „Hymn do miłości Ojczyzny” zaczynająca się od słów: *Święta miłości kochanej Ojczyzny, / Czują cię tylko umysły pocziwie?*

Wraz z upływem lat wieś jak i folwark Mereczowszczyzna przestały istnieć. W okresie dwudziestolecia międzywojennego parterowy dworek był miejscem pamięci o Naczelniku. W sierpniu 1942 roku został spalony przez partyzantów sowieckich. Po upływie ponad sześćdziesięciu lat dworek zrekonstruowano w 2004 roku i znajduje się tu obecnie Muzeum Tadeusza Kościuszki, gdzie zawierane są również związki małżeńskie. Został wybudowany dokładnie w miejscu starego, na niewielkim wzniesieniu, na podmurówce kamiennej, a jego frontowa ściana jest skierowana na południe. Kryty wysokim dachem łanowym z dwoma białymi kominami jest klasycznym dworkiem polskim tamtego czasu. Dawniej otoczony drzewami – jak widać na grafice Napoleona Ordy z 1846 roku – które chroniły od wiatru i słońca. W bliskim sąsiedztwie za dworkiem znajdują się nieduże stawy rybne, za którymi niegdyś stały zabudowania folwarczne. Obecnie znajduje się tu nowo wybudowany hotelik, a obok na postawionym słupie drewnianym bociany założyły gniazdo. Przed dworem musiała być kiedyś również i brama na wciąż otwarta przechodniom ogłasza, że gościnna i wszystkich w gościnę zaprasza - zgodnie ze staropolskim powiedzeniem „Gość w dom, Bóg w dom”. Wchodząc z niedużego ganku do sieni, zauważymy podłogę drewnianą dobrze nawoskowaną, oprócz drzwi wejściowych jest czworo innych. Jedne z nich prowadzą do piwnicy, jedno do kuchni dworskiej (na wprost od wejścia), gdzie stoi duży piec chlebowy, natomiast drzwi na lewo i prawo do pokoi gościnnych, jadalni i sypialni. W sieni na ścianach można dostrzec rogi jelonka, głowę dzika czy wypchanego sokoła bacznie spoglądającego na wszystkich wchodzących. Jest tu eksponowana wystawa starych zdjęć przedstawiających Kosów Poleski sprzed wojny. Kierując się na prawo, wejdziemy do pomieszczenia z kominkiem, na którym zawieszono kopie szabli Naczelnika, jego podobiznę odlaną w mosiądzu oraz odznaczenia, w tym krzyż *Virtuti Militari*. Jest też herb rodziny Kościuszków „Roch III” z drzewem genealogicznym. Wzdłuż ścian w gablotach umieszczono różne przedmioty: wyszczerbiony talerz, wiele niedużych elementów kafli pochodzących ze zniszczonych pieców oraz kolorowe, małe butelki znalezione w trakcie prac budowlanych. W gablotach znajdują się również medale pamiątkowe,

banknoty z wizerunkiem Kościuszki, sukmany z końca XVIII wieku oraz buty oficerskie (rekonstrukcje). Na ścianach nie mogło oczywiście zabraknąć kos powstańczych. Pod eksponatami podpisy wyłącznie w języku białoruskim. W jadalni (to największe pomieszczenie tak jak kuchnia) stoi między oknami piękna kanapa, nad nią portret Naczelnika, zresztą obrazów na ścianach jest więcej. Przy stole znajdują się dwa fotele, stoi tu również kredens, w którym przechowywano naczynia stołowe. To w tym pomieszczeniu zawierane są związki małżeńskie.

Najciekawszym pokojem jest jednak pokój dziecięcy. Tu w rogu pod sufitem został zawieszony obraz Matki Boskiej. Mała kołyska stoi pod oknem, w bliskim sąsiedztwie łóżka, na którym ułożono piramidalnie kilka haftowanych poduszek. Jest jeszcze szafa, mały stolik, a na podłodze dywanik koloru czerwonego. Nad łóżkiem znajdują się podobizny rodziców Tadeusza. Pokój dziecięcy sąsiaduje z kuchnią dworską, w której stoi stół, krzesła, ławy, są tu dzieże, maselnica, przeróżne miedziane naczynia, waga oraz kilka ustawionych na piecu żelazek na duszę. Z kuchni można wyjść nie tylko do sieni i pokoju dziecięcego, ale też oddzielnymi drzwiami opuścić dworek. Będąc już na zewnątrz, kiedy obrócimy się przez lewe ramię, naszym oczom ukaże się widok na ruiny pałacu Pusłowskich. Wzniesiono go dla Wandalina Pusłowskiego w 1838 roku, według projektu znanego architekta Franciszka Jaszczolda. Fasada liczy 120 metrów długości, a cały obiekt posiadał ponoć osiemdziesiąt osiem komnat. Wybudowana w stylu neogotyku rezydencja przypomina zamki angielskie. W okresie II Rzeczypospolitej w pałacu mieściły się biura Starostwa Kosowskiego i Wydziału Sejmikowego, a w sierpniu 1942 roku rezydencję spotkał dokładnie ten sam los co dworek – została spalona przez partyzantów sowieckich. Obecnie obiekt jest otoczony wysokim drewnianym płotem, a wewnątrz prowadzi się prace zabezpieczające budowlę przed dalszą dewastacją.

Nie zachowały się przekazy o tym, czy Kościuszko po opuszczeniu Mereczowszczyzny był tu, ale na pewno nie raz, nie dwa wracał do tego miejsca pamięcią. Zapewne i wtedy kiedy był w Ameryce, i kiedy był przywódcą Insurekcji, i wtedy kiedy przebywał w niewoli rosyjskiej w Sankt Petersburgu. Tu przecież spędził dzieciństwo, tu uczył się chodzić, siodłać konia, łowić ryby i od ojca pobierał pierwsze lekcje fechtunku. Mógł też wspomnieć Mereczowszczyznę, choć przez chwilę, wtedy gdy 2 kwietnia 1817 roku w wieku siedemdziesięciu jeden lat pisał testament, w którym uwalniał w swej wsi dziedzicznej Siechnowicze *włóścian na wieczne czasy od pańszczyzny, robocizny i daniny*.

Zułów – miejsce urodzenia Józefa Piłsudskiego

W pierwszej części albumu zamieszczone zostały również zdjęcia pochodzące z ojczystych stron Józefa



Wilno. Cmentarz Wojskowy na Rossie. Grobowiec z sercem Józefa Piłsudskiego i jego Matki, R. Sławczyński

Piłsudskiego – Zułowa – oraz Powiewiórki, gdzie w parafialnym kościółku pw. św. Kazimierza ochrzczony został późniejszy Marszałek Polski.

Chcąc odwiedzić Zułów, najpierw musimy dojechać do stolicy Litwy – Wilna, a stąd to już bardzo blisko, bo zaledwie 60 kilometrów w kierunku północno-wschodnim przez Niemenczyn i Podbrodzie. Przekroczenie granicy polsko-litewskiej nie niesie ze sobą żadnych problemów, ponieważ znajdujemy się na terenie Unii Europejskiej, inaczej sytuacja wyglądała, kiedy jechaliśmy na Mereczowszczyznę, tam potrzebny był paszport z ważną wizą, na na przejściu granicznym staliśmy po kilka godzin tak przy wjeździe, jak i w drodze powrotnej.

Jadąc do miejsca urodzin Marszałka, jeszcze przed wsią Zułowo musimy skręcić w prawo i przez dorodny sosnowy las dotrzemy do celu drogą wyłożoną kostką brukową z kamieni polnych. Kiedy już dojedziemy do końca tej drogi, po lewej stronie ujrzymy miejsce, gdzie urodził się Józef Piłsudski – Zułów. Niegdyś teren ten wyglądał zupełnie inaczej. Do dworu wjeżdżało się przez murowaną bramę, na której znajdował się herb Ogińskich, wcześniejszych właścicieli tych dóbr. Modrzewiowy dwór z XVIII wieku posadowiony był na kamiennej podmurówce, na niewielkim wzniesieniu w zakolu uroklivej tu rzeki Mery.

Pokryty został wysokim gontowym dachem, pod którym znajdowało się 12 pokoi. W bliskim sąsiedztwie dworu był staw oraz liczne zabudowania gospodarcze: spichlerz, stajnia, warsztat stolarski i gorzelnia.

Pierwsza wzmianka o Zułowie pochodzi z drugiej połowy XVII wieku, kiedy to stanowił własność kasztelana nowogródzkiego Aleksandra Wojny-Jasienieckiego. W późniejszym okresie znalazł się w rękach Giedroyciów, a w XVIII wieku Ogińskich. Wraz z początkiem XIX wieku jego właścicielami została rodzina Michałowskich pochodząca z Mazur. Z małżeństwa Heleny Michałowskiej z Antoniem Billewiczem urodziła się Maria, która wychodząc za mąż za Józefa Wincentego Piłsudskiego, dobra zułowskie wniosła jako posag. Ślub odbył się w kwietniu 1863 roku w Teneniach na Żmudzi, a jesienią młode małżeństwo zamieszkało w Zułowie.

Józef Wincenty Piłsudski pochodził ze starego żmudzkiego rodu Ginetów o bogatych tradycjach patriotycznych. W czasie Powstania Styczniowego sprawował funkcję cywilnego komisarza Rządu Narodowego w powiecie rosieńskim. Z małżeństwa Marii i Józefa Piłsudskich przyszło na świat dwanaścioro dzieci. Pierwsza była Helena urodzona w 1864 roku, następnie Zosia (1865), Bronisław (1866) oraz 5 grudnia 1867 roku późniejszy Naczelnik Państwa



Wilejka. Kwatera żołnierzy polskich z wojny polsko-bolszewickiej

Polskiego, Józef Klemens Piłsudski. Po Józefie nazywanym w domu Ziukiem, urodzili się Adam (1869), Kazimierz (1871), Maria (1873), Jan, Ludwika, Kacper oraz bliźnięta Piotr i Teodora (zmarły mając półtora roku). Siedmioro pierwszych dzieci urodziło się w Zułowie. Oprócz rodziny Piłsudskich zamieszkiwała również w Zułowie guwernantka nauczająca nauczająca języka francuskiego i niemieckiego. Poza tym rezydowały tam jeszcze dwie panie z najbliższej rodziny. Matka małego Ziuka, Maria Piłsudska z Billewiczów, pochodziła tak jak jej mąż z rodziny o bogatych tradycjach patriotycznych. Ojciec Marii brał udział w Powstaniu Styczniowym, o którym pamięć żyła na Litwie szczególnie silnie w pierwszych latach po powstaniu. To matka nauczwała swoje dzieci pacierza i jako pierwsza opowiadała o prawdziwej historii Polski. W bogatej bibliotece dworskiej znajdowało się wiele książek, a wśród nich dzieła wieszczów Juliusza Słowackiego i Adama Mickiewicza.

Józef Piłsudski zwykł mawiać: *Po ojcu odziedziczyłem zdolności, po matce – charakter.* Wspominał: *Matka, nieprzejednana patriotka, nie starała się nawet ukrywać przed nami bólu i zawodu z powodu upadku powstania, owszem wychowywała nas, robiąc właśnie nacisk na konieczność dalszej walki z*

wrogiem Ojczyzny. Od najwcześniejszego dzieciństwa zaznajamiano nas z utworami naszych wieszczów, ze specjalnym uwzględnieniem utworów zakazanych, uczono historii Polski, kupowano książki wyłącznie polskie. Matka z naszych wieszczów lubiła najbardziej Krasińskiego, mnie zaś od dziecka zachwycał zawsze Słowacki, który też był dla mnie pierwszym nauczycielem zasad demokratycznych.

Ojciec przyszłego pierwszego Marszałka Polski ukończył Instytut Rolniczy w Hory-Horkach a w dobrach zułowskich, będących jednymi z największych w powiecie (liczne pola, łąki, lasy), wprowadzał wiele usprawnień i modyfikacji. W ramach modernizacji sprowadził z zagranicy różnego rodzaju urządzenia rolnicze, w tym żniwiarkę i młockarnię, wybudował też cegielnię, terpentyniarnię oraz gorzelnię. W lipcu 1875 roku stary dwór wraz z wyposażeniem oraz częściowo zabudowania gospodarcze spłonęły. W tym feralnym dniu ze stacji kolejowej w Podbrodziu przewożono kocioł parowy do fabryki drożdży, w związku z czym większość osób z dworu uczestniczyła w tej operacji, co spowodowało brak rąk do gaszenia ognia. A tak pożar opisał syn dworskiego ogrodnika, którego relację zamieściła Alwida Antonina Bajor w książce pt. „Piorun, jezioro czerwone. Zułów wczoraj i dziś“, wydanej przez Wydawnictwo Polskie w Wilnie w 1995 roku. Oto co zapamiętał naoczny świadek: *Tak to i poszło wszystko z dymem. W ta pora wichur wielki był i susz przed tym – tak i ratunku nie było! Ani dostąpić – tata żar! Nic uratować nie dało się. Samych koni stajennych, pięknych piętnaście czy szesnaście spalili się. Para ogierów siwaków – nadto spaniałych – jeden źrebek, to na moich oczach wyskoczył z stajni – i nazad w ogień! Woły brażne, znaczy się braho z gorzelni karmione, wszystkie saplili się. I świnię ... Tylko, że krowy zostali, na paszy byli. I wszystkie budynki spalili się. Gnoj na polu palił się. I plity co na rzece stali – też aż do młyna na całą wiorstę wichur ogień zanios. I młyn też poszedł. Tylko do lasu nie doszło, bo wiatr w ta stronę nie służył. To my wszystkie, jak stali, bez niczego uciekali. A nie było gdzie narodu i uciekać. Tedy, kto umiał pływać, tak do rzeki skakał. A kobiety, co pływać nie umieli, to okrenco się wiarówką i tak przez wodę przeciongajo. Ja, to wiadomo, jak to dzieciuk, tylko parsionowa koszulka na wypusk miał i w niej tylko został. A jak ogień doszedł do gorzelni, to jak zaczęli trzaskać beczki ze spirytusem, tak mocniej jak z harmaty! I woń była straszna. Karety, fajetony – wszystko w ogniu było. Ktoś ci sanie z wołowni wyciongnął, ale tlili się, tedy ludzie te sanie do stawu wrzucili. Pamiętam, te sanie jeszcze musi z tydzień po tym stawie pływali.*

Rodzina Piłsudskich po pożarze zamieszkała na pewien czas w ocalałej oficynie dworskiej, a później na stałe przeniosła się do Wilna. Ziuk wraz z rodzeństwem przyjeżdżał jeszcze do Zułowa na święta i w czasie wakacji.

W 1882 roku zadłużony majątek został sprzedany na licytacji. Ponieważ w tamtym okresie w ramach rusyfikacji obowiązywał zakaz kupowania majątków przez Polaków na obszarze zachodnich gubernii Rosji, posłużono się fortelem i poprzez podstawione osoby Zułów nabył Michał Ogiński. Niestety sprawa się wydała, a Ogiński został zmuszony do odsprzedaży majątku w ręce rosyjskie, nowym właścicielem dóbr zułowskich stał się kupiec z Rygi, Klimow.

Dwa lata po sprzedaży Zułowa zmarła Maria Piłsudska, której odnowiła się dawna choroba – gruźlica kości. W marcu 1887 roku Bronisława i Józefa aresztowano pod zarzutem udziału w spisku na życie cara. Józef Piłsudski został skazany na pięcioletnie zasłanie w głąb Rosji. Na początku października 1887 roku transport ze skazańcami dotarł do Irkucka. Do Wilna przyszedł Naczelnik powrócił w lipcu 1892 roku, wstępując do ruchu socjalistycznego.

Kolejnym właścicielem dóbr zułowskich był carski oficer rezerwy o nazwisku Kuronosow. Sprzedał on wojsku 3890 hektarów ziemi pod poligon artyleryjski. Również większość lasów stanowiących dobra zułowskie została rozsprzedana. W okresie I wojny światowej, wraz z ofensywą niemiecką przeprowadzoną w 1915 roku, Kuronosow uciekł w głąb Rosji. Nowi okupanci tych ziem prowadzili politykę rabunkową. Większość drzewostanu z dóbr zułowskich wycięto i wywieziono do Niemiec.

Po 1921 roku w wolnej Polsce Zułów i okolice przeszły pod zarząd Urzędu Ziemińskiego województwa wileńskiego. Natomiast na obszarze dawnego lasu dworskiego założono poligon wojskowy – Pohulanekę. W 1926 roku zrodziła się inicjatywa odbudowy Zułowa, a kilka lat później powołano Komitet Odbudowy Zułowa z ministrem spraw wewnętrznych Marianem Zyndramem-Kościałkowskim na czele. Rozpoczęto zbiórkę pieniędzy na wykup majątku. 8 listopada 1934 roku Związek Rezerwistów odkupił od wojska pozostałości majątku, łącznie 65 hektarów. 11 listopada w Belwederze złożono meldunek: *Panie Marszałku! Zarząd Główny Związku Rezerwistów melduje posłusznie, iż zgodnie z uchwałą Walnego Zjazdu Delegatów Związku Rezerwistów – powołany do życia Komitet Odbudowy Zułowa majątek Zułów wykupił. Równocześnie meldujemy posłusznie Panu Marszałkowi, iż postanowiliśmy do 11 listopada 1935 r. Doprowadzić dzieło nasze do końca poprzez odbudowę Zułowa do takiego stanu i takiej postaci, w jakiej pozostał w Twej, Panie Marszałku, pamięci.*

Z powodu śmierci Marszałka projekt odbudowy dworu nie został zrealizowany, natomiast zrodziła się nowa koncepcja upamiętnienia miejsca urodzin Józefa Piłsudskiego. Tym nowym pomysłem było utworzenie pamiątkowego rezerwatu memoriałowego. Rozpisano konkurs, który wygrał warszawski architekt, profesor Romuald Gutt. Autor interesującej koncepcji odbudowy Zułowa pisał: to tylko miejsce, z którego wyrósł On... Chciałem stworzyć miejsce kontemplacji, gdzie każdy

będzie mógł się skupić choć przez kilka minut, pomyśleć i spojrzeć w siebie. Prace ukończono jesienią 1937 roku, a Zułów stał się celem licznych wycieczek szkolnych i turystycznych przyjeżdżających z obszaru całej Polski. Organizowano tu różnego rodzaju rajdy oraz biegi sztafetowe. Tak było do wybuchu II wojny światowej. Po jej zakończeniu na konferencji w Poczdamie w 1945 roku decyzją Wielkiej Trójki (USA, Rosja Sowiecka i Wielka Brytania) Polska utraciła połowę swojego wschodniego terytorium (Kresy) na rzecz Rosji Sowieckiej. Ustalono jednocześnie rekompensatę terytorialną dla Polski w postaci dawnych ziem niemieckich do linii Odry i Nysy Łużyckiej, tzw. Ziemie Zachodnie i Północne, propagandowo nazywane Ziemiami Odzyskanymi. Zułów znalazł się w granicach Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Wraz ze zmianami terytorialnymi z okolicznych miejscowości wyjechało ze swej ojcowizny wielu Polaków, a ich domostwa zajęła ludność napływowa. Reżim komunistyczny, zacierając pamięć o Marszałku Piłsudskim, w miejscu Rezerwatu Pamięci pobudował sowchoz, w którym hodowano bydło. Zniszczono park, zniknął staw, nie pozostał najmniejszy ślad po dawnej lodowni i ruinach gorzelni. Pojawiły się nowe zabudowania: obory, stodoły, silosy na kiszonkę oraz zabudowania administracyjne. Ale minęło blisko pół wieku, rozpadł się w 1991 roku Związek Sowiecki, Zułów znalazł się w granicach nowego niepodległego państwa litewskiego. Upadł sowchoz, a miejsce to zmieniło się w ruinę, straszły szkielety zdewastowanych i rozszabrowanych zabudowań. Teren porosła wysoka trawa i chaszczce. W trakcie reformy rolnej na Litwie w 2002 roku pojawiło się niebezpieczeństwo utraty Zułowa i wtedy Zarząd Główny Związku Polaków na Litwie rozpoczął starania o pozyskanie tego terenu. Po kilku latach zakupiono w 2005 i 2007 roku parcelę liczącą razem blisko 5 hektarów z miejscem gdzie znajdował się dwór. Latem 2005 roku przeprowadzono pierwsze prace porządkowe, a jesienią, 16 listopada odsłonięty został duży granitowy kamień – pomnik. W trakcie aktu poświęcenia ks. Mirosław Grabowski powiedział: *Naród jest silny swoją historią i pamięcią, dlatego dzisiaj schylamy głowy przed Bogiem, twórcą każdej historii, aby raczył pobłogosławić ten pomnik, który będzie nam przypominał przeszłość naszego narodu.* Do naszych czasów w Zułowie ocalały fragmenty fundamentów, na których stał dwór, pamiątkowy dąb zasadzony w 1937 roku w miejscu, gdzie znajdował się pokój dziecięcy małego Ziuka, drewniana oficyna-piekarnia dworska z 1818 roku, pozostałości po dawnej piwnicy dworskiej oraz znajdujący się w odległości około 500 metrów od dawnego dworu, wybudowany w 1937 roku budynek byłego muzeum (obecnie zamieszkały). Pieczę nad terenem sprawuje Związek Polaków na Litwie. Pomału

Zułów wraca do swojej świetności. Teren jest uporządkowany, powstał plac apelowy, wytyczono drogi i założono Aleję Pamięci Narodowej. W 2007 roku podjęto decyzję o corocznych obchodach urodzin Józefa Piłsudskiego, wcześniej, już 11 listopada 1995 roku, z inicjatywy harcerzy odbyła się pierwsza Harcerska Sztafeta Niepodległości. Zawodnicy startują spod dębu w Zułowie, kończąc swój bieg w Wilnie na Cmentarzu na Rossie, gdzie spoczywa Maria z Billewiczów Piłsudska oraz serce marszałka. Odbywają się tu uroczystości patriotyczne, m.in. 15 sierpnia i 11 listopada. Coraz częściej i więcej przyjeżdża młodzieży, tak z Polski, jak i z Litwy, docierają również przedstawiciele najwyższych władz państwowych Litwy i Polski. Wszystko wolnymi krokami i nie bez problemów, ale zmierza do normalności.

W Toruniu blisko 100 lat temu, w 1921 roku, Marszałek Piłsudski mówił: *Każdy naród posiada pomniki, które zawarły w sobie jego cierpienia i radości, jak w jednym ognisku ześrodkowując przeżycia całych pokoleń. Takimi pomnikami są ruiny, pola bitewne, grody, ulice, na tych ulicach domy, na których widok serca biją gorącej i łzy nabiegają do oczu. Są to świątynie historii, których Polska posiada tak wiele.* Takim też miejscem jest dzisiejszy Zułów, i Wileńska Rossa, gdzie u boku matki Marii z Billewiczów Piłsudskiej spoczywa serce Marszałka, i Wawel, gdzie spoczywają prochy Naczelnika Państwa Polskiego.



Lwów. Cmentarz Łyczakowski. Antoni Piórecki 17 64-1870, R. Sławczyński

Groby polskich żołnierzy walczących o niepodległość Ojczyzny w latach 1794 – 1944

W drugiej części albumu zostały zamieszczone zdjęcia mogił polskich żołnierzy walczących o niepodległość Ojczyzny w latach 1794 – 1944. Znajdują się tu groby uczestników Insurekcji Kościuszkowskiej, żołnierzy Napoleona, powstańców listopadowych i styczniowych, legionistów Piłsudskiego z czasów I wojny światowej, żołnierzy poległych w wojnie polsko-ukraińskiej 1918 – 1919 oraz polsko-bolszewickiej 1919 – 1920. Tę część zamykają zdjęcia przedstawiające groby z okresu II wojny światowej, począwszy od kampanii wrześniowej 1939 roku przez walki partyzanckie żołnierzy Armii Krajowej prowadzone na okupowanych Kresach z oddziałami niemieckimi i Ukraińską Powstańczą Armią – dokonującą mordów na polskiej bezbronnej ludności cywilnej – do bitwy obronnej stoczony 21 sierpnia 1944 roku pod Surkontami między żołnierzami sowieckimi a oddziałem polskim dowodzonym przez ppłk. Macieja Kalenkiewicza ps. „Kotwicz”.

Na zdjęciach odnajdziemy groby zarówno żołnierzy poległych bezpośrednio w boju, jak i zmarłych od ran oraz tych, którzy wiele lat po walkach zmarli śmiercią naturalną. Udokumentowane na zdjęciach mogiły, w których spoczęli uczestnicy walk narodowowyzwoleńczych, ciągną się od

Stanisławowa (obecnie Iwano Frankiwsk na Ukrainie) przez Buczacz, Ostróg, Zasmyki, Kostiuchnówkę, Grodno, Lidę, Wilejkę, Głębokie po Miory, Draguny (na Białorusi) i Dyneburg na Łotwie. Wśród odwiedzonych cmentarzy znalazły się również dwie z czterech polskich nekropoli narodowych i Cmentarz Łyczakowski we Lwowie (Ukraina) oraz Cmentarz na Rossie w Wilnie (Litwa).

Tę część albumu otwierają fotografie grobów żołnierzy Kościuszki i Napoleona. Jest wśród nich urodzony na Wołyniu Benedykt Denis Kołyszko (1750 – 1834), żołnierz Insurekcji z 1794 roku awansowany przez Kościuskę do stopnia generała majora. W trakcie Powstania Listopadowego pełnił funkcję naczelnika powstania podolskiego. Kolejnym żołnierzem Kościuszki jest pochowany w Buczaczu ułan Antoni Kobyłański (1773 – 1841). I choć w albumie nie ma zdjęcia jego grobu, to należy w tym miejscu przywołać pochowanego na Ziemi Braśławskiej w miejscowości Widze (obecnie Białoruś), ostatniego naczelnika powstania kościuszkowskiego, gen. Tomasza Wawrcekiego (1753 – 1816). Dowodził wojskami powstańczymi na Żmudzi i w Kurlandii, był pełnomocnikiem Rady Najwyższej Narodowej, z ramienia której 12 października 1794 roku objął przywództwo nad Insurekcją. Żołnierzem Napoleona był Józef Sas-Czułowski (1776 – 1863) uczestnik szarzy pod



Strusów. Grób polskiego żołnierza Jana Otworowskiego, foto R. Sławczyński

Somosierzą z listopada 1808 roku oraz uczestnik wyprawy na Moskwę 1812 roku.

W trakcie gromadzenia materiału napotkałem również groby kilku kobiet – żołnierzy. To uczestniczki powstania 1863 – 1864: Waleria z Cybulskich Ciechanowiczowa zmarła w Lidzie 1933 roku w wieku lat dziewięćdziesięciu dwóch i pochowana jest na tamtejszym cmentarzu rzymskokatolickim, Karolina z Putkamerów Janowa Rychlewiczowa zmarła w Wilnie w wieku osiemdziesięciu trzech lat, spoczywa na małym przykościelnym cmentarzyku w Bieniakoniach (obok, po prawej stronie, znajduje się grób Maryli Wereszczakówny, muzy Adama Mickiewicza) czy poległa w walkach 1920 roku sanitariuszki A. Wykrętowicz pochowana na cmentarzu wojskowym w Dokszycach. Wszystkie trzy groby znajdują się na terenie dawnego zaboru rosyjskiego. Na dwóch pierwszych są informacje, że osoby są powstańcami styczniowymi. Takie inskrypcje mogły pojawić się tylko dlatego, ponieważ zmarły one w okresie II Rzeczypospolitej. Próżno by szukać takich zapisów na grobach powstańców w zaborze rosyjskim przed 1918 rokiem. Dowodem na to są nagrobki z Cmentarza na Rossie w Wilnie: prof. Joachima Lelewela, członka Rządu Narodowego, zmarłego w Paryżu w 1861 roku oraz Aleksandra Oskierki, członka powstańczego Rządu na Litwie,

zmarłego w Widzach Łowczyńskich w 1911 roku; zaborca moskiewski nawet i tutaj wykazywał wyjątkową czujność i zapobiegliwość. Kolejnym dowodem potwierdzającym opisany stan rzeczy jest grób powstańca styczniowego Michała Falkowskiego znajdujący się na cmentarzu w Podświlu. Na jego nagrobku mógł pojawić się napis: ŚP. Michał Falkowski + 10.10.1930 w wieku 91 lat. Krwią, łzami i potem zrosił Ziemię Rodzinną i daleki Sybir. Prosi o Zdrowaś Maria.

Zupełnie inaczej, w porównaniu z zaborem rosyjskim czy pruskim (niemieckim), wyglądała sytuacja w zaborze austro-węgierskim. Tu położenie ludności polskiej było bez porównania korzystniejsze. W ramach uzyskanej z Wiednia autonomii galicyjskiej w urzędach posługiwano się językiem polskim, rozwijała się kultura polska. Do Lwowa trafiali uciekinierzy z zaboru rosyjskiego, powstańcy, emigranci z Paryża i Londynu. We Lwowie znajdowali również schronienie dawni katorżnicy zesłani przez carat na daleką Syberię za udział w powstaniach czy za pracę konspiracyjną. Dzięki istniejącej w Galicji liberalizacji Rada Miasta Lwowa mogła w 1880 roku, w pięćdziesiątą rocznicę Powstania Listopadowego, podjąć decyzję o założeniu na Cmentarzu Łyczakowskim małej kwatery nazwanej przez publicystów „Żelazną Kompanią”. Jak się okazało po latach, jest to jedyna taka kwatera kryjąca prochy powstańców z 1830 – 1831 roku. To dzięki istniejącej autonomii galicyjskiej powstaniec listopadowy, obrońca reduty na Woli w Warszawie, o którym pisał w wierszu „Reduta Ordon” Adam Mickiewicz, Julian Konstantyn Ordon, pochowany został na Cmentarzu Łyczakowskim, ponieważ władze rosyjskie nie wyraziły zgody na jego pochówek w Warszawie, gdzie znajdował się grób rodzinny. Na Cmentarzu Łyczakowskim znajduje się również największa kwatera powstańców styczniowych. Na wzniesieniu cmentarza usytuowanym w centrum nekropoli pochowanych zostało pod żelaznymi krzyżami dwustu trzydziestu powstańców, w zdecydowanej większości są to szeregowcy. Tu na niektórych nagrobkach pojawiają się informacje o zmarłym. Wśród nich licznie reprezentowani Sybiracy: prof. Benedykt Dybowski, przyrodnik i lekarz, ojciec polskiej limnologii; Bronisław Szwarce, syn powstańców listopadowych, członek pierwszego Rządu Narodowego, czy Władysław Świszczowski. Na kwaterze tej znajduje się również grób Stanisława Frankowskiego – członka Rządu Narodowego oraz inskrypcja pro memoria dwóch jego braci: zesłanego na Sybir i tam zaginionego bez wieści Jana oraz Leona, komisarza Rządu Narodowego, straconego w Lublinie przez żołnierzy rosyjskich. Wśród pochowanych powstańców są tacy, którzy brali udział zarówno w Powstaniu Listopadowym jak i w Powstaniu Styczniowym. Przykładem jest gen. Józef Śmiechowski, odznaczony krzyżem *Virtuti Militari*, czy Antoni Krzywda Bogucki, który wraz z dwoma braćmi przyłączył się do Powstania Listopadowego, służąc w 5. Pułku Ułanów. Więzień Cytadeli Warszawskiej skazany na



Lwów. Cmentarz Orłąt Lwowskich, foto R.Ślawczyński

piętnaście lat katorgi, w trakcie Powstania Styczniowego prowadził ożywioną agitację na terenie powiatów Tarnopolskiego i Brzeżańskiego. Z kolei w Stanisławowie (obecnie Iwano Frankiwsk na Ukrainie) znajduje się grób Maurycego Gośławskiego, poety, powstańca listopadowego ucznia słynnego Liceum Krzemienieckiego i zesłańca. Zmarł w więzieniu austriackim w listopadzie 1834 roku, ponieważ zaraził się tyfusem od współwięźnia, którym się opiekował. Nie sposób nie powiedzieć kilku słów o kapitan Emilii Plater, pochodzącej tak jak jej rodzina z Polskich Inflant (obecnie Łotwa). W trakcie Powstania Listopadowego stanęła na czele jednego z oddziałów podejmując próbę zajęcia Dźwińska (obecnie Daugavpils na Łotwie). Zmarła 23 grudnia 1831 roku w Justianowie a pochowana została w Kopciowie (obecnie Kapciamiestis na Litwie). Łatwo tu dotrzeć ponieważ miejscowość znajduje się na terenie Unii Europejskiej zaledwie dziesięć kilometrów od granicy polsko – litewskiej.

Co ciekawe, na kwaterach wojskowych są również groby, gdzie swój spoczynek znalazły małżeństwa. Listę otwiera mogiła znajdująca się na „Górcie Powstańców Styczniowych” we Lwowie, w jednym grobie spoczęli uczestnicy powstania Władysław i Olga Świszczowscy. Również we Lwowie na kwaterze „Żelaznej Kompanii” znajduje się grób żołnierza z Powstania Listopadowego Jana Pfeiffera i jego żony Marii, a w Grodnie przy dawnej ulicy Legionów jest grób gen. Antoniego Bronisława Ślepowron Jastrzębskiego (1860 – 1924), z którym spoczywa żona Zofia z Czerniawskich Ślepowron Jastrzębska.

Stosunkowo liberalna polityka Wiednia w Galicji zaowocowała również sprowadzeniem na Wawel w Krakowie w dniu 4 lipca 1890 roku prochów Adama Mickiewicza. Doczesne szczątki złożono w sarkofagu, w którym znalazła się wcześniej ziemia z rodzinnych stron poety z Nowogródka i z dna rzeki Niemien. Spoczął obok innych Kresowian: króla Jana III Sobieskiego i gen. Tadeusza Kościuszki.

Z analizy zgromadzonego materiału wynika, że na cmentarzach powstałych po wojnie polsko-bolszewickiej 1919 – 1920 chowano również w czasach II Rzeczypospolitej żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza. Przykładem jest cmentarzyk

wojskowy w Dragunach, gdzie znajduje się grób z 1935 roku Ferdynanda Raua z Baonu „Łużki”. Żołnierze tego oddziału po napaści Niemiec na Polskę we wrześniu 1939 roku walczyli na Suwalszczyźnie przeciwko Niemcom, a następnie po przetransportowaniu na Wołyń uczestniczyli w walkach z sowieckim agresorem w rejonie wsi Borowicze oraz wsi Radoszyn, gdzie 23 września oddział skapitulował po walce z przeważającymi siłami wroga. Podobnie jest na kwaterze w Podświlu, tam zostali pochowani w pierwszej połowie lat 30. strzelcy: Piotr Graczyk i Władysław Leśniewski służyący w Baonie KOP „Podświle”. Natomiast na kwaterze wojskowej w Lidzie pochowano kilku pilotów poległych śmiercią lotnika w latach 20. XX wieku. Służyli w 11. Pułku Myśliwskim stacjonującym w Lidzie. Jest wśród nich płk pilot Adam Zaleski (1886–1926), w trakcie wojny polsko-bolszewickiej pełnił funkcję dowódcy lotnictwa obrony Warszawy oraz por. Aleksander Cichocki (1900 – 1928).

Przedstawione cmentarze, jak i pojedyncze mogiły, znajdują się w bardzo różnym stanie technicznym. Od ruiny, tak jak kwatery żołnierzy z wojny polsko-bolszewickiej w Królewsczyźnie czy Strusowie z wojny polsko-ukraińskiej, po odbudowany Cmentarz Orłąt we Lwowie. Zresztą podobnych pozytywnych przykładów jest więcej i wymienić tutaj należy również odbudowane kwatery legionistów Józefa Piłsudskiego z okresu I wojny światowej w Kostiuchnówce, Wołczeczku czy Maniewiczach na Wołyniu. Odbudowany został również cmentarz żołnierzy Wojska Polskiego 1918–1939 w Grodnie, gdzie pod koniec lat 80. XX wieku z kwatery wojskowej przeznaczonej do likwidacji, ocalały zaledwie trzy nagrobki. Obecnie znajduje się tu również Krzyż Katyński. Ciekawym przykładem odbudowanej kwatery wojskowej jest ta znajdująca się na



Zułów. Pamiątkowy dąb posadzony w 1937r. oraz kamień odsłonięty 16.11.2005, foto R.Sławczyński

mentarzu rzymskokatolickim w Miorach. Z inicjatywy Polaków mieszkających na Białorusi w 2001 roku ustawiono tu kilka betonowych krzyży w miejscu zlikwidowanej kwatery żołnierzy polskich z wojny polsko-bolszewickiej. Na początku lat 90. w miejscowości Surkonty wzniesiono kwaterę wojskową dla poległych w sierpniu 1944 roku w walkach z Sowietami żołnierzy Armii Krajowej. Pochowany został tu również ppłk Maciej Kalenkiewicz ps. „Kotwicz”, jednak inskrypcja o poległych jest niepełna, ponieważ ówczesne władze nie wyraziły zgody na zamieszczenie informacji, z czyjej ręki zginęli. W miejscowości Mrozówka (obecnie Moroziwka) położonej na północ od miejscowości Korzec na Wołyniu tuż obok dawnej granicy ryskiej na terenie prywatnej posesji znajduje się kamień z inskrypcją o poległym żołnierzu Wojska Polskiego, który zginął w wojnie polsko-bolszewickiej. We Lwowie na obecnej ulicy Warszawskiej znajduje się zbiorowa mogiła dziewięciuset żołnierzy Wojska Polskiego poległych w obronie Lwowa we wrześniu 1939 roku. Zginęli w walkach z Niemcami między 12 a 22 września. Miejsce to dzięki staraniom Edwarda Cydzika, Polaka urodzonego w Grodnie a mieszkającego we Lwowie, upamiętnione jest od niedawna krzyżem oraz informacją o tej ogromnej mogile wojskowej. Kolejnym miejscem spoczynku poległych żołnierzy WP jest miejscowości Gaiki Siteńskie (obecnie Hajki – Sytenski) położone na trasie Lwów – Równe (na 68. kilometrze), żołnierze zginęli w trakcie lotniczego ostrzału transportu kolejowego. Pochowani zostali tuż przy torze kolejowym, a na miejscu tym nie ma niestety krzyża.

Jednym z ostatnich pozytywnych przykładów działań zmierzających do ratowania polskich kwater wojskowych znajdujących się na Kresach jest odnowiona mogiła żołnierzy Wojska Polskiego we wsi Firlejówka (obecnie Adrijivci na Ukrainie) koło Krasnego. W pobliżu wsi w czasie wojny polsko-sowieckiej 6 września 1920 roku miała miejsce bitwa. Udział w niej wzięli ochotnicy z gimnazjum w Jaśle oraz uczniowie szkół z Krosna i Tarnowa, którzy znaleźli się w III Batalionie 16. Pułku Piechoty. Na czele grupy liczącej 300 osób stanęli dwaj profesorowie: Roman Saphier oraz Jakub Kuska. Wśród poległych żołnierzy – gimnazjalistów – znalazł się również prof. Saphier. W roku 1993 powołano jego imieniem fundację, która postawiła sobie za cel odnalezienie grobu profesora oraz jego uczniów. Dzięki usilnym staraniom pomysłodawców odsłonięcie odbudowanej kwatery nastąpiło 24 września 2011 roku.

Los Kresowian po II wojnie światowej został przesądzony zdradzieckim dla polski porozumieniem jałtańsko-poczdamskim a wcześniej ich podbojem przez wojska Rosji Sowieckiej po 17 września 1939 roku. Wypędzeni z ojcowizny trafili na ziemie zachodnie i północne: na Dolny Śląsk, Pomorze, Warmię i Mazury. Jednak w grupie tych, co zostali na Kresach, byli zwycięzcy spod Monte Casino, Ankony i Bolonii. Wrócili do swych domów, lecz los był dla nich wyjątkowo okrutny, trafili bowiem ponownie na zsyłkę lub do gułagów; nie mniej okrutny los spotkał wielu żołnierzy II konspiracji a wśród nich ppor. Anatola Radziwonika (1916 – 1949) ps. „Olech” poległego 12 maja w trakcie próby przebicia się przez pierścien kolejnej sowieckiej obławy w okolicach wsi Raczkowszczyzna w Obwodzie Szczuczyn – Lida.

Poznając Kresy, pamiętajmy nie tylko o wspaniałych zamkach, pałacach i dworach, ale o będących przecież także cześcią kultury licznych grobach ludzi, którzy poświęcili się walce o wolność Ojczyzny i za tę wolność oddawali to, co mieli najcenniejsze – życie.

—————
Ryszard Sławczyński, Album "Samochodem przez Kresy. Miejsca serce bliskie", Wydawnictwo ROBB, Wrocław 2014.

Bibliografia:

1. Alwida Antonina Bajor, *Piorun, jezioro czerwone. Zułów wczoraj i dziś*, Wilno 1995
2. *Ku czci poległych lotników, księga pamiątkowa*, praca zbiorowa pod red. mjr. dypl. pil. Mariana Romeyki, Warszawa 1933 (nakładem Lucjana Żłotnickiego)
3. Stanisław Nicieja, *Cmentarz Obrońców Lwowa*, Wrocław 1990
4. Michał Marczak, *Przewodnik po Polesiu*, Brześć nad Bugiem 1935

MAREK DUNIN-WĄSOWICZ



GOLGOTA KSIĘDZA BRONISŁAWA

Motto:

"Łatwo jest mówić o Polsce, trudniej dla niej pracować, ale najtrudniej - cierpieć i za nią umierać."



To słowa wydrapane na ścianie syberyjskiej celi więziennej przez jednego ze skazanych Polaków tuż przed egzekucją.

Jeden strzał w potylicę z broni krótkiej, ewentualnie przekłucie bagnetem – to ulubiony sposób zabijania NKWD. Sposób ten został opracowany przez Błochina – wypróbowanego kata i zaufanego człowieka Stalina. Trzy kopiejki to cena za ludzkie życie – trzy kopiejki, bo tyle kosztuje kula. Można się, sprzeczać, że do ceny należałoby doliczyć wynagrodzenie dla oprawcy. Dobrze, doliczmy i to – zwykle litr samogonu, 500 gram razowego czarnego chleba, trochę słoniny i machorki podzielić na kilkadziesiąt do kilkuset egzekucji na dzień to dalej jest cena przerażająco niska. Ktoś powie, że trzeba doliczyć też śledzia – jednego śledzia, bo tyle dawano za schwytanie zbiegłego więźnia. Mianem "śledź" tubylcze plemiona zaczęły określać uciekającego skazańca....

Antypolska operacja NKWD rozpoczęła się 11 sierpnia 1937 roku rozkazem 00485 wydanym przez jej ówczesnego szefa – Nikołaja Jeżowa. Operacja ta była "uwieńczeniem" nieudanego eksperymentu zsovietyzowania Polaków zamieszkałych na terytoriach ZSRR. Swoim zasięgiem obejmowała nie tylko osoby otwarcie przyznające się do polskości, ale także Rosjan o polsko brzmiących nazwiskach lub nawet takich, którzy tylko urodzili się na terytorium Polski. Była to zemsta za to, że Polacy nie poddali się czerwonej agitacji. Tylko nieliczne wyjątki posłużyły Sowietom jako agentura wywiadowcza i podpora sił komunistycznych działających w Polsce do dziś. Przeciwnie – ludność polska w ZSRR wykorzystała ten eksperyment do podtrzymania tradycji, języka, kultury swoich przodków, a zarazem przekazywania tych wartości młodszemu pokoleniu. Jak skutecznie potrafi się mścić władza sowiecka pokazała już wcześniej – najpierw na białych kontrrewolucjonistach, duchownych katolickich i prawosławnych, "pańskiej" Polsce w czasie wojny polsko-bolszewickiej i na kułakach opornych kolektywizacji – ofiary tej zemsty były wielomilionowe. Przyszedł czas na nas – za to tylko, że urodziliśmy się Polakami, że się tego nie wstydzimy i że mamy czelność być z tego dumnymi. Na mocy zbrodniczego rozkazu zamordowano 200 tysięcy niewinnych ludzi. Morze przelanej krwi krzyczy do nas z otchłani zapomnienia. Krzyczy, bo tak wielkie ludobójstwo dokonane prawie 80 lat temu dalej ukryte jest w cieniu milczenia. Krzyczy, bo wolna Polska za którą zostało przelane wydaje się, że nie chce, bądź nie może o nim pamiętać. Niech opowieść o jednym z 200 tysięcy – historia skromnego księdza otworzy sumienia i zmiękczy zatwardziałe serca tych, którzy na forum międzynarodowym – w imieniu nas wszystkich powinni domagać się prawdy tak, aby pamięć ofiar czerwonego ludobójstwa zastała odpowiednio uczczona i utrwalona złotymi głoskami w podręcznikach ojczyzny i świata.



Walenty i Teofilia Dorota (z Weselskich) Dunin-Wąsowiczowie z dziećmi: Krystyną, Bronisławem, Marią, Józefem i Longinem-Leonem

Było to dawno, może nie w sensie historycznym, ale wystarczająco dawno, by zatarły się szczegóły wydarzeń, a spojrzenie na fakty z nimi związane zaczęło się zmieniać lub zmieniło się już całkowicie. Żytomierszczyzna pod zaborem rosyjskim, żywotne centrum polskości, ostoja wielotysięcznej rzeszy naszych rodaków – część ojczyzny. Przestrzeń na styku kultur, religii i czasu. Za panowania Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, szczególnie po wojnach kozackich miejsce może zapomniane, trochę na uboczu, ale zawsze wiernie broniące przed ciosami najeźdźców tatarskich, moskiewskich i innych. To tu swoje gniazda i siedziby miały rody szlacheckie, pomiędzy którymi nie zabrakło Duninów – rodu splatającego swoje losy z Polską od czasów Bolesława Krzywoustego. Wśród rodzin duninowskich osiadłych na kresach byli Wąsowicze. Ta pradawna gałąź klanu łabędzia zrodziła wielu znakomitych wojskowych, dostojników świeckich i duchownych. Pradziad naszego bohatera – Michał Dunin-Wąsowicz wybrał miejsce, które stało się siedzibą rodziny przez następnych sto lat.

Huta Palewska (obecnie Polivs'ka Huta) – ta mała miejscowość położona w dorzeczu rzeki Irszy, sześć kilometrów od Wołodarska Wołyńskiego i czterdzieści kilometrów od Żytomierza była szczególnie bliska Bronisławowi. To tu przyszedł na świat dnia 27 kwietnia 1898 roku jako drugie dziecko Walentego i Teofili Doroty (z Weselskich) Dunin-Wąsowiczów. Walenty i Teofila Dorota doczekali się ośmiorga dzieci. Dwa lata starszej od Bronisława Krystyny oraz młodszych od niego: Marii, Franciszki, Feliksa, Józefa, Petronelli i najmłodszego Longina-Leona. Rodzina ta czerpiąc z wielowiekowych tradycji patriotycznych swoich przodków, przetrwała wierna Polsce, kościołowi katolickiemu i wychowała w tym duchu swoje dzieci – mały Broniek nie był tu wyjątkiem. Od najmłodszych lat przejawiał talent do nauki, a wśród rodzeństwa i kolegów wyróżniał się spokojem i dobrocią. Broniek uczył się pilnie i gdy miał lat piętnaście wyjechał do gimnazjum w Żytomierzu. Ukończył je w 1917 roku, gdy I Wojna Światowa chyliła się ku końcowi. Rozproszeni po całym świecie Polacy z dnia na dzień odzyskali wiarę w niepodległość. Nadzieje naszych rodaków w zaborze rosyjskim urosły jeszcze bardziej, gdy w lutym, a następnie w październiku rewolucja zrujnowała naszego odwiecznego, dławiącego wszelkie zrywy narodowo – wyzwolenicze wroga – Imperium Carskiej Rosji. Jakże to wymowne, że właśnie wtedy, w październiku 1917 roku, w momencie gdy wybuchła ateistyczna czerwona rewolucja – wróg wszelkich religii, Bronisław wstępuje do rzymskokatolickiego diecezjalnego seminarium duchownego w Żytomierzu – mieście, które tylko tego roku trzynastą razę przechodziło z rąk do rąk. Nie jest to bezpieczne miejsce do życia, pracy czy nauki. Biskup diecezji łucko – żytomierskiej Ignacy Dub-Dubowski przez pewien czas zmuszony był do ukrywania się, gdyż zamachowcy próbowali pozbawić go życia. Dopiero kilkuset osobowa zbrojna grupa obrońców, w dzień i w nocy strzegąca pałacu biskupiego zagwarantowała bezpieczeństwo głowy kościoła katolickiego na tym terenie. Wbrew nadziejom ataki zaczęły się nasilać. W czerwcu 1919 roku biskupa z grupą jede-



nastu księży skierowano do robót publicznych, w sierpniu zaś aresztowano po czym zwolniono pod wpływem tłumnych protestów ludności Żytomierza. Wybuchła wojna polsko-bolszewicka, siedzibę biskupią przeniesiono do Łucka, zamknięto żytomierskie seminarium, a kleryków oddelegowano do innych ośrodków w głębi kraju. Bronisława przeniesiono do Ołyki 250 kilometrów na zachód, a w roku 1920 do seminarium w Gnieźnie.

W 1921 roku pomimo wygranej wojny przedstawiciele Rzeczypospolitej podpisali niekorzystny traktat pokojowy z ZSRR na mocy którego, duże terytoria przedrozbiorowego państwa wraz z ponad milionem naszych rodaków trafiły pod władanie sowieckie. Jakże wielkie było rozczarowanie i rozgoryczenie tych, co przez mroki niewoli spragnieni byli Polski, a jej nowy – powojenny płaszcz nie zdołał ich objąć. Dotyczyło to niestety i żytomierszczyzny. Nastąpiły ciężkie czasy dla wszelkich wyznań, które musiały ustąpić miejsca nowemu kultowi – religii czerwonej gwiazdy, zajadle zwalczającej każdą konkurencję. Rozmach z którym po 1917 roku przystąpiono do ataku przedstawia skalę destrukcji budowli i świątyń chrześcijańskich. Pod bolszewickimi hasłami typu: "Precz z miłością bliźniego! Nam nade wszystko potrzebna jest nienawiść!", wojujący ateizm sowiecki zburzył około 40 tysięcy cerkwi i kościołów. Często były to obiekty

o wielkiej wartości zabytkowej, które po dokładnym ograbieniu wysadzano w powietrze.

Był rok 1922. Bronisław ukończył seminarium duchowne w Gnieźnie, a 20 sierpnia w Łucku otrzymał święcenia kapłańskie. Do opuszczonych parafii diecezji łucko-żytomierskiej, znajdujących się od roku 1921 na terytorium ZSRR, biskup Ignacy Dub-Dubowski wysłał potajemnie grupę siedmiu nowowyświęconych księży, wśród nich księdza Bronisława. Nie była to grupa komandosów – polskich szpiegów – jak widział to sowiecki aparat ucisku. Księża ci po prostu wrócili do siebie, do rodzinnych stron, do swoich bliskich, do domu. Wymagało to jednak odwagi nie mniejszej od odwagi komandosów wiedząc czego dopuszczała się Armia Czerwona, do czego są zdolni zwyrodnialcy w imię utopijnej idei i chorych ambicji politycznych.

W tej siedmioosobowej grupie oprócz Bronisława znalazł się ksiądz Wiktor Kryweńczyk – jego rówieśnik i kolega z seminarium w Żytomierzu w latach 1917 – 1919. Ich losy w czasie pobytu w ZSRR jeszcze zejdu się niejednokrotnie, lecz jakże w końcu okażą się odmienne.

Po przejściu granicy ksiądz Bronisław rozpoczyna pracę jako kapłan w parafii świętego Michała w Uszomierzu – miejscowości położonej 290 kilometrów na wschód od Łucka i 85 kilometrów na północ od Żytomierza. W 1924 roku zostaje oddelegowany do parafii Wielelniki, niedaleko Uszomierza, gdzie jest wikariuszem. Po roku zostaje administratorem parafii Makarow, położonej 50 kilometrów na zachód od Kijowa, oraz dziekanem dekanatu kijowskiego z rezydencją w Klawdijewie, gdzie do maja roku następnego buduje kaplicę. Te niecałe cztery lata bardzo intensywnej i owocnej pracy księdza Bronisława wśród rodaków "za kordonem" nie uszło uwadze władz. Od połowy lat dwudziestych Sowietci zaostrzyli walkę z Kościołem katolickim. Był to czas zmasowanych ataków, nieustających szykan, prześladowań i represji. Dla naszego bohatera rozpoczęła się dwunastoletnia gehenna aresztowań, tułaczki, niewolniczej pracy w więzieniach i łagrach ZSRR.

Po pierwszym aresztowaniu w maju 1926 roku zwolniony został 26 grudnia tego samego roku. Ponowne aresztowanie nastąpiło w połowie stycznia 1927 roku. 27 stycznia 1927 roku zapadł wyrok – trzy lata łagru, po czym ksiądz Bronisław wywieziony został do obozu specjalnego przeznaczenia – KemLag na wyspach Słowicznych (Solovki) na Morzu Białym, 2400 kilometrów na północ od Kijowa, gdzie pracuje jako sanitariusz w obozowym szpitalu. W 1929 do wyroku dodano trzy lata zesłania na Syberię – do miejscowości Kierańsk w obwodzie irkuckim – 6000 kilometrów na południowy wschód – pod mongolską granicę (niedaleko jeziora Bajkał).

Trzecie aresztowanie miało miejsce w marcu 1931 roku, po czym 12 czerwca 1931 ksiądz Bronisław umieszczony

został w polityzolatorze w Irkucku, skąd 1 lutego 1932 roku przetransportowano go do więzienia w Krasnojarsku (dalsze 1000 kilometrów na wschód).

W lipcu 1932 roku wraz księdzem Wiktoorem Kryweńczykiem piszą protest z krasnojarskiego więzienia do władz, domagając się uwolnienia, gdyż odbyli już 3 letnią karę łągru rozszerzoną o dalsze 3 lata zesłania. Pomimo to, obaj dalej byli przetrzymywani w więzieniu.

15 września 1932 ksiądz Wiktor Kryweńczyk wraz z grupą siedemnastu księży wciągniętych na listę wymiany więźniów przyjechał do Polski i odtąd pracował jako proboszcz parafii Przewały w diecezji łuckiej. W czasie II Wojny Światowej został kapłanem 27 wołyńskiej dywizji AK ps. Przewalski. Po wojnie był więziony przez UB. Po zwolnieniu został przeniesiony do diecezji wrocławskiej, gdzie pracował jako proboszcz parafii Myślubórz. Zmarł 16 listopada 1960 roku.

Losy księdza Bronisława potoczyły się odmiennie. Został deportowany 300 kilometrów w głąb tajgi do miejscowości Pirowskoje w kraju wschodniosyberyjskim, skąd napisał kilka listów do PCK w Moskwie. Oto fragment jednego z nich:..."Poddawany nieustannie niezasłużonym represjom i szykanom czuję się zmęczony fizycznie i moralnie; moim jedynym pragnieniem jest odpocząć"...

W grudniu 1933 roku zostaje zwolniony, ale bez dokumentów, i umieszczony na liście specjalnej, jako "liszeniec" – człowiek bez praw obywatelskich – i może przebywać tylko w oddalonych, wyznaczonych miejscowościach. W 1934 roku ponownie pisze listy do PCK w Moskwie oraz aplikuje (ze zdjęciem) o wizę do Polski na leczenie ,co jest pretekstem do dalszych represji i oskarżenia o szpiegostwo na rzecz Polski.

W maju 1935 roku został po raz czwarty aresztowany – za przekroczenie "zielonej granicy" w 1922 roku, jako zwerbowany szpieg polski – agent. Tym razem zwolniony został po dziesięciu miesiącach przebywania w krasnojarskim więzieniu.

Aresztowanie piąte nastąpiło 31 marca 1936 roku, tym razem pod zarzutem udziału w syberyjskim ośrodku POW (Polska Organizacja Wojskowa). Przetrasportowany 800 kilometrów na południe do więzienia w Nowosybirsku.

12 kwietnia 1936 matka księdza Bronisława pisze list do PCK w Moskwie:

Otrzymałam od mego syna Bronisława Dunin – Wąsowicza list, który mnie zabija...

24 czerwca 1936 roku skazany został na dziesięć lat łągrów.

W sierpniu 1936 roku ksiądz Bronisław zwolniony został z więzienia ze względu na stan zdrowia. Całkowicie wyniszczony zaawansowaną gruźlicą. Możliwe, że wtedy

przyjechał w rodzinne ,żytomierskie strony – do matki. Ojciec Walenty zmarł w 1932 roku. Bez praw obywatelskich nie może podjąć pracy, potajemnie odprawia msze święte. Wyjeżdża do Woroneża i Rostowa nad Donem, gdzie po dwóch tygodniach zostaje złapany i zmuszony przez NKWD do wyjazdu na Syberię.

W sierpniu 1937 roku ksiądz Bronisław został aresztowany po raz szósty – ostatni. 4 stycznia 1938 roku osądzono go w nowym procesie, rzekomego syberyjskiego ośrodka POW, i skazano na karę śmierci. Wraz z księdzem Bronisławem sądzony był między innymi ksiądz Hieronim Cerpento (pierwszy kapłan polskiej syberyjskiej osady Białystok). W procesie tym trojka NKWD skazała wszystkich na śmierć.

18 stycznia 1938 roku ksiądz Bronisław Dunin-Wąsowicz został rozstrzelany w Krasnojarsku. Ciało pochowano w nieznanym miejscu ,prawdopodobnie w nieoznaczonej zbiorowej mogile.

Tu kończy się droga życiowa naszego bohatera. Droga, której ostatnie dwanaście lat to pasmo niesprawiedliwych prześladowań, represji i tortur. Dwanaście okrutnych lat cierpień za pochodzenie, za wiarę, za Polskość – wartości, które od stuleci były drzazgą w oku naszych wrogów. Ksiądz Bronisław Dunin-Wąsowicz swoją pracą, cierpieniem i śmiercią pokazał nam jak wygląda prawdziwe przywiązanie do Ojczyzny i Kościoła. Wieczna mu za to cześć i chwała! Pamięć o Nim – ofierze sowieckich oprawców – niech nigdy nie zaginie.

Jajce – Bośnia i Hercegowina 20 grudnia 2015

Marek Andrzej Dunin-Wąsowicz, lekarz stomatolog urodził się 16 listopada 1969 roku w Głogowie. W latach 1988-1989 studiował we Wrocławiu na Wydziale Farmacji AM, a w 1990 rozpoczął studia na Wydziale Stomatologii (PAM) w Szczecinie. Od 1991 roku współpracował ze szczecińskimi klubami studenckimi i muzycznymi (Klub "Trans" Pomorskiej Akademii Medycznej, "Free Blues Club", "Royal Pub"). Po otrzymaniu dyplomu w roku 1995 podjął pracę lekarza stomatologa w Szczecinie i prowadził samodzielną praktykę. Zafascynowany historią, literaturą i podróżami w 2003 roku wyjechał do U.S.A. i Anglii. Po cyklu wypraw, Bałkany w szerokim rozumieniu tego pojęcia ,stały się jego "drugą ojczyzną". Od 2013 mieszka i pracuje w Bośni (BiH).



JERZY TUSZEWSKI

KRÓTKA OPowieŚĆ O LOTNIKU- PODWÓJNYM AGENCIE, KTÓRY OSZUKAŁ HITLERA

1

Wszystko zaczęło się od radia. Mam na myśli moje zainteresowanie tajnymi zakamarkami II wojny światowej, chociaż najważniejszym krokiem w tym kierunku było moje spotkanie w Republice Federalnej Niemiec ze sławnym dokumentalistą II wojny światowej, filmowcem i pisarzem – Januszem Piekalkiewiczem, laureatem „Złotej Nimfy” za serial telewizyjny zrealizowany dla Hessischer Rundfunk we Frankfurcie nad Menem pt. *Spione, Agenten, Soldaten*. Odwiedziłem Janusza na początku 1986 r. w jego mieszkaniu pod Kolonią w miejscowości Hoffnungsthal, co po polsku znaczy Dolina Nadziei. Wtedy zapadła decyzja, która niebawem okazała się dla mnie także pewną nadzieją. Janusz Piekalkiewicz przyjął moją propozycję współpracy w przygotowaniu 8 scenariuszy radiowego serialu dokumentalnego pod hasłem *Za kulisami tajnych akcji i operacji specjalnych II wojny światowej*, którego realizacja została niebawem zaakceptowana przez kierownictwo Działu Form Dokumentalnych (Feature – Abteilung) radia Sender Freies Berlin (obecnie RBB).

I wtedy, jak to mówią żołnierze, wyruszyłem w pole Europy Zachodniej (ze szczególnym uwzględnieniem Wielkiej Brytanii, Francji i Niemiec) śladami bohaterów Janusza Piekalkiewicza – zarówno czołowych przedstawicieli byłych aliantów II wojny, „świadków koronnych” ważnych operacji specjalnych, jak i strony niemieckiej z kręgu byłej Abwehry (wywiadu i kontrwywiadu Wehrmachtu). Jedyną moją bronią był mikrofon. A jeśli chodzi o nieżyjących już wtedy bohaterów – skopiowałem z Januszem wcześniejsze jego nagrania z 26 filmów dokumentalnych ze wspomnianej wyżej serii. Było to szczególnie istotne, gdyż jeden z moich najważniejszych bohaterów tamtych czasów po wielu latach stał się główną postacią mojej książki¹, a zmarł rok wcześniej i został pochowany na jednym z brytyjskich cmentarzy wojennych.

2

Na początek kilka faktów historycznych. Połowa czerwca 1940 roku. Armia francuska pod naporem

błyskawicznych akcji niemieckiej Luftwaffe i Wehrmachtu, załamuje się. Marszałek Pétain staje na czele nowego rządu pokonanej Francji i zwraca się do gen. Keitela z prośbą o zawieszenie broni. Słynne armistice, które nie tylko podzieliło Francję na dwie strefy, ale także podzieliło Francuzów, wywołało niezbyt przyjazne reakcje wśród aliantów, zniweczyło nadzieje milionów Polaków. Z Londynu w dniu 22 czerwca 1940 roku, z anteny radia BBC, apeluje do sumień wolnych Francuzów Charles de Gaulle, zachęca ich do walki i wiary w ostateczne zwycięstwo... Generał Władysław Sikorski – premier rządu RP na uchodźstwie i Naczelny Wódz Polskich Sił Zbrojnych postanawia prowadzić walkę nadal u boku drugiego alianta – Wielkiej Brytanii.

Południowo-zachodnia część Francji, nieokupowana strefa, a zwłaszcza rejon miasta Tuluzy, staje się największym skupiskiem polskich żołnierzy, będących sporą częścią byłej, rozbitej armii francuskiej. Usiłują się teraz przedostać różnymi możliwymi drogami na Wyspy Brytyjskie. Aczkolwiek owa ewakuacja dość prędko stała się nielegalna wobec nowych zarządzeń szefów tzw. Francji Vichy. To właśnie Tuluza w połowie lipca 1940 r. stała się miejscem brzemiennego w skutki spotkania trzech polskich oficerów. Byli to: major Mieczysław Słowikowski (noszący niebawem pseudonimy „Ptak”, „dr Skowroński”, „Rygor”), który kierował całą akcją ewakuacyjną polskich żołnierzy do Wielkiej Brytanii, major Wincenty Zarembski, zawodowy oficer służby wywiadowczej Oddziału II Sztapu Generalnego Wojska Polskiego – niebawem będzie znany pod pseudonimem „Tudor” jako szef polskiej siatki wywiadowczej Ekspozytura „Francja” z bazą w Marsylii – i wreszcie kapitan dyplomowany Roman Czerniawski, pilot, który początkowo także zajął się ewakuacją, ale pierwszy zgłosił dwóm pozostałym, starszym rangą oficerom zawodowym chęć zorganizowania na północy Francji w strefie okupowanej przez Niemców, siatki wywiadowczej. Miało to być niewątpliwie pierwsze po klęsce militarnej Francji, przemyślane i zorganizowane działanie oporu wobec

zdecydowanie silniejszego przeciwnika. Nawet sami Francuzi uznają je za początek Résistance.

Sięgnijmy więc na krótko do przeszłości tego oficera lotnictwa – postaci dziś już znanej, a jednak ciągle jeszcze wywołującej wiele sprzecznych opinii. Na początek fragment jego wypowiedzi nagranej na taśmę magnetofonową:

Jak wybuchła wojna, to nawet mi się nie śniło, że będę miał coś wspólnego z wywiadem. Do moich głównych zainteresowań należało: latanie, akrobacja powietrzna, narciarstwo. Pociągała mnie również znajomość języków i kariera oficera sztabowego, bo już przed wojną w roku 1938 ukończyłem Wyższą Szkołę Wojenną².

W tym czasie byłem młodym porucznikiem dyplomowanym, zajmującym się sprawami organizacyjnymi w dowództwie lotnictwa. Kiedy po paru dniach wojny dowództwo to było ewakuowane z Warszawy na południowy wschód do Lwowa, otrzymałem polecenie, żeby zostać w Warszawie z płk. Bohuszewiczem na tzw. gospodarstwie.

Niebawem jednak Niemcy zbliżyli się do stolicy i dostałem rozkaz, by ewakuować kilkanaście różnego typu samolotów z lotniska na Mokotowie i Wilanowie na południe Polski. Zabrałem je najpierw do Brześcia nad Bugiem, a następnie do Lwowa. Igdy Rosjanie 17 września przekroczyli naszą granicę wschodnią, przeprowadziłem te wszystkie nasze samoloty do Rumunii, gdzie, niestety, zostały internowane.

Stamtąd pokierowały mnie losy, razem z innymi moimi kolegami, przez Węgry, Jugosławię, Włochy do Francji. Tu, w kilka dni po przybyciu do Paryża, skierowano mnie na 6-miesięczny kurs we francuskiej Wyższej Szkole Wojennej, w czym pomogła mi średnia znajomość języka francuskiego. Kurs ten, jak się okazało, miał znaczenie, bo zapoznałem się ze strukturą armii niemieckiej.

Pod koniec marca 1940 roku skierowano mnie do 1 Dywizji Grenadierów. A szef sztabu płk Skrzydlewski martwił się, co zrobić „z tym lotnikiem, którego przystali nam po École Supérieure de Guerre?”

– Czy mogę zrobić propozycję panu pułkownikowi? – zapytałem nieśmiało.

– Będę bardzo zobowiązany – odpowiedział z uśmiechem.

Do dziś pamiętam tę propozycję wyrecytowaną niemal na jednym oddechu.

Na tzw. kursie sztabów w Paryżu, z czterech działów sztabu najwięcej interesowało mnie rozpoznanie i wiadomości o armii niemieckiej. Może z przyzwyczajenia, że tak powiem; z przedwojennych manewrów i ćwiczeń z rozpoznania lotnictwa na rzecz wojska. Poza tym czytałem dużo ostatnio o systemie pracy „2me bureau”. Przepraszam, u nas to się mówi Oddział II. W trzech innych działach koledzy moi są doskonali i gotowi do pracy, a w „dwójce”, każdy z nas musi zacząć od początku – przekonywałem pułkownika. No i następnego dnia gen. Duch zaakceptował moją nową funkcję. Była to moja pierwsza

funkcja sztabowa, w dodatku dotycząca rozpoznania przeciwnika i kontrwywiadu. W ten sposób zostałem związany z losami 1 Dywizji Grenadierów. Niestety na krótko, chociaż bardzo intensywnie. No i bardzo pechowo, gdyż pod koniec maja 1940 roku wplątano nas do ciężkich walk w składzie jednostek francuskich w obronie Linii Maginota nad rzeką Sarre w rejonie Alzacji i Lotaryngii. A potem działania opóźniające, odwrotowe, obronne, by w końcu stoczyć ciężką bitwę w dniu 17 i 18 czerwca pod Lagarde w beznadziejnej obronie kanału de la Marne au Rhin. Aż nadszedł ten smutny moment – w dniu 21 czerwca 1940 roku dywizja nasza zostaje rozwiązana. Gen. Duch wydał swoim żołnierzom słynny rozkaz „4444”, by w małych grupkach przedzierać się przez kordony niemieckie na południe Francji. Ta niezwykła i zdawałoby się niemożliwa do wykonania operacja ruchu całej dywizji w odosobnionych grupkach, po trzech lub czterech ludzi, w dużej mierze udała się. Sam gen. Duch, prowadząc swoją małą grupkę, przedostał się na południowy wschód do Tuluzy, do której i ja miałem niebawem dołączyć, bo to był wtedy taki polski punkt zborny. [...] Na razie jednak, po przedostaniu się przez główny, otaczający nas kordon, przekradaliśmy się nocą z moją grupką w kierunku na Lunéville pod Nancy. Bo tam właśnie byliśmy niedawno zakwaterowani. Każdy z nas miał znajomych, którzy mogli – na co liczyliśmy – udzielić nam pomocy na dalszą podróż. Zmęczony, nieogolony, odziany w obdarte ubranie jakiegoś wieśniaka, znalazłem schronienie u młodej, przystojnej wdowy, Renée Borni, w której domu byłem zakwaterowany, nim jeszcze nasza dywizja znalazła się w strefie frontowej. Renée przetrzymała mnie teraz przez kilka dni, odkarmiła i pomogła przeistoczyć się w przyzwoitego cywila. Gdy zaopatrzone w stary rower zbierałem się do drogi, wcisnęła mi do ręki jakiś stary papier. Przyjrzałem się mu bliżej i oczy mi zabłyśły z radości. Była to metryka urodzenia jej zmarłego męża Armanda Borni. I nawet wtedy, gdy już pedałowałem w kierunku Paryża jako „monsieur Armand Borni”, nie zdawałem sobie sprawy, że nazwiska tego będę długo używał, zaś imię Armand już niebawem do mnie przyłgnie [...]. A z gościnną i życzliwą mi Renée będę blisko współpracował w Paryżu.

[...] Drogi Francji były wtedy zatłoczone powracającymi uciekinierami i kolumnami wojsk niemieckich. Początkowo podświadomie, mimochodem przyglądałem się tej szczególnej defiladzie, a potem z coraz większym zainteresowaniem zacząłem już nawet śledzić przeciągające jednostki niemieckie, spoglądając na znaki umieszczone na pojazdach, drogowskazach świeżo ustawionych i bramach domów. Zdałem sobie sprawę, że znaczą one dla mnie niewspółmiernie więcej, niż dla kogo innego. W końcu miałem za sobą studia oficera sztabu oraz przeszkolenie w ostatnich miesiącach, pracując w Oddziale II. Już po krótkiej obserwacji zorientowałem się, że mogę rozpoznawać poszczególne jednostki po ich odznakach, klasyfikować je według rodzajów broni i ustalać ich garnizo-

ny. [...] Coraz bardziej podniecało mnie to. W pewnym momencie, jadąc na rowerze, skręciłem z szosy w polną dróżkę i postanowiłem położyć się na chwilę pod kopcem siana, żeby trochę odpocząć. Przymknąłem oczy i oddałem się rozmyślaniom. Powiedzmy, że dotrę w końcu do Anglii. Dołączę do mojej eskadry 111. Zostanę pilotem myśliwskim i uda mi się zestrzelić kilka, a może więcej samolotów niemieckich. Takich, jak ja pilotów – lepszych czy gorszych – mają już tam setki. Ale ty? Czy mają tu tak wielu ludzi przygotowanych jak ja? Tu, właśnie wśród Niemców. Byłaby to fantastyczna pomoc dla alianckich sił lądowych, powietrznych i morskich! Gdyby taką właśnie podziemną informację, wywiadowczą komórkę zorganizować, tu – na terenie okupowanym. No i postanowiłem: wracam na chwilę do Paryża i szybko na południe Francji, by dostać placet na tę moją, zwariowaną może, ideę!

Powróćmy znów na chwilę do słynnego spotkania trzech polskich oficerów w Tuluzie. Pozwolę sobie tu zacytować kilka krótkich fragmentów archiwalnego dokumentu, którego autorem jest jeden z tych trzech oficerów – mjr Wincenty Zarembski, ps. „Tudor”.

Po rozmowie z mjr. Mieczysławem Słowikowskim – kierownikiem ewakuacji polskich żołnierzy z Francji do Wielkiej Brytanii i ze mną na temat możliwości organizacji i pracy sieci wywiadowczej w „zonie” okupowanej Francji, „Walenty” udał się jeszcze w lipcu 1940 roku ponownie do Paryża dla rozpoznania pod tym względem tamtejszego terenu. Po powrocie z Paryża zdał on nam sprawozdanie ze swej podróży i rozpoznania terenu. [...] No i powtórnie zgłosił swą chęć do pracy wywiadowczej na terenie Francji okupowanej (zgłaszał taką chęć już podczas pierwszego pobytu w Tuluzie). [...] Uważaliśmy, że „Walenty” pod każdym względem odpowiada warunkom do takiego rodzaju służby. [...]

Od połowy października 1940 roku był on już gotów do wyjazdu do Paryża. Posiadał już wówczas potrzebne dokumenty francuskie wraz z arkuszem demobilizacyjnym na nazwisko kpt. lotnictwa francuskiego Armanda Borni, zwerbował w Tuluzie agentkę francuską Mathilde Lilly Carré pod pseudonimem: „La Chatte” („Kotka”) i przygotował do wyjazdu [...] dwóch agentów – Francuzów z wywiadowczej sieci lotniczej [...]. Wyjazd „Walentego” do Paryża nastąpił w dniu 9 listopada 1940 roku. A pracę wywiadowczą na terenie Francji okupowanej rozpoczął bardzo szybko, bo już po 20 listopada nadesłał do Ekspozytury w Marsylii pierwsze raporty wywiadowcze, z których należało wnioskować, że posiada już zorganizowaną dość dużą sieć obejmującą znaczny obszar Francji okupowanej. Sprawnie i szybko zorganizowaną sieć „Walenty” podzielił terenowo na sektory, z których każdy stanowił pewną całość zagadnień pod względem wywiadowczym.

Należy oczywiście dodać, że zadania dla nowej placówki wywiadowczej „Armanda” – „Walentego” zosta-

ły opracowane przez „Tudora” na podstawie otrzymanej jeszcze 17 października 1940 r. z centrali w Londynie dokładnej instrukcji wywiadowczej. Przy czym pierwszą nazwę tej placówki wymyślił sam kpt. Czerniawski w uzgodnieniu z szefem, „Tudorem” podczas ostatniego z nim spotkania w Tuluzie przed swoim wyjazdem do Paryża. Aż do połowy października 1941 r. nosiła kryptonim „Interallié” jako francuski odpowiednik naszego wyrazu „międzyaliancki”. Chociaż używano także określenia „Famille” („Rodzina”) i „Placówka Oficerska – Paryż”, a pod koniec jej istnienia w połowie października 1941 r. na polecenie centrali w Londynie otrzymała właściwie dwie nazwy: Ekspozytura „Int.” i „Progress” – na interwencję ze strony alianta rosyjskiego.

Wracając do instrukcji wywiadowczej, pozwolę sobie tu przedstawić kilka jej fragmentów.

a) Tygodniowe raporty wywiadowcze mają być nadsyłane do Ekspozytury „F.” w Marsylii raz w tygodniu przy użyciu kurierów obustronnych i przy wykorzystaniu pociągów bezpośrednich Paryż – Marsylia oraz Marsylia – Paryż [...]. W umówionym z góry dniu każdego tygodnia będą jednocześnie wyjeżdżali kurierzy: kurier placówki w godzinach rannych pociągiem pośpiesznym Paryż – Marsylia dojeżdża, na przykład: do Orleanu, lokując po drodze w ubikacji ustalonego na stałe wagonu pocztę dla Ekspozytury „F.” pod umówioną tablicą z przepisami. W Orleanie kurier ten wysiada, oczekuje na pociąg pośpieszny Marsylia – Paryż. Wsiada do niego i wraca do Paryża, zabierając z odpowiedniego miejsca pocztę dla placówki „Armanda”. Identyczne czynności wykonuje w tym dniu kurier Ekspozytury: wyjeżdża pociągiem pośpiesznym Marsylia – Paryż do stacji w Avignon, czekając na pociąg Paryż – Marsylia i wraca do Marsylii z pocztą od „Armanda”. [...]

b) Materiał mniej pilny, względnie objętościowo duży, należy wysłać kurierem raz w miesiącu przez tzw. zieloną granicę między strefami.

c) Po ustaleniu pracy radiostacji placówki i nawiązaniu korespondencji z Centralą w Londynie, wszystkie pilne wiadomości należy przekazywać do Centrali radiem wprost, a natomiast w nadsyłanych do Ekspozytury raportach tygodniowych oznaczać wiadomości już nadane do Centrali.

Wspomniana bezpośrednia łączność radiowa z Londynem została nawiązana przy pomocy radiostacji sieci „Interallié” w Paryżu dopiero 15 maja 1941 r. (po wcześniejszych kłopotach technicznych). W ciągu rocznego istnienia sieci tzw. miejsce postoju jej „głównej kwatery”, a tym samym i radiostacji było zmieniane czterokrotnie.

Zacząło się od rue de Saint-Jacques w V dzielnicy obok słynnego obserwatorium, a nieco później na krótko skwer Trocadero w XVI dzielnicy, następnie rue du Colonel Moll w XVII-tej i wreszcie od połowy sierpnia 1941

r. miejsce niemal kultowe i dla sieci „Armanda” tragiczne – la villa Léandre 8 B na magicznym wzgórzu Paryża – na Montmartrze, gdzie 18 listopada 1941 r. we wtorek o godzinie 6.00 nad ranem to „miejsce postoju głównej kwatery” sieci wywiadowczej zwanej obecnie „Progress”, mającej za sobą po ledwie rocznej działalności niezwykle sukcesy mimo często amatorskich metod, zostało opanowane przez niemiecką grupę zbrojną kierowaną przez sierżanta Tajnej Policji Polowej Hugona Bleichera, pracownika kontrwywiadu wojskowego Abwehry z rejonu okupowanej Francji. W jego rękach znalazł się sam szef „Armand”, a także główna zaufana, kierująca całym sztabem placówki wywiadowczej Lilly Carré (Mathilde), ps. „Kotka” („La Chatte”), która, jak się okazało, była podwójną agentką, bo służyła także w kontrwywiadzie Francji Vichy, czego „Armand” do końca nie chciał przyjąć do wiadomości. Ona zaś po aresztowaniu przeszła na usługi Abwehry, oddając do dyspozycji Niemców pełną listę agentów siatki „Armanda” z całym niemal dobytkiem materiałów wywiadowczych.

Warto może dodać, że już na początku 1942 r. w miejscowości Saint-Germain-en-Lay pod Paryżem, gdzie mieściła się główna kwatera Dowódcy Frontu Zachodniego Wehrmachtu urządzona została szczególna wystawa. Zaprezentowano na niej niemal pełną dokumentację ukazującą położenie wszystkich niemieckich dywizji na terenie Francji, a także wojskowych lotnisk, warsztatów, portów. Organizator wystawy gen. Karl von Stülpnagel polecił oficerom podległych mu jednostek, by obejrzeni tą ekspozycję w celach dydaktycznych. Wniosek nasuwał się sam: wywiad aliantów, a w tym przypadku efekt działalności pierwszej sieci wywiadu na terenie okupowanej Francji zorganizowanej przez Polaka – kpt. pilota Romana Czerniawskiego o pseudonimach „Armand” i „Walenty”. Operując często amatorskimi metodami przy pomocy stu kilkudziesięciu agentów, w większości francuskich – zdołał prześwietlić całą niemal niemiecką organizację wojskową we Francji i Belgii z przenikliwością, jak się ktoś wyraził, promieni Röntgena.

3

Oto jak wyglądał ten niezbyt fortunny finał sieci wywiadowczej „Armanda”, a także pierwszy etap jego przeobrażenia w podwójnego agenta, związany z otrzymaniem pierwszego nowego kryptonimu „Hubert”, uwzględniając punkt widzenia strony niemieckiej poprzez kilka krótkich fragmentów wypowiedzi moich dwóch kolejnych „świadków koronnych”. Pierwszym z nich jest ppłk Oskar Reile, były szef kontrwywiadu przy dowództwie Abwehry na obszar Francji, mający wówczas siedzibę w starym paryskim hotelu „Lutetia” przy bulwarze Raspail.

Jesienią 1941 roku w pobliżu portu Cherbourg na północy Francji znajdowały się niemieckie składy Luftwaffen, w których zatrudnieni byli także robotnicy francuscy. Pewien żoł-

nierz niemiecki z tych właśnie lotniczych składów, pamiętam tylko, że był to gefrajter [starszy szeregowy], któregoś dnia w tamtejszej tawernie portowej nawiązał rozmowę z jednym z francuskich kolegów z pracy, imieniem Emile. Sprawiał on wrażenie podpitego. Mówił do żołnierza mocno podekscytowany. [...] Zaczął robić aluzje do działalności szpiegowskiej, która napawała go troską. Gefrajter pociągnął go za język i niebawem złożył wyczerpujący meldunek, który drogą służbową dotarł do kompetentnej terytorialnie okręgowej placówki Abwehry w miejscowości Saint-Germain-en-Lay niedaleko Paryża. [...] Szef tej placówki powierzył zadanie sprawdzenia meldunku kpt. Erichowi Borchersowi.

I teraz kolej na reprezentującego przeciwną stronę „tajnego frontu”. Wspomina były sierżant Tajnej Policji Polowej Hugo Bleicher:

23 października 1941 roku, byłem wówczas tłumaczem i podoficerem Tajnej Policji Polowej w Cherbourg. Siedziałem nad aktami w swoim służbowym pokoju przy rue de l'Admiral Courbet, kiedy nagle, bez zameldowania wpadł do pokoju wścikły mężczyzna. Był w zielonym kapeluszu i szarym płaszczu z lodenu. Przedstawił się jako kapitan Bochers z terenowej placówki Abwehry w Saint-Germain. Zapytał mnie o nazwisko i szybko przeszedł do sedna sprawy [...]. Nie zostawił mi prawie w ogóle czasu nawet na to, abym włożył płaszcz i już jechaliśmy jego wozem do komendantury. Panował tam ogromny ruch, przynoszono akta, telefonowano, biegano itp. W komendanturze wyjaśniono mi krótko sytuację. Aresztowano robotnika portowego pod zarzutem przekazywania informacji jakiejś organizacji. Ponieważ kapitan Borchers nie znał języka francuskiego, miałem przesłuchać tego robotnika o imieniu Emil. Wprawdzie inaczej wyobrażałem sobie angielskiego szpiega, ale z upływem czasu, przekonałem się, że ten człowiek był właśnie ostatnim ogniwem łańcucha, który poprzez paryską Kwaterę Główną, doprowadzi nas do największej i budzącej najwięcej obaw, organizacji wywiadowczej. Dzięki zeznaniom Emila Abwehrze udało się aresztować agenta o pseudonimie „Desiré” lub „Kiki”, a przez Niemców określanego pseudonimem „Paul”, kiedy znalazł się on na dworcu w Cherbourg, w dniu przyjazdu. Był to szef siatki lokalnej „Interallié” w rejonie Calvados. W niedługim czasie potem rozpoczęło się przesłuchanie „Paula” w cytadeli Cherbourg. Podał on Abwehrze wiadomość, że w połowie listopada ma się spotkać ze swoim szefem „Armandem” w Paryżu na stacji metra Place de l'Opéra. Abwehra decyduje się na przewiezienie go do Paryża i umieszcza w więzieniu Cherche Midi.

Oto wydarzenia z relacji świadków w największym skrócie.

11 listopada, południe, Place de l'Opera. Przy wejściu do stacji metra stoją ubrani po cywilnemu agenci Abwehry,

k którzy w tunelu mogą zatrzymać „Paula”, gdyby podjął próbę ucieczki. Inne grupy obserwują całe otoczenie, żeby w chwili, kiedy pojawi się „Armand”, natychmiast go aresztować. W większej odległości spacerują Niemcy, udając pary zakochanych. Po wielogodzinnym oczekiwaniu „Paul” przyznaje się, że jego spotkanie z szefem przy stacji metra było tylko fortelem. Chciał jedynie podjąć próbę ostrzeżenia swoich kolegów. Dalej podał, że nigdy nie spotykał się z „Armandem” w Paryżu i nie zna jego adresu. Jedynie nieliczni znają mieszkanie szefa, wszyscy pozostali utrzymują z nim łączność za pośrednictwem tzw. skrzynek kontaktowych.

12 listopada. Restauracja Chez Madelaine. „Paul” ponownie zostaje doprowadzony z więzienia. Kpt. Borchers oświadcza mu, że przy następnej, najmniejszej nawet wpadce sprawa „Paula” zostanie definitywnie zakończona. Ma zatem ostatnią szansę i powinien przekazać „Armandowi” wiadomość. „Paul” pisze dla niego informację, w której podaje, że znalazł w Granville rybaka do służby kurierskiej, ale ten żąda tak ogromnej sumy pieniędzy, że w związku z tym prosi szefa o rozmowę. Ludzie z Abwehry ustalają sposób, w jaki informacje trafiają do skrzynki. Bleicher rozkłada plan Paryża i „Paul” wpada w pułapkę; nie pomyślał nawet, że Niemcy nie mogą znać miejsc lokalizacji skrzynek kontaktowych. Pokazuje je na planie. Pierwsza skrzynka kontaktowa znajduje się przy boulevard des Italiens w gmachu Berlitz School. Idzie się na szóste piętro biurowca i meldunek wrzuca przez otwór w drzwiach pokoju nr 281. „Paul” musi zapukać dwukrotnie i trzykrotnie nacisnąć klamkę. Potem dopiero otrzymuje przez szparę odpowiedź. Do pokoju nie wolno mu wchodzić.

14 listopada. Skrzynka w Berlitz School jest pusta. „Paul” puka tam o godzinie 10.00, ale nikogo nie zastaje, pokój jest pusty. O godzinie 19.00 w kawiarni La Palette jest odpowiedź od samego „Armanda”: „Teraz rozmowa niemożliwa. Natychmiast jechać do Granville. Powrót 20 listopada, wtedy nowe instrukcje i pieniądze dla rybaka. Walenty”. Następnego dnia ponownie zwolniono „Paula”. Ma poszukiwać „Christiana”. W kawiarni La Palette spotyka przyjaciela „Christiana” i mówi mu, że ma do „Christiana” ważną sprawę i będzie na niego czekał w kawiarni Monte Carlo. Przy stoliku „Paula” siada mężczyzna, którego kpt. Borchers i Hugo Bleicher natychmiast aresztują. W siedzibie Tajnej Policji Polowej Niemcy przesłuchują „Christiana”. Wiedzą, że spotyka się codziennie z „Walentym”. Jeżeli jutro się nie zjawi, to „Walenty” zostanie ostrzeżony. Borchers obiecuje „Christianowi” wolność, jeżeli poda natychmiast adres „Walentego”. „Christian” milczy i zostaje ponownie przewieziony do więzienia Cherche Midi. Bleicher proponuje wysłać do niego „Paula”. „Paul” daje się przekonać i z kilkoma butelkami koniaku i wina Niemcy wpychają „Paula” do celi „Christiana”. O północy, chwiejąc się na nogach, „Paul” wychodzi z celi, a za nim „Christian”. „Paul” pokazuje zmiętą kartkę: „Armand Borni, 8, la villa Léandre, Montmartre”.

Kiedy wreszcie „Armand” w drugiej połowie listopada 1941 r. został osadzony w słynnym paryskim więzieniu Frésnes po kilku miesiącach rozpoczęły się zabiegi ppłk. Oskara Reile w celu skuszenia go do służby wywiadowczej dla Niemców. Oto kilka fragmentów jego wspomnień.

Siedziałem nad aktami „sprawy Paula”, bo taki kryptonim otrzymała akcja rozbicia „Réseau Interallié” i rozmyślałem, co powinno się stać z 66 agentami tej sieci przebywającymi w więzieniu [...]. Nie mogłem się zdecydować od razu na przekazanie tych akt sądowi wojennemu [...], a tym samym prawdopodobnie i katu, gdy tymczasem „Emile” i „Paul”, którzy wydali swoich kolegów, uszli cało. [...] Czyż nie należało na przykład spróbować nawiązania kontrwywiadowczej łączności z generałem Sikorskim i jego sztabem? Czyż nie należało w granicach możliwości zbliżyć stanowisko polskiego rządu emigracyjnego wobec Związku Radzieckiego w dalszym ciągu wojny do stanowiska Niemiec?

Dlatego też zacząłem myśleć o tym, czy nie byłoby możliwe wysłanie „Armanda” na kontrakcję do Londynu [...]. Zdecydowałem się więc na rozmowę z nim. [...] Już następnego dnia odwiedziłem go w więzieniu Frésnes. Łatwo przyszło mi czynić Czerniawskiemu komplementy odnośnie dokonania „Réseau Interallié”, ponieważ organizacja ta dokonała w istocie rzeczy niezwykłych.

Nie chciałem wierzyć własnym uszom – wspominał po 32 latach major Roman Czerniawski w specjalnym programie Radia Wolna Europa . – Podpułkownik Reile, kontynuując rozmowę, rozwinął przede mną obraz sytuacji wojennej. Mówił o sukcesach Niemców w Rosji. [...] Już niedużo potrzeba, mówił Reile, żeby uzyskać pełne zwycięstwo. I że w tej sytuacji każda dodatkowa pomoc jest tu bezcenna. Jeśli pan, mówił, albo poprzez pana odpowiedni ludzie w Anglii dopomogą nam w tej decydującej chwili, będzie to traktowane jako duży wkład Polski i niewątpliwie wpłynie na jej sytuację po wojnie. [...] Byłem oczywiście ogromnie zdziwiony i wyraźnie oburzony, czemu dałem wyraz nie przebijając w słowach: „Chyba pan zna moją przeszłość i nie spodziewa się ode mnie współpracy z wami?!”. I znowu podkreśliłem to samo żądanie, które wyraziłem na początku naszej rozmowy, że tak, jak ja sam, jak i inni aresztowani członkowie organizacji winni być traktowani jako jeńcy wojenni. Podpułkownik Reile wcale nie wydawał się być zdziwiony tą moją reakcją, ani oburzony. Z uśmiechem konkludował: „Niech pan jednak jeszcze się zastanowi, niech pan pomyśli o korzyściach mojej propozycji. Odwiedzę pana wkrótce i znów na ten temat porozmawiamy. Może znajdziemy jakieś rozwiązanie. Na razie zresztą jest to moja prywatna inicjatywa” – dodał, wychodząc. [...] Odwiedził mnie znów za jakiś tydzień. A w międzyczasie dużo na ten temat rozmyślałem. W więzieniu jest na to dużo

czasu. Przychodzą do głowy wtedy nawet najbardziej niezwykłe projekty. Im dłużej rozmyślałem w czasie bezsennych nocy, tym realniej zaczął się wyłaniać właśnie niezwykły projekt. Doszedłem przede wszystkim do wniosku, że jest to niezwykła okazja uratowania nie tylko mnie samego, ale i moich ludzi. Założyłem również, że im trudniejszy będę w stawianych warunkach, tym realniejsze będą one dla Niemców i tym większa będzie szansa ich zrealizowania. Był to oczywiście paradoks w założeniu, ale intuicja nakazywała mi w ten sposób działać. Przemyslałem ten mój plan i byłem gotowy do dalszej rozmowy. [...] Gdy podpułkownik Reile odwiedził mnie znowu za jakiś tydzień, nadal taktowny, uśmiechnięty, powiedziałem mu, że byłbym skłonny do pewnej formy współpracy, ale na warunkach, które moim zdaniem są przez nich nie do przyjęcia. „Jakie są te pańskie warunki?” – zapytał. I tu wyrecytowałem: „Po pierwsze, członkowie organizacji, tak jak poprzednio żądałem, będą mieli prawa jeńców wojennych i zostaną wszyscy zwolnieni po wojnie. „To jest możliwe do wykonania” – powiedział. „Po drugie, z chwilą zwolnienia mnie przez panów, moje kroki nie będą nigdy śledzone, ani też nie będą wymagane ode mnie żadne szczegóły związane z moimi kontaktami”. „Tak, to też jest możliwe do przyjęcia” – zdeklarował.

Zaistniała przedziwna sytuacja – relacjonował podpułkownik Oskar Reile. – Ujęty szpieg stawia niemieckiemu kontrwywiadowi wojskowemu warunki przyszłej współpracy! Czy jednak umowa z Czerniawskim miałaby nie dojść do skutku z powodu jego żądania? Nie. Nasza służba nie miała dostatecznej liczby wywiadowców w Anglii i wobec tego musiała wykorzystać każdą nadarżającą się sposobność, aby uzyskać więcej lepszych informacji z Wielkiej Brytanii. Z pewnością więc także szef urzędu Abwehry admirał Canaris wyraziłby zgodę na dodanie żądanej przez Czerniawskiego klauzuli. I tak się też stało. Oczywiście należało się liczyć z tym, że Czerniawski, jeśli po upozorowanej ucieczce miał dotrzeć do Anglii, wypowiada się tam przed swoimi przełożonymi lub przed angielskimi tajnymi służbami. W każdym razie musieliśmy nastawić się i na to, że drogą radiową, którą chcieliśmy przygotować dla Czerniawskiego, będziemy otrzymywać fałszywe meldunki. Lecz nawet o takiej próbie wprowadzenia nas w błąd przez przeciwnika niemiecki kontrwywiad mógł warunkowo uzyskać informacje, ponieważ liczył się z taką możliwością. Więc, aby po stronie polskiej wzmocnić zainteresowanie całą tą akcją, w umowie zawarto jeszcze klauzulę, że Abwehra nie jest związana przyjętym zobowiązaniem wobec pozostających w areszcie członków „Réseau Interallié”, gdyby przyszła łączność radiowa miała być wykorzystana do przekazywania fałszywych meldunków. Gdy odwiedziłem „Armanda” po raz trzeci, nie miał już obiekcji przed prowadzeniem szpiegostwa na rzecz Niemiec. Nie zgłosił też wątpliwości do tekstu umowy.

No i wreszcie po kilku perypetiach kpt. pil. Roman

Czerniawski, mający w zanadrzu nowy pseudonim „Hubert” dostaje się do Londynu.

Zanim jednak w styczniu 1943 r. został przekazany z Londynu pierwszy, tak bardzo oczekiwany przez Oberstleutnanta Reile Funkspruch (radiotelegram) „Huberta”, musiało przede wszystkim dojść do podjęcia trudnej decyzji w Londynie, i to na bardzo wysokim szczeblu, bo w Radzie Wojennej (War Board), działającej pod egidą samego Winstona Churchilla, że nie wspomnę o wyrażeniu zgody przez gen. Władysława Sikorskiego i szefa sztabu Oddziału II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Jednym słowem, musiało po prostu dojść do narodzin „Brutusa”.

Fakt ten wymaga jednak dodatkowego naświetlenia. Chcę przypomnieć o powołaniu w styczniu 1941 r. przy Radzie Wojennej niezwykłego zespołu. Mówiąc najogólniej, miał on za zadanie zająć się inspirowaniem i akceptowaniem projektów skutecznego mylenia przeciwnika na najwyższym szczeblu strategicznym przy pomocy całego systemu podwójnych agentów. Ów zespół oznaczono kryptonimem angielskim „double cross” („podwójny krzyż”), co można zapisać dwoma krzyżykami, jak rzymską liczbę dwadzieścia. Stąd też zespół ten, wyłoniony z brytyjskiej Rady Wojennej, otrzymał kryptonimową nazwę „Komitet Dwudziestu”. Ta niewinna z pozoru nazwa dotyczyła grupy ludzi, w której skład wchodziło nie tylko przedstawiciele Ministerstwa Wojny, Kwatery Głównej Obrony Terytorialnej, Dowództwa Obrony Kraju, ale przede wszystkim przedstawiciele dowództwa służb wywiadowczych lotnictwa i marynarki wojennej, jak również szefostwa wydziałów 5 i 6 Wojskowej Służby Wywiadowczej (MI5 i MI6) – wydziałów, mających organizacyjne powiązanie z systemem podwójnych agentów. No i naturalnie dużą rolę w tym zespole odgrywali także różni specjaliści spoza dziedzin ściśle wojskowych, jak lekarze, psychologowie, fizycy czy historycy.

Warto może tu przytoczyć 7-punktowe swoiste „wyznanie wiary”, jakim kierował się Komitet Dwudziestu w swoich przewrotnych, ale i niezwykle skomplikowanych, wielostronnych, trudnych działaniach wojennych.

Po pierwsze – kontrolowanie w możliwie najszerszym zakresie nieprzyjacielskiej sieci wywiadowczej na terenie Wielkiej Brytanii i poza nią. Po drugie – wyławianie nowych szpiegów i namawianie ich do udziału w systemie podwójnej gry. Po trzecie – pogłębianie wiedzy o niemieckim wywiadzie, jego kierownictwie i metodach pracy. Po czwarte – zdobywanie informacji o Niemcach, ich szyfrach i kodach. Po piąte – uzyskiwanie informacji o planach i zamierzeniach wroga na podstawie zadań zleczanych agentom. Po szóste – wywieranie wpływu na zamiary i plany przeciwnika przez podstawianie odpowiednio spreparowanych odpowiedzi. I po siódme – dezinformowanie nieprzyjaciela co do brytyjskich planów i zamierzeń wojennych.

No i oczywiście teraz wypada przytoczyć fragment wypowiedzi jednego z członków Komitetu Dwudziestu, Johna Mastermana.

„Brutus” był ogromnie ważną dla nas zdobyczą roku 1943. W istocie przybył on do Anglii w październiku roku 1942, ale Rada Wojenna nie zatwierdziła go jako podwójnego agenta, aż do stycznia 43 roku, mimo że Komitet Dwudziestu od początku o to występował. Reprezentowany przez niego casus był ze wszech miar ogromnie skomplikowany [...]. Po dotarciu do Wielkiej Brytanii „Brutus” opowiedział nam prawdę wraz ze wszystkimi istotnymi szczegółami i usilnie nalegał, abyśmy włączyli go, jak sam to określił, do wielkiej gry. „Brutus” miał przekazywać Niemcom różnego rodzaju informacje wojskowe, ale pierwszym i podstawowym jego zadaniem było doprowadzić do współpracy między polskimi kołami wojskowymi a Niemcami i utworzyć polską „piątą kolumnę” w Anglii, zdolną do prowadzenia akcji sabotażowych i propagandy dywersyjnej. Staliśmy jednak w obliczu trzech poważnych trudności, gdyż „Brutus” był nie tylko człowiekiem, który poprowadził śmiało i znakomicie zorganizowaną pracę podziemną we Francji, lecz był również polskim oficerem w służbie czynnej. Pierwsza trudność polegała na tym, że podstawową zasadą życiową „Brutusa” była wierność Polsce i chcąc go wykorzystać, musielibyśmy poinformować jego polskich zwierzchników w Anglii o naszej działalności. Ze względu na bezpieczeństwo nie mogliśmy sobie pozwolić na całkowite wtajemniczenie Polaków w nasz system, a trudności językowe komplikowały zabezpieczenie przed ewentualnymi przeciekami. Druga trudność była nawet jeszcze poważniejsza. Po pewnym czasie bowiem nie mieliśmy żadnych wątpliwości co do „Brutusa” i motywów jego działalności, ale czy mogliśmy być równie pewni, że Niemcy rzeczywiście mu ufają? Gdyby więc Niemcy doszli do wniosku, że zostali oszukani, to wówczas informacje przekazywane im z Anglii przez „Brutusa” stanowiłyby dla nas źródło dużego niebezpieczeństwa. Trzecia trudność, której musielśmy stawić czoła, miała charakter polityczny. Otóż stosunki polsko-radzieckie były wówczas napięte i nasz Foreign Office mógł nie wyrazić zgody na rozwijanie politycznego aspektu sprawy „Brutusa” z obawy przed niepożądanymi reperkusjami ze strony Stalina. [...] Zaważyło to tak dalece na prowadzeniu sprawy, że musielśmy zrezygnować ze zbudowania siatki podagentów „Brutusa”, tak jak tego chcieli Niemcy. W końcu jednak zapadła pomyślna decyzja [...]. I jak niebawem się okazało, „Brutus” był naszym najlepiej osadzonym agentem do spraw informacji wojskowych, a w miarę jak rosło nasze przekonanie zarówno do niego samego, jak i do zaufania, jakim go Niemcy darzyli, powierzaliśmy mu coraz więcej zadań, tak że w końcu odegrał on dużą rolę w akcji maskującej operację Overlord, czyli m.in. inwazję aliantów na północne brzegi Francji.

Informację tę uzupełnia sam „Brutus”:

W tym czasie wszystkie wiadomości, które były wysyłane przeze mnie, wskazywały na to, że wprawdzie uderzenie aliantów prawdopodobnie idzie w kierunku na Cherbourg, na Normandię, niemniej jednak będzie to uderzenie mylące, bo główne uderzenie będzie szło w kierunku na Pas-de-Calais. Dla uprawdopodobnienia tej informacji, została nawet stworzona przez Komitet Dwudziestu pewna teoria, głosząca, że awansowałem i zostałem mianowany oficerem łącznikowym dowództwa generała Eisenhowera do amerykańskiego sztabu generała Bradley’a na południu Anglii. Żeby dodać wagi wiadomościom, które przekazywałem. A praca moja była ułatwiona, dlatego że nosiłem wtedy mundur oficera lotnictwa polskiego w Wielkiej Brytanii oraz miałem wszystkie potrzebne dokumenty i rozkazy wyjazdów. Stąd też miałem wstęp wszędzie, na wszystkie drogi, wszystkie koleje, do wszystkich dowództw jednostek, nieraz bardzo ważnych.

Operacja „Fortitude”, która stała się największą deceptcją w historii wojen, stworzyła nieprawdopodobny świat ułud wojskowej. Zostały stworzone wydarzenia, które nigdy nie miały miejsca.

Począwszy od stycznia 1944 roku, wszyscy podwójni agenci kontrolowani przez brytyjski Komitet Dwudziestu pracowali na różny sposób przy przygotowaniach do operacji „Fortitude”. Ale do samej operacji została użyta elita czterech agentów: Hiszpan, ps. „Garbo”, Duńczyk, ps. „Tate”, Francuska, ps. „Treasure” i Polak, ps. „Brutus”. Istnieją wystarczające dowody, że właśnie dzięki „Brutusowi” Abwehra nie tylko połączyła dezinformującą przynętę, ale porwała ją wraz z żyłką i ciężarkami. Mało tego – co na zakończenie tego szkicu warto chyba podkreślić – ludzie z Abwehry potrafili także dotrzymać słowa danemu „Hubertowi” i uratowali przed katem 64 agentów zlikwidowanej sieci „Armanda”.

Przypisy:

1. Armand – Hubert – Brutus. Trzy oblicza agenta, Warszawa 2005.
2. Wszystkie oryginalne wypowiedzi płk. Romana Czerniawskiego-Garby pochodzą z fragmentów nagrań magnetofonowych zrealizowanych przez Janusza K. Piekalkiewicza w 1967 w Londynie i Paryżu, z fragmentów archiwalnych nagrań RWE oraz prywatnych nagrań prof. Aleksandra Bluma w Londynie, tuż przed śmiercią pułkownika uzupełnionych fragmentami polskiej wersji książki Czerniawskiego *Wielka sieć*, publikowanych w odcinkach w londyńskim „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza” w 1961.
3. 111 Eskadra Myśliwska – stała się bazą słynnego Dywizjonu 303.
4. Sprawozdanie z pracy „Walentego” vel „Armanda” w okresie od 16 IX 1940 do 16 X 1941, tj. do dnia podporządkowania placówki „Walentego” bezpośrednio Centrali w Londynie.
5. Kpt. pil. Roman Czerniawski po zaakceptowaniu przez szefa Ekspozytury „Francja”, mjr. Wincentego Zarembskiego, „Tudora” pomysłu organizowania sieci wywiadu na terenie okupowanej Francji otrzymał pseudonimy „Armand” i „Walenty”.
6. Fragment rozmowy nadanej 25 XII 1974 r., prowadzonej przez Marianą Czarneckiego.

KRYSTYNA SZLAGA

Pamiętaj

żeś synem żebraka

Pamiętaj żeś synem żebraka

Choć będą ci wmawiać

królewski rodowód

Nieuleczalnie samotny

Twoje ciało dzikie

Twoje serce drżące

Twój mózg z waty

Bezsilny władco

Niczego nie możesz ocalić

Wszystko się rozpada

Obcy i pusty

W gorączce idei

W delirium pychy

Nie podnoś lamentu

na gruzach tysiącleci

Nie kryguj się przed paszczą tłumu

w klatce metropolii

Ani nie całuj buta mocarstwu

Imperium to błąd

Któreż imperium przetrwało

Pamiętaj żeś synem żebraka

W kamieniu zobacz swoje barbarzyństwo

W wodzie cierpliwość

W źródle namiętności

W burzy szaleństwo

W trawie pokorę trwania

Ty

Człowiek pośród korzeni słońca

powitaj górę i wążkę

w godności żebraczej

1989

Dano mi

Dano mi jeszcze jeden dzień

i jeden krok

na pękającej krze.

Przestworza skrzą ciemnością

Ja -

zapalona lampka na krze.

Jeden krok ku prawdzie.

Ogarnia mnie strach.

O prawdzie nie wiem nic.

Idee, fakty, eksperymenty

są cząstką prawdy.

Prawda to całość.

Całość wyklucza jedyność

mojego świata wewnętrznego -

naczynia pamięci, pełnego

szumu światła, gdy pod stopami

kołysze się skała rozpostarta nad

spadającą pochodnią przepaści.

Całość. Za wszelką cenę całość

w danym nam okrucchu

scalanym, dzielonym, traconym.

Jeden krok ku prawdzie to

utopia całości,

kalectwo czasu

i wieczność

we mnie -

topniejącej krze.

1999

Poetkę pożegnaliśmy 8 marca br.

na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie

(Red)

MAREK SOŁTYSIK



DARMOWY WIŚNIARZ W TWOIM LIVING ROOMIE!

W okresie transformacji ustrojowej przestałem się dziwić; cóż, prowizorka – kiedyś wszystko wróci do normy. Czas jednak biegł – jak zawsze – a kot dawno zdechł, odwrócony ogonem, i śmierdział. Żyłem jak automat; tak jak większość koniunkturalistów z czasem sprawiłem sobie garnitur, ściałem długie włosy, systematycznie już odwiedzałem fryzjera, jako że nie pozatracałem kontaktów, nie straciłem bowiem instynktu samozachowawczego; co mi szkodziło zjeść obiad na mieście ze świnią, skoro tak czy inaczej razem sztućce i talerze zostaną zmyte i będzie z nich korzystał także ktoś przypadkowo porządny; po głębokim namyśle nie skorzystałem z możliwości robienia obrazków do kolorowych pism kobiecych metodą komputerową (tę wątpliwą przyjemność pozostawiłem tzw. „grafikom”, ludziom nie mającym pojęcia ani o formie plastycznej, a ni o formie w ogóle, nędznym naturalistom, usiłującym twardym montażem udawać naturę i doprawiać jej gębę głupawymi sztuczkami, niby-dowcipami, które nie zamaskują amatorszczyzny, wpychanych na siłę w organizm przestrzeni, ażeby w niej było powietrze (myślę o świeżym); nigdy nie nagnę się do ślęczenia przy ekraniku i klawiaturze z myślą o konkurowaniu z amatorami). Wybrałem coś, co w tych nowych czasach nie może mnie zhańbić w oczach kolegów artystów, choć trudno powiedzieć, żeby płynęło ze źródła sztuki czystej. Otóż rzemiosło, o, warsztat! Rzemiosło, które miałem opanowane, skuteczność gestu – i jest wejście! Nikt by mi nie śmiał zabronić paradnego wkroczenia na odnowione salony sztuki! Mnie? Synowi – większość z tych nowych nie miała pojęcia, jak wielkim człowiekiem był mój ojciec – synowi JEJ, świeć Panie nad jej duszą, szkoda, że tak szybko, tak nagle – najczulszej damy kraju, przyjaciółki wybitnych, tych nieskażonych! (Stopień skażenia znakomitej większości z nich wyjdzie później, po latach, oczywiście, za mojego życia, tak się jakoś składa, że dopiero po ich śmierci. Dobijające. Ale nie ich. Z tym musiałem żyć – w dekoracjach obcych mi do tego stopnia, że kiedyś obudziłem się o świcie, rozdygotany i spocony, z przerażającym wrażeniem, że oko zasłonięto mi czerwona materią sztandaru. (Nam, matce i mnie, ani oczu, ani okien w ten sposób nie zasłaniano, ale robiono to w mieszkaniach kolegów, okazynie, na wiosnę, bo trasa pochodów pierwszomajowych wiodła ulicami, na które wychodziły ich okna). Dopadło i mnie! Okno – na szczęście jednak nie oko – zasłaniała olbrzymia, na trzy czwarte kamienicy reklama producenta czegoś, w czym trudno się było wyznać. „Grafika” komputerowa!

A ja, w trakcie szybkiego przygotowywania „wystawy monograficznej” na najważniejszym salonie – i z już wytyczoną trasą międzynarodową.

Sprawa skomplikowana. Prac (hm, dzieł) nie miałem. Z sumieniem rozliczyłem się szybko: prace (których fizycznie nie było!) mogłem mieć zmagazynowane. Co kogo obchodzi, że przez te lata nie malowałem? Jestem delikatny – nie widziałem w tym sensu. Teraz – nie zwietrzałe wizje przelewam na kolosalne płótna. W błyskawicznym tempie. Walczę z czasem, który do niedawna była dla mnie tak niedobry... Zwycięzę! Zwyciężyłbym – w to wierzę – gdyby nie ta, ni z tego, ni z owego, reklama na obydwu oknach od frontu.

Z udawania, że zajmuję się twórczością artystyczną, żyło mi się dobrze. Byłoby cudownie, gdyby nie głosik sumienia. Był wprawdzie przywalony masą dóbr materialnych tego świata, ale dawał się słyszeć w najmniej spodziewanych, najbardziej, powiedziałbym, niestosownych momentach. Udawanie retrospektywy – to, co teraz trzeba by nazwać akcją plastyczną, ale co w rzeczywistości było zwykłą robotą oszusta – udało mi się ukończyć przy mocnym świetle sztucznym. Szeroki gest pędzla – uwieczniony przez ławkowic, pędzel, jakiego, jak się zdaje, jeszcze gdzieś używają malarze pokojowi, zanurzony w farbie akrylowej, która przy zaletach i trwałości farby olejnej ma tę nad nią przewagę, że schnie tak szybko, jak szybko stygnie herbata w szklance – „samotworzył” na olbrzymim płótnisku niezwykłe efekty fakturalne. Dla wygody ustawiałem na sztalugach od sześciu do siedmiu płócien formatu 2,20 x 1,60 cm (wszystkie formaty identyczne w celu późniejszego ułatwienia transportu) i na każdym – buch, bach! – ten cudowny ślad gestu. To potrafiłem; tego się nie zapomina; to zresztą miałem w sobie, talent może nie do końca, ale zdolność po ojcu to już nie w kij dmuchał!

Potem najcieńszym pędzelkiem, który po nabraniu farby w wiewiórcze włosie układał się w charakterystyczny beczkowaty stożek, zwrócony szpicem cienkim i ostrym jak igła – tym więc pędzelkiem pozostawiałem kolejny ślad wrażliwości; owszem, udatnie sugerowało to arcyzm. Jak mawiała studentom pani profesor, która do dziś potrafi cudnie oszukiwać i profesjonalnych marszandów, i kolegów po fachu (na pewno wszakże, jest na to zbyt inteligentna, nie siebie), kojarzyło się z dobrą sztuką.

Wiedziałem, że zajmuję się beczelnym oszustwem, ale ceniąc ludzi, którzy mi to umożliwili, czułem się usprawiedliwiony. A jak błogo niebawem połączają korzystne recenzje! Prasa, radio, różne tam telewizje; powiadomili mnie nawet, że tak dużej frekwencji jak na mojej wystawie nie notowano od kilkunastu lat. Kuźwa! Ile sprzedanych biletów!.

Ci, co urządzali moją, jak mi się wydaje, karierę, jakimś chwytem reklamowym, a ja myślałem, że cudem, sprawili, że nawet listonosz po całym dniu pracy przyszedł na spotkanie z artystą (za mną), a nazajutrz, syty nie tylko wrażeń, opowiadał wszystkim w miasteczku, co to za geniusz nas odwiedził... Doskonałe warunki, jaki mi zapewniono podczas pobytów w dotychczas znanych mi tylko z nazwy polskich miastach i wysokie honoraria za uczestnictwo w bankietach wspólnie z elitą tych miast, wszystko to utwierdzało mnie w przekonaniu, że oto wreszcie przyszło mi żyć w bogatym kraju. Wydawano na mnie, jakże już, cholera, modnego, pieniądze samorządowe, w ciągu roku ukazały się trzy albumy o mojej twórczości, jeden w stolicy, dwa na obrzeżach, w nowych, ale już bardziej niż stołeczne liczących się oficynach, z tekstami pana M. (a, walę po nazwisku: Miodowłoskiego), człowieczka nowiutkiego na opustoszałym dziwnie polu krytyków sztuki; wybitny P. spóźnił się z esejem, no to dali mu kosza, w jedną noc coś napisał reporter miejscowej gazetki (branża przemysłowa, na wymarcu), zyskał nazwisko, w mig się przestawiał na handel antykwaryczny, zresztą inżynier metalurg z zawodu; lubił obrazki. Trzeci tekst, pióra znakomitego U., uznany przez wydawcę za ezoteryczny, wprawdzie po dąsach i tarapatach wydrukowano, ale krytykowi, temu najbardziej inteligentnemu w kraju – pewnie na złość albo z innych powodów, do czego wróć – nie zapłacono. Oni wiedzieli, że U. się nie będzie prawował.

Wtedy pisał we mnie głos sumienia. Zaprosiłem na wódkę cenionego przeze mnie i przez górę światowej kultury, oszukanego przez wydawcę krytyka. Nie miałem tego dnia nastroju do picia, wódka raz wydawała mi się za ciepła, a gdy zwróciłem na to uwagę barmanowi i ją zmrozili – za słaba i zbyt lodowata. Nikła, a wręcz wątpliwa przyjemność, niesmak, bez spodziewanego efektu. Krytyk patrzył mi w oczy, był starszym zadbanym mężczyzną, który właśnie spadał z pięknego, wysokiego wierzchowca, bąkał coś, półprzytomny (upał, smog, ruch wokół) o tym, że lepiej nam będzie, jak się wyrażał, w murach. Miał na myśli swoje mieszkanie. To parę kroków, tu, na Starówce. Byłem tak nieostrożny, że nosiłem przy sobie grubszą gotówkę. Skoro się przelewało? Udając trochę pijanego, nagle pochyliłem głowę, złapałem i pocałowałem rękę U., spoczywającą na blacie. W ostatniej chwili zobaczyłem na skórze krytyka żółtobrunatne plamy wątrobowe. Musiał je widocznie przypudrować, pachniały czymś babskim, jakby fryzjerką. Wyciągnąłem z prawej kieszeni spodni zwitek banknotów, nie musiałem przeliczać, była tam równowartość czterech pensji nauczyciela z wyższym wykształceniem i stażem, brutto, powiedziałem, że teraz jest wolny rynek i że wobec tego ja płacę za jego esej, a on, jeśli może, niech ureguluje z tego także nasz rachunek za wódkę, a właściwie może nie płacić, skoro w nocnym lokalu zatrudniani są amatorzy

nie umiejący podać wódki w sposób właściwy, i nie żegnając się z nim wyszedłem z lokalu. Furkotała dookoła mnie myśl o obrzydliwościach, jakie sobie wykombinował czy wymarzył świetny krytyk; chciał mnie, jeszcze młodego, i o oczach podobnie urzekających jak oczy mojej nieżyjącej legendarnej matki, zwabić do swojego mieszkania z brudną pościelą i zerznąć.

Być może chciał tylko posłuchać wyrafinowanej muzyki w moim towarzystwie. Są tacy ludzie, którzy nie potrafią sami. Przeżywać, jeść. To taki lęk przed dojmującym poczuciem, że świat się na nich obraził.

A tego krytyka akurat olała nowa rzeczywistość. Był – a w każdym razie zdawał się być – z innej układanki.

A to, że jego nigdy nie było w żadnej układance – w obecnej chwili dziejowej nie miało żadnego znaczenia.

Szeregi bardzo podobnych obrazów. Ta sama zasada konstrukcyjna: mocny, potężnie niby chlapięty, a przecież na swój sposób wykaligrafowany znak-element, otoczony zgiełkiem złożonym z efektownie migotliwych przetrac w tonie ogólnym kontrastującym z tym znakiem. Igraszki plastyczne, które w kilku niespodziewanych miejscach częściowo przysłaniają znak-element, współtworząc, czy ja wiem, jego bryłę, czy istniejąca jako chorobową narośl, w następnym płótnie, całkiem znów odczepione, hulają po kompozycji. Proste? No, i jakże, panie tego, indywidualne! Czterdzieści obrazów, każdy o odmiennej gamie kolorystycznej, przemieszczało się, jako wystawa objazdowa (jak się rzekło, formaty jednakie, łatwe do transportu) do miast, w których sale wystawowe czy westybule teatrów mogły pomieścić komplet, po sukcesie stołecznym. Dzięki mojej wystawie, poniekąd pionierskiej, władze samorządowe niejednej miejscowości, na fali snobizmu, z sarmackim zadęciem, z chłopskim uporem, z żydowską przemyślnością, budowały na chybcika pawilony wystawowe, tylko po to (pozornie, z innymi korzyściami na przyszłość), żeby się znaleźć w planie miast, wsi i osad, do których zawita moja wystawa. Były chwile, kiedy wierzyłem, że to, co robią, robią dla mnie, dla mojej sztuki, która jest dobra i ma szansę przetrwać. Z zawziętością, pijąc brandy (zagustowałem wówczas w tym podstępny trunku) oglądałem w te i we-wte reprodukcje własnych obrazów pomieszczanych w katalogach i we wspomnianych albumach. Sto procent pewności, że znalazłem się na kartach historii sztuki (ale chyba nie tylko polskiej?, dylemat, okazja do nalania sobie kolejnej porcji brandy). Lata przechodziły zupełnie niepostrzeżenie, jeździłem z tymi wystawami, właściwie za nimi, spędzałem czas na doglądaniu, czy należycie pozawieszali (na to w umowie wyznaczyłem sobie dwa dni dodatkowe pobytu darmowego, dzień wernisażu, bankiet z władzami i z tymi, co są uważani za elitę miasta i za taką w końcu sami także się uważają, nazajutrz po

dużym żarciu i wielkim picciu, dzień odpoczynku, dopiero kolejny dzień to udzielanie wywiadów, zwiedzanie miasta i okolic). Na wszystko to nie wydałem grosza. Jeździłem tak uparcie. Stałem się popularny dzięki nietypowemu trybowi życia („artysta zawsze pod ręką” – ukuł takie hasło brukowy dziennik o milionowym nakładzie w weekend; zaczęło się od tego, że, jak wiele innych pism, poprosił mnie o rozmowę, o ekskluzywny wywiad na rozkładówkę weekendową – na cały kraj. Gdzieś mi coś wtedy mignęło, że w bardziej cywilizowanych krajach celebryci żądają pieniędzy już za samą zgodę na udzielenie wywiadu. Miałem serdecznie dość dziennikarzy i za ich pośrednictwem siebie wszędzie, rzygać mi się chciało. Gdyby nie to, że wizja powrotu do mojego spustoszonego przez Henię mieszkania w Warszawie napawała mnie jeszcze większym obrzydzeniem, dawno bym czmychnął z „trasy”, ulokowałbym się w kącie domu ojca... W każdym razie na odczepnego zapytałem dziewczynę, która przysłała do mnie z dyktafonem i wpiła we mnie wzrok papierowego wampira, ile redakcja mi zapłaci za wywiad.

– No, nie wiem – spieszyła się dziewczyna i w jednej chwili jej spojrzenie zrobiło się prawidłowe. – Nie mam na ten temat żadnej wiedzy – wyjaśniła głucho.

– Dobrze, że nie mówi pani: „w tym temacie”! – Wypiąłem się na nią dosłownie, szukałem bowiem resztek brandy w czeluściach nocnego stolika; trunek tam był, w szklance, wypełnionej do połowy: wymacać ostrożnie, żeby się nie wylało. Uniosłem szklankę, wyprostowałem się i wciąż siedząc tyłem do dziennikarki, poradziłem jej, żeby się skontaktowała z naczelnym czy może lepiej od razu z wydawcą. Ona skinęła głową, skrętnie wyciągnęła pager czy może komórkę (nowość!), ja w tym czasie przemknąłem do łazienki, tam w okamgnieniu wypięłem brandy o posmaku polityry, którego nabrała w tej nowiutkiej i zamkniętej na całą noc szafce, umyłem ręce gorącą wodą i mydłem, po czym twarz umyłem kilkakrotnie całkiem zimną wodą, bez mydła, poczułem wstręt do ręcznika, przytuliłem do twarzy ściśnięty w garści papier toaletowy i tym czymś wklepałem w skórę resztki dobrego chłodu.

– Yes, yes! – usłyszałem głos dziennikarki. Teraz spostrzegłem, że zapomniałem zamknąć drzwi łazienki. Widziałem dziewczynę, tam, w dziennym świetle pokoju; z łazienki, oświetlonej sztucznie, obserwowałem ją przez szparę: gli-niaste włosy, żółtawa, niezdrowa cera, cycki pod swetrem, tak, nóżce, baba. Podobno, jak mi ją rekomendowano, bystra. Nie wygląda – więc pewnie to prawda.

– Ile dajecie? – zapytałem. Brandy rozeszła się po organizmie i najwyraźniej alkoholowy duch był już pod czaszką.

Wyklikala numer naczelnego, wyjaśniła, że będę rozmawiał i wsadziła mi do ręki duży przedmiot (to już wiemy: telefon komórkowy, jeden z pierwszych tu, wtedy przedmiot luksusu). Wstrząsnęła mną suma, jaką ten człowiek mi podał. To równowartość renty pobieranej przez dwa lata przez mojego znajomego muzyka, który już nie może grać na saksofonie z powodu urazów czaszki i kręgosłupa (kręgi szyjne), jako jedna z żyjących ofiar wypadku autokarowego. Powiedziałem do tej komórki obmierzłym tonem:

– Dobrze.

Jak można dopuścić do podobnego bezceństwa?! W jednej chwili – co nikogo normalnego nie dziwi – zrobiłem się czerwony. Wiedząc, że nic to nie da, jeżeli nawet te pieniądze przeznaczą na przykład na wsparcie dla sierot lub na leczenie osób dotkniętych ciężkimi schorzeniami, to ta kwota, zanim dotrze do potrzebującego, będzie uszczuplona o każdy ten pyłek złota, który osiadzie na rękach setek pośredników.

Długo patrzyłem na dziennikarkę. Właściwie przyglądałem się jej. Siedziała przerażająco poprawnie na krześle i bawiła się sznurem. Poznałem: to był sznur do wieszania bielizny, który wczoraj kupiłem w tym mieście, w sklepie z różnościami, mieszczącym się w jednym z licznych w większości polskich miasteczek piętrowych domów w rynku, z których Niemcy w służbie Trzeciej Rzeszy Adolfa Hitlera wywlekali mieszkańców pochodzenia żydowskiego.

– Możemy zaczynać – powiedziałem. Jeszcze nie miałem pewności, czy zabawa moim sznurem, co wcześniej leżał na stole i nie był odkręcany od nowości, była prowokacją, czy też miałem do czynienia z kobietą historyczną.

Rzuciłem wzrokiem na jej rzeczy. Oczekiwałem, że wyciągnie znów swój dyktafon i zada mi jedno z tych sakramentalnie mdłych, wysłizganych pytań w rodzaju: „Abstrakcja się skończyła z momentem wkroczenia malarstwa nasyconego poetyką, rzecz by można, art brut; jaka była pana reakcja, jako malarza gestu, w tym przełomowym momencie?”. Albo: „Czy to prawda, że jest pan obecnie jedynym artystą w Europie, który, zainspirowany tazyzmem, przemawia własnym głosem, zwalczając idee pseudohiperrealistycznego przedstawiania rzeczywistości, owocujące w obrazach najradzykalniejszych przedstawicieli tak obcego panu kierunku?”. Itd., itp. Rozmowa się skończy na rozważaniach na tematy elegancko kulturowe, np., czy czymś słusznym jest przeplacowanie z Francji na polski obrus dopuszczenie win czerwonych do ryb; czy to prawda, że moje skłonności mizoginistyczne uwidaczniają się najwyraźniej w Kompozycji XVI żółtej (żebym to ja wiedział, który to obraz?), wreszcie, jakie traumatyczne przeżycie z dzieciństwa wryło się najbardziej w moją pamięć, przemieniając je, już oczyszczone filtrem wyobraźni, w dzieło

sztuki, co oczywiście mogło się stać już tylko dzięki samoświadomości i nieustannie ćwiczonej konstrukcji duchowej, umożliwiającej kształtowanie mocy kreacji?

Dziennikarka, wciąż o woskowej twarzy (raczej nie używała do jej mycia wody ani klasycznego mydła, jakieś lepkie, jak się zdaje, toniki), patrzyła na mnie, nie wypuszczając mojego sznura z rąk. Dłonie; nie mogłem określić ich kształtu – igrały bowiem ze sznurem.

Nagle, i tylko przez chwilę, zobaczyłem wszystko w mocniejszych barwach i kontury rysowały się ostro. To było takie... energiczne. I spontaniczne widocznie, bo nawet nie czułem, że się poruszam – a przecież znalazłem się przy dziennikarce. Jakoś musiałem tam dojść, zrobić pięć, może sześć kroków. Wyrwałem osłupiałej sznur z obu rąk i posługując się kikutem prawej dłoni oraz palcami lewej, do krwi otarłszy sobie naskórek, przywiązałem zaskoczoną do krzesła. Zrobiłem to, co musiało mi od niepamiętnych czasów chodzić po głowie. Doskonale związana i z nogami rozkraczonymi (uda wystawały jej z zewnętrznych krawędzi siedziska), usiłowała wrzeszczeć, lecz głos nie mógł widocznie dobyć się z jej krtani – To ze strachu, a masz, za karę, ty, ty gadatliwa – mruczałem wsadzając jej do ust dzierganą serwetkę leżącą dotąd na tzw. ławie, gdzie piło się kawę, gdy się było przykładowym gościem hotelowym, oraz waliło się wodę – ditto. Lub co kto chciał. Wpierdalała mnie ta serwetka; położoną na ukos ławy, układałem ją – tylko tyle można było zrobić – mniej więcej prosto. Gdy jednak na kilka godzin opuszczałem pokój, zjawiała się sprzątaczką, może pokojowa, a może jeszcze ktoś inny, w każdym razie czyjaś ręka przywracała dawny stan: serwetka na ukos. Teraz znalazła wreszcie swoje miejsce: zmiętoszona, w ustach młodej dziennikarki o woskowej cerze.

Co z nią zrobić? Zostawię ją tak, wyjdę z pokoju hotelowego na pół dnia, pokojówka przyjdzie, zrobi się afera. Tego mi właśnie było trzeba: błyskotliwego rozgłosu. Już widzę wielkie litery, przeczuwam wrzask pierwszych stron gazet...

Obudziłem się w miejscu, gdzie przestrzenie ścian były akurat wolne od ozdób. Nad drzwiami wisiał wprawdzie krucyfiks, ale nie rzucał się w oczy. Jak klamka, jak wyłącznik światła, jak czujnik przeciwpożarowy. Leżałem i mojej ręki dotykała ta mała dziennikarka. Spojrzałem na jej rękę, potem na swoją, szukając śladów mocowania się ze sznurem. Nic. Gładkie ręce. Nawet bardzo, zwłaszcza jej; nie spodziewałem się, ładne. Może to tak w tym świetle. W moim przegubie tkwił wenflon; nade mną wisiała butla, do której byłem podłączony przewodami kroplówki.

– Szykuje się proces, prawda? – odezwał się do dziennikarki.

– Kafka panu w głowie. Jak proces? Nikt panu nie kazał trzymać alkoholu w zamkniętej nocnej szafce, nowiutkiej, wstawionej specjalnie dla sławnego gościa, w szafce prosto z wytwórni, gdzie stosują toksyczne kleje, syntetyczne żywice *et cetera*.

– A co to ma do rzeczy? Czy zabezpieczono sznur jako dowód rzeczowy?

– „Zabezpieczono”, phi, nowomowa mundurowa! Mam nadzieję, że panu przejdzie. Pan jest zatruty tym sztucznym świństwem, które pan łyknął wraz ze szklanką winiaku. Ładnie to tak pić szklankami szlachetniejszego wyskok? To już lepiej – dodała szeptem – z gwinta. Z trupią fantazją.

– Mam nadzieję, że nie dobiebrałem się do pani?

– Narowisty seksista – powiedziała z goryczą. – Mówimy tu wszystkim, że pan się struł. Oficjalna wersja, pan rozumie. Zupełnie by pana zdyskredytowała w czytelnicznym odbiorze informacja, że pan dusił stażystkę, reporterkę dziennika o najwyższym nakładzie. Coś pan próbował, słabiutko. I panu się zwyczajnie urwał film. Schłał się pan. Tyle.

Hmm... Coś obrzydliwego.

– Ale ja miałem wobec pani bardzo złe zamiary – powiedziałem bardziej do siebie.

– Nie interesuje mnie to – nawet nie próbowała czegokolwiek udawać. Wyciągnęła z torby dyktafon. – Teraz ja. Rozmowa została zakontraktowana, szkoda czasu, powinien mnie pan być zaprosić na wystawny obiad, a tymczasem uniknie pan kosztów. Pytanie pierwsze. Gdzie pan zapalił pierwszego w życiu papierosa?

– W Domu Katolickim przy ulicy Dzierżyńskiego.

– ???

– Po religii.

– Ależ pan ma wyobraźnię! Epatować czytelnika to...

– Pani będzie drukować takie swoje schujowaciałe komentarze? Gówno, nie epatowanie. Odpowiadam szczerze. Tak było.

– Ale taka odpowiedź ustawia pana automatycznie jako jednego z twórców reprezentujących opcję...

– Odwal się, głupia szczekaczko – warknąłem i obróciłem się na lewy bok. – Będę mówił, ustawię się w opcji wymaganej przez twoje pisemko, ale przynieś mi tutaj w zębach te obiecane pieniądze! Bez pieniędzy z waszej gazetki będę tylko i wyłącznie kontestował. Możliwe, że nawet od czasu do czasu nieprzyjemnie zaśmierdę. Czemu, idiotko, nie napiszesz: „Wybitny artysta otruty w hotelu. Zamach na życie Jeremiasza Wiśniarza”?

Nie zdążyłem mieć marszanda, wywlekli mnie na zbity pysk z całego tego towarzystwa. A właściwie wywaliłem się sam. Usunąłem się na własne życzenie. Wprawdzie nie wydrukowano wywiadu ze mną, w którym ujawniłem własne hochsztaplerstwo, za daleko zaszedłem ze swoją sławą w kraju w okresie transformacji – ale otoczyła mnie cisza. Jakby ten świat ogłuchł. Tak się poczułem, kiedy minęły, następując po sobie i się z sobą zlepiając, tydzień, miesiąc, kwartał bez śladu mojego nazwiska gdziekolwiek.

W nowo wybudowanym zajeździe w lesistej okolicy z urzędzeniami rekreacyjnymi wynająłem salę mogącą pomieścić dwieście osób, zwołałem konferencję prasową. Zawiadomiłem dziennikarzy i redaktorów ważnych gazet, tygodników i kolorowych miesięczników, znanych ludzi z radia, z rozlicznych telewizji – imiennie, znaleźliśmy się przecież jeszcze niedawno, wydawało mi się, że z większością wciąż jeszcze jestem na ty – zapowiadając intrygująco:

ZNAKOMITY ARTYSTA ROZDAJE SWOJE OBRAZY.

Byłem pewny, że w ten sposób przyciągnę tłumy – i to nie tylko dziennikarzy. Mniemałem, że to będzie świetny pretekst do ujawnienia całej nikczemności działań grupy ludzi zajmujących się upowszechnianiem kultury – na przykładzie własnym: oto niewiele brakowało, żebym ja – oszust – wszedł do historii sztuki. Właściwie już tam wstąpiłem – i to umożliwili mi wszyscy, z których głosem liczą się czynniki najwyższe, ale ponieważ jednak wciąż jestem artystą, a nie wandalem, sumienie dało o sobie znać. Moje płótna – oświadczę – to nie dzieła sztuki, lecz ozdoby warte nie więcej niż makatki kiedyś kupowane za grosze na jarmarkach. Proszę, oto samochód ciężarowy z tymi makatkami moimi, znanymi z ekskluzywnych albumów i z rozlicznych reprodukcji w prasie. Będzie stał, otwarty, na parkingu ośrodka, proszę państwa, proszę przebierać w dziełach Jeremiasza Wiśniarza!

Na konferencję przybył 1 (słownie: jeden) dziennikarz. Mieszkał tu niedaleko, zajął przed wyjazdem do redakcji.

Byłem sam w pustej sali. Ukłonił się, nawet nie pokiwał głową, i wyszedł. Nie wypadało mi go gonić. Wyjrzałem przez okno: uciekał do swego samochodu. Umykał? Więcej. Uchodził jak przed zarazą.

Odrodziłem się. Byłem o tym przekonany. Chodziłem dumny. Czas pokazał, że zupełnie niepotrzebnie. Sam sobie wytrąciłem krzesło spod dupy. Wyglądało to zabawnie i boli do dziś. Żyję z poczuciem godności – potrzebnym w mieście współczesnym jak dziura w moście. Nawet mój organizm, który zawsze, do tamtej pory, był przyzwyczajony do wygod, do tego stopnia się zbuntował, że odtąd nie znam dnia i godziny, kiedy mnie nagle potrzeba wyrwie

z grona spokojnych. Opinia frustrata idzie za mną jak straszny smród.

Frustrat to jeszcze nic. Opinia frustrata to następstwo. Wtedy, po tym niewypale z konferencją prasową, musiałem zapłacić właścicielowi ciężarówce dodatkowo za przechowywanie obrazów. Te moje prace przez tydzień wypełniały jego furgon; tam na miejscu, gdzie w zajeździe bawiłem jeszcze przez ten czas (przestawiałem się z brandy na czystą skandynawską, ale szybko się nią nudziłem; po spiry图斯ie pitym z gwinta (dwusetka rozłożona na pięć haustów do południa i druga taka wieczorem) nie odczuwałem przygnębienia, nie mierział mnie niewyszukany zapach, właściwie odór, czułem się czysty, wyżarty od środka, gotów na stos. Na parkingu stała ta ciężarówka z odsłoniętą platformą, opatrzoną planszą (czarne litery na tle dojrzałej w słońcu cytryny): WIŚNIARZ DO WZIECIA. Dzieła jednego z najwybitniejszych malarzy europejskich do wzięcia! Wiśniarz za darmo. I z drugiej strony samochodu: PRZEBIERAĆ I WYBIERAĆ. WIŚNIARZ ZA DARMO. Wiśniarz w twoim living roomie! Rozmiesz? Masz szczęście – MASZ WIŚNIARZA!

Może gdyby nie było tych plansz, ktoś by się cichcem połąkomił na mój obraz. Ukradłby go, przehandlował. A tak? Ludzie przechodzili obojętnie. Czar nazwiska, tak świetnie lansowanego przez trzy lata, prysł w dniu wygłupu. Wygłupu – bo tak wszyscy z branży, bez wyjątku, określili moją manifestację. Szajba bucowi odbiła z nadmiaru powodzenia, z przeżarcia.

Właściciel furgonu i zarazem jego kierowca, początkowo miły człowiek, wiedział, z czyimi obrazami ma do czynienia. Po tygodniu, kiedy zaczynałem się związać, podszedł do mnie (uśmiech, jasnobłękitne oczy w puciołowatej twarzy, kolor włosów nie wiadomo za bardzo, jaki, głowa albowiem wygolona) i wymienił kwotę, jaką powinienem mu gotówką i pod stołem uiścić za dodatkowy okres przechowywania obrazów – a miała to być równowartość półrocznej tzw. przeciętnej emerytury brutto. Zamarłem ze zgrozy i budził się we mnie zapomniany demokrat, a właściciel furgonu ciągnął dalej, spodziewając się pieniędzy za kwadrans, podczas wspólnego obiadu:

– A potem to gdzie, mistrzu, złożymy dzieła?

– Może pan nimi dowolnie dysponować – odparłem, jakże szlachetny.

– A na chuj mi ta tandeta, ta trocha szmat i listew?

Spojrzałem nań oczami poety lirycznego doby peerelu, znajdującego się w zenicie dwudniowego kaca.

– No, co tak patrzymy? – odezwał się wreszcie nie speszony transportowiec. – Dał pan w dupę, po co to panu było? Teraz miliony zamieniły się na niespecjalnie ekologiczny

opał na raz. Żeby w gołą dupcię było ciepło przez jedną noc. Dej pan to palaczowi z tego tu zajazdu. Na podpałkę. Tyle to tera warte. Bo też się pan nad tym nie napracował. Trzeba będzie tylko, żeby pan jeszcze opłacił tych, co wyniesą to z samochodu do kotłowni. Ale najpierw palacz. Palacz, panie, palacz. Z palaczem pogadać, czy się zgodzi.

Przeprosiłem go na chwilę (niech już zasiądzie do obiadu i zadysponuje, co tam chce, dla mnie może zamówić sztukę mięsa bez żadnych dodatków i śliwownicę paschalną, siedemdziesięcioprocentową, całą butelkę), a sam pobiegłem (czytaj: powlokłem się) do właściciela zajazdu. Znalazłem go – miłego, prężnego syna zmurszałego naukowca-estety, dogorywającego w Domu Artysty Seniora – w znakomitym nastroju. Trzeźwiutki, z młodą panną (niczym z szablą) u boku. Brakowało mu tylko słuckiego pasa.

– Imponujący pański pensjonat... – zacząłem.

– Mam jeszcze, ja i moja małżonka, obecnie na Majorce, dwa takie pensjonaty, jeden w Bibowie, ale pan pewnie wie, drugi w Cza...

– Właśnie! – przerwałem pewnie w niefortunnym momencie. – Wytworne apartamenty, funkcjonalne, no, ale brakuje akcentu w postaci dzieł sztuki.

– Kłopot – odparł.

– Słucham?

– Dzieła sztuki zbyt często padają ofiarą kradzieży, zdarzają się incydenty takie jak podkładanie przez gości kserograficznych odbitek do ram po skradzionym obrazie, co może długo pozostawać niezauważone przez personel i przeto najczęściej sprawca jest nie do wykrycia, wreszcie, nie oszukujmy się, dzieło sztuki coraz częściej bywa obiektem dewastacji, wydaje się nawet, że więcej, profanacji! Sperma, krew...

– Atrament... – wtrąciłem.

– Atrament? Skąd by gość mój miał przy sobie atrament?

– Co fakt, to fakt – próbowałem się uśmiechnąć. – Pan wie, że tu i teraz dysponuję częścią mojego twórczego dorobku...

– Gdyby nie pańskie wygłupy, performance-fajanse, znaczy te beznadziejne plansze (aż żal dupę ścisnąć), to ja bym od pana kupił te płótna, które są w ciężarówce. Niezła kolekcja, co! A tu... no, patrz pan, ten mały staruszek z gazety poinformował opinię publiczną – i poprzez agencje prasowe obiegło to całą Polskę – że pańskie bohomyzy nie mają żadnej wartości. Wstyd byłoby to w moim pensjonacie powiesić nawet w ustępie. Bierz pan ten śmieć i nie zwracajże mi głowy. „Mam ochotę na chwileczkę

zapomnienia” – zanucił, już nie interesując się mną. Objął młodą kobietę. Jej wzrok, błysk szabelki, znad jego ramienia, wskazał mi drzwi.

To już koniec.

Jeszcze nie koniec. Widziało się trochę filmów, moja wyobraźnia funkcjonowała coraz gorzej, ale pamięć jeszcze nie przestała mi dopisywać. Zastanawiałem się, który spośród dwóch wybitnych filmów był pierwszy: Mahler Kena Russella czy Ofiarowanie Andrieja Tarkowskiego. I w jednym, i w drugim filmie był wielki ogień. Płonęło coś, co mogło, ale nie musiało być ważne, ale co było akcentem artystycznym, sygnałem duchowym zarazem i widowiskiem. Częścią dzieła. Nie obchodziło mnie, czy ktoś widzi, co robię; wyciągnąłem upatrzony już wczoraj (wczoraj raczej zauważony, ot tak, jeszcze bez żadnych zamysłów) kanister z benzyną w nie domkniętym schowku pod schodami zajezdnej kuchni, przekonałem się, że będę w stanie dowlec go do ciężarówki (w połowie pusty, tym lżej, a i tyle, ile jest, wystarczy), warknął pies, który trochę pilnował posiadłości, dał spokój, bo nie zwróciłem na to uwagi, przy otwartych drzwiczkach w tyle samochodu wylałem benzynę, rzuciłem zapalniczkę. Buchnęło. Ogień okazał się – przynajmniej w tym momencie – bardziej chłodny w kolorze niż w filmach mistrzów: zaczęło się od jasnofioletowego pełzającego powiewu, a kiedy wewnątrz ciężarówki ogarnęła żółtość z wciskającymi się tonami oranżowymi, nie zwracając uwagi już na nic, co działo się na parkingu, otrzepawszy ręce zjawiłem się w pensjonatowej restauracji. Na mnie czekało nakrycie i nie napoczęta butelka śliwownicy, po właścicielu samochodu nie było natomiast śladu poza okruczem z tarty i dwoma niedopałkami w popielnicze.

– Ten pan nie mógł się na pana doczekać, zjadł obiad, bardzo sobie chwalił i wyszedł.

– Kiedy?

– Pięć minut temu, ledwo zdążyłam sprzątnąć ze stołu – marszczyła czoło zbyt chyba młoda kelnerka. A! I powiedział, że pan płaci za wszystko.

Zerwałem się z krzesła. – Pożar! – wrzasnąłem. – Dzwonić po straż! Nie mam komórki, dzwonić! Dzwonić!

Mgła odeszła od moich oczu, w uszach zaczęło dudnić, skapywał ze mnie pot jak z wieprzozka na ruszcie..

Szoferka, sprawdziłem wczoraj, była pusta. Teraz ta szoferka nie stała w ogniu, lecz musiała być solidnie rozgrzana.

– Szlauch! – wrzeszczałem. – Szlauch! (Zamiast poprawnie: szlauch). Zanim przybyła straż pożarna, próbowałem, trzymając szlauch na spólkę z szefem kuchni, ugasić to, co we wnętrzu. Obrazy nie nadawały się już do niczego. To dobrze – myślałem roztropnie, lecz byłem

czemuś pełen obaw. Jeden ze strażaków, widziany znowu przez mgłę, porozumiewał się z kimś przez komórkę z antenką. Z wizgiem nadjechała karetka pogotowia. Podeszli z noszami pod zgliszcza przyczepy, coś tam jak gdyby wytrząsali, nie mogąc określić, jak długo trwały te ich czynności, wreszcie wynieśli i złożyli, jak na marach, na poły zwęgloną postać ludzką. Czarne jak smoła, złane w jeden słup nogi, reszta jak kawał dębiny wyciągniętej po stuleciu z rzeki, dłonie bezkształtne, czerwone, pulchne, świeżo wygolona twarz, zaokrąglona łysa czaszka, hm, hm, o zdrowej skórze. Mój kierowca, właściciel ciężarówki, wszedł tam, jak się potem okazało, żeby się zdrzemnąć po obfitym obiedzie. W czeluściach przyczepy, przy ścianie przyległej do tyłu szoferki, żeby go tutaj nikt nie widział, że śpi, zrobił sobie postanienie, ułożywszy na podłodze sześć, siedem moich płócien formatu 2,20 × 1,60 cm. Ogień go dopadł, kiedy był w pierwszej fazie snu, podobno gwarantującej najlepszy odpoczynek.

Nikt mnie nie widział z kanistrem. Właściciel ciężarówki był skąpcem, zdziercą i człowiekiem bezwzględny. Groził, że raczej prędzej niż później zginę w wypadku – możliwe nawet, że we własnym domu – jeśli natychmiast nie wypłacę mu żądanej kwoty. Teraz leżał na tych narach. Obok, odziany w czerwienie, bezradny ratownik medyczny i lekarz, który telefonował. Domyślałem się, że o trupiarkę. Nosze nie przewidziane do umieszczenia na nich zwłok zostaną na pewno spisane na straty.

Byłem przesłuchiwany, podobnie jak cały personel i część gości zajazdu. Sprawa – a minęły od tego wydarzenia ponad trzy lata – nie została wyjaśniona. (Śledztwo wpiers się ciągnęło, potem nagle zostało umorzone). Znajomy adwokat tymczasem wziął sprawy w swoje ręce i tak to dwie sprawy zostały potraktowane oddzielnie, i ja otrzymałem godziwe odszkodowanie za bezpowrotnie utracone dzieła sztuki, ubezpieczone wysoko na początku mojej krótkiej, błyskotliwej, tragicznym akcentem zakończonej kariery. Nikt się nie czepiał moich tablic z wariackimi ogłoszeniami. Spłonęły, ślad po nich nie pozostał; właściciel zajazdu, zszokowany, sam mający masło na głowie, niepełnoletnią kochankę, podejrzliwą, bogatą, mściwą żonę, zadbał o to, żeby incydent na jego terenie zatuszować. Chciałem powiedzieć, że właściciel zajazdu nie pisał słowa o tej mojej akcji rozdawniczej, a śledczy, nawet jeśli wiedzieli o wygłupach artysty, uznali, że to nie należy do sprawy.

Mądra sowa: dużo widzi, mało mówi. Hu-hu! Nie zwariowałem.

Czy odetchnąłem? Tamten facet przebył prawie trzydzieści operacji, przez półtora roku (z przerwami do domu, żeby nie zwariować) przeleżał, a potem nadal leżał i siedział w szpitalach; on – podobnie jak ja obrazy – miał dobrze ubezpieczony samochód. Dokumenty – list przewozowy,

rachunek dla mnie, ślad, że miałem zapłacić (niczego takiego nie było, wspominałem to była transakcja lewa, między nami), wszystko to, zeznał, spłonęło. No, miał przy sobie, w portfelu; kto by ważne dokumenty i pieniądze potrzeby trzymał w szoferce? Przy sobie trzeba, przy sobie; niby, cholera, przy sobie najbezpieczniej, a jednak gdyby to było w szoferce, to by się nie spaliło – żalił się, fałszywiec, w sądzie, jeszcze w bandażach, cały w oparzelinach i ranach, z tym jednym, tak jak ja, kikutem (życie przeraża tragicomedie), na wózku, z nogami jak banie (miał krawca, który mu szył spodnie szerokie na osiemdziesiąt centymetrów przy mankiecie. Ale żył, jakoś sobie poradził, samotny dotychczas (był skąpy, nie chciał się dzielić), związał się z młodą, łagodną Mołdawianką (ojciec jej to zruszczony Polak), która zrzuciwszy habit przed przystąpieniem do nowicjatu w klasztorze, w dużym, lecz prowincjonalnym polskim mieście (tam gdzie miałem stosunek seksualny z rumieniącą się dziewczyną – prezentem od inteligentnego działacza kultury) i w klasztorze przywykła do opieki nad zaniedbanymi chłopcami, szybko znalazła pracę przy oddziałach rehabilitacji, studiowała zaocznie przedmioty swojej specjalizacji, z największym trudem w stolicy mogąc opłacać czynsz za pokój, mini-garsonierę z kibelem na półpiętrze, zetknęła się z poparzoną kierowcą, jak by to rzec, przystali do siebie, ona miała u niego mieszkanie, które doprowadziła do porządku, on miał czułą opiekunkę (wykonywała czynności wymagające siły i samozaparcia, a to: przewijanie obcego niedołążnego człowieka, zakładanie pampersów, wynoszenie kału, który nigdzie tak nie cuchnie, jak rozbabrany w mieszkaniu, gdzie się również gotuje i jada), a ja wiedziałem, że przyjdzie taki dzień, kiedy kierowca, zaleczony i rehabilitowany, rzuci się na mnie z mordą, żądając tych nieprzyzwoicie zawyżonych, wymarzonych przezeń i wyłapanych z powietrza kwot, które mają mu się ode mnie należeć. Lekceważyłem to. Obawiałem się jednak, że mógłbym go w tak przewidywanych okolicznościach zabić i że przyszłoby mi to łatwo. Co potem, Boże, z moim duchem?

Żona mnie opuściła. Mieszkała w moim, naszym byłym mieszkaniu, ale przestała zwracać na mnie uwagę. To znaczy, przyjmując wszystko, co jej i naszemu synowi rzekomo się należało ode mnie, robiła wrzask na dwa piętra, kiedy coś do niej mówiąc próbowałem ją objąć, jak jeszcze niedawno. Doszło do tego, że na próby ujęcia jej ręki moją ręką reagowała rozdygotaniem, stanem nerwowym, który zdawał się jej przechodzić po spacerze. Spacerowała, spotykała się z koleżankami, z przyjaciółką, umawiała się z tą swoją fascynującą starą kobietą, całymi tygodniami układała pasjansa, grała w szachy, miała w komputerze specjalny program dla zaawansowanych, nie zwracała uwagi na moją udrękę. Znalazłem się w sytuacji idioty. Pełen witalizmu, no, jak mogłem czuć się we własnym domu?

W takim. Domu. Syn dorastał, siedemnastoletni, powiedział, że nigdy mi nie daruje mojego debilnego ustąpienia pola jeszcze gorszym niż ja idiotom (i idiotkom). Dopiero niedawno przyszło mi na myśl, że go zawiodłem. A byłem do niedawna przekonany, że mój heroizm da mu przykład, wzmocni go moralnie; no, że doczekam chwili, kiedy... kiedy co? Kiedy mnie pomści? Przecież ja sam wpadłem we własne sidła.

Przecież to ja, który nic w życiu nie robiłem z powodu lenistwa, własnoręcznie odrzuciłem wspianą szansę zaistnienia! Nie jakiegoś tam błyskotliwego, na chwilę – ja byłem materiałem na pomnik. Cokół już stał. A we mnie coś wtedy trachło, tam, w drodze między Warszawą a zbudowanym na piaskach i wśród sosen zajazdem, gdzie jechałem, żeby oglądać tę salę do wynajęcia na konferencję prasową. Trachło – i, jak mi się teraz zdaje, zapomniałem, kim jestem. Wszedł we mnie, niczym dybuk, duch kolegi Gissytyła, znakomitego, a przy tym pracowitego malarza (kolegi z roku wyżej w ASP), który, z wyrobioną pozycją, z nie pourywanymi kontaktami, nie dość, że nie przestał wystawiać w stanie wojennym (bezwyznaniowiec, stronił od kościoła, a tylko tam wtedy wystawiali niezłomni), to jeszcze publikował teksty, w których, jak gdyby nic się nie stało, sam – będąc poza związkiem stworzonym przez ówczesne władze – recenzował wystawy z pracami malarzy, rzeźbiarzy i grafików zrzeszonych i pozornie aprobujących nienormalną rzeczywistość. Dla Gissytyła nie miało znaczenia nastawienie czy ustawienie tych artystów, skupiał się wyłącznie na ocenie pracy; no, na ile jest ona dziełem sztuki. Robił to wszystko z pozycji człowieka niezależnego. Tłumaczył mi wtedy – usiedliśmy w mordowni przy dworcu, tam gdzie nie zachodzili koledzy, którzy mogliby mnie z nim zobaczyć, co byłoby dla mnie wysoce niekorzystne – że przecież rzecz w tym, że nie istnieje zakaz wystawiania. Że wprawdzie słuszny nasz, złożony ze szlachetnych, związek jest zawieszony, ale otrzymujemy paczki z Zachodu z żywnością, z mydłem, proszkiem do prania, nikt ich nam nie odbiera, nikt nas nie wyrzuca z pracowni, trzeba więc pracować i w ten sposób starać się przetrwać. A kiedy się to wszystko skończy, otworzymy nasze pracownie, wejdziemy do sal wystawowych z dziełami, które tworzyliśmy mimo złego czasu, pokażemy, co znaczy polska sztuka! – A ci – zasępiłem się – co wystawiają teraz? – Ci – odrzekł – ci zapisali się do komisarycznego związku z rozmaitych powodów, najróżniej ideowych. Są na pół niedołążni, mają chorych ludzi na utrzymaniu, znam młodą wdowę z małym dzieckiem, kompletnie zdezorientowaną; oni muszą skądś pobierać te kartki na kawał mięsa, na cukier, na gorzałę (niekiedy odstępują, wymieniają się) i na papierosy. Zrozum tych ludzi, Jeremi, albo ich nie zrozum. Ale wysłuchałeś mnie i wiesz, jak jest. Ja – znasz mnie przecież – nic nie muszę

i nigdy nic nie musiałem. Kartki na żywność itd. dostaję z Akademii. – A tam? Jak oni cię...? – Jak znoszą? No, coś tam poszeptują – ale wiesz, jak to jest u nas, u plastików na etatach, z polityką, jacyśmy strachliwi, choć z pozoru hardzi, wiesz, oni podejrzewają, że ja mam plecy, przecież nie będę ich wyprowadzał z błędu – a poza tym, uwierz, nie ma powodu, żeby mnie wyrzucić, odebrać etat. Tytuł profesora uzyskałem, w życiu nie zrobiłem żadnego kantu, no, może niekiedy zdarza mi się namalować zestawienie jabłka, butelki i białego obrusa nie tak, jak prosi mnie o to wyobraźnia, i takie szalbierstwa, wynikające z potknięć artystycznych, prześladują mnie w snach – ale ani śladu plagiatu, ani błagi, ani brudnych rozgrywek słownych nie znajdziesz w moich pracach teoretycznych. W dodatku zamierzam je wydać.

– Nie róbże tego, broń Boże, teraz!

Zamówiłem od razu cztery piwa; akurat jeszcze było, a lada chwila mogło się skończyć.

– Dlaczego – zapytał – nie teraz?

– Bo jest stan wojenny.

– Zełżał – odparł. – Nawet nasi żyjący klasycy literatury pomalutku już wydają w oficjalnych oficynach...

– Książki teraz wychodzą, bo pisarze wcześniej podpisali umowy, rozumiesz, przed ogłoszeniem stanu wojennego, wzięli osiemdziesiąt procent honorarium i co, i teraz mieliby to oddać?

– Czemu nie? – Gissytł spojrział na mnie z iskrą rozbawienia. Trzeci kufel piwa zaczął na niego działać. – A ty, Jeremi, chyba nie chcesz mnie namówić, żebym pracę, napisaną wprawdzie zrozumiałym językiem, ale naukową, zaproponował któremuś z wydawnictw podziemnych?

Wspólnie wybuchliśmy śmiechem. Gissytłowi spadły okulary, tarzaliśmy się pod stolikiem w poszukiwaniu szkieł.

Umarł w 1990. Przeżyłby może ostracyzm, ale formę ordynarnych kalumnii ciężko by odchorował. Nieusprawiedliwionych, w imię, kurwa, sprawiedliwości. Nie przeżył tego, że go odgradzili. Był jak drzewo bogate w gałęzie i liście, drzewo, które potrzebuje więcej soków żywotnych niż inne drzewo – ale oni to wspaniałe drzewo obmurowali ze wszystkich stron, zamurowali wokół, a w promieniu kilometra nie zostawili ani kawałka trawy. Wszędzie beton, stary i nowy, a zamiast nieba – dach z plastiku, nie dopuszczający kropelki deszczu.

Na grobie Franka Gissytła posadziłem brzózkę. Rzadko chodzę na cmentarz. To bez sensu. Odwiedzać miejsce, gdzie przeniesiono ciało mojej matki, która żyła gdzie indziej i umierała gdzie indziej? Utrzymuję porządek, lipki

Gissytła już nie ochraniam. Rosła zdrowo i pięknie czerpała soki. Po trzech latach, kiedy już przewyższyła nagrobek, rzucając cień na sąsiednie pomniczki, ktoś ją wyrwał. Wyszarpnął. Musiał być silny i zły.

No tak. Jak nie zamurować, to wyrwać.

Fragment powstającej powieści "Pochwycisz, a nie zachowasz"

DANUTA PERIER-BERSKA

* * *

wczorajszy dzień
uwierał
jak kamyk w bucie
podeszwy maszerowały
tak jak im nakazywały nogi
poddane woli mózgu
masa ciała przeciwko
kamyczkowi
a wystarczyło zdjąć buty

Do ślubu

wreszcie!
szeptali znajomi
wznosząc toasty
a ona ubrana w koronkową nadzieję
z zaokrąglonym brzuchem
szła

ciągnąc za sobą welon

i jego czujność
była im świadkiem
kiedy pod suknią
maleńkie piąstki rozpychały
świat

wiedziała że warto
i uśmiechała się

* * *

tego wieczoru
mocno trzymał ją za rękę
myślał że jej odbicie w lustrze
przejdzie na drugą stronę
i zostanie sam
na środku pokoju
kłótnia zawsze boli lustro
w y k r z y w i a m u t w a r z
i długo każe czekać na uśmiech

Milionerzy

teraz
mamy wszystko
kiedyś
będzie po wszystkim
wtedy
jedno z nas zapłaci
nie znam banku
w którym kwota na koncie
przekraczałyby cenę życia
złota karta dla naiwnych
naliczą odsetki
zabiorą nadzieję
zabraknie na kwiaty

D. Perier-Berska, *W kolorze pomarań-
czy*, Wydawnictwo i Drukarnia Tercja,
Kraków 2015, s. 84

STANISŁAW DZIEDZIC



CHCĘ PIĘŚNI INNEJ... U GENEZY KRAKOWSKIEGO TEATRU

Założony w 1781 r. w Krakowie stały teatr zawodowy, z powodów gospodarczych i politycznych nie miał większych szans rozwoju. Inicjatorem jego powołania był Feliks Oraczewski, w latach 1786 – 89 rektor Uniwersytetu Krakowskiego, który podobnie jak kierownik zespołu, przybyły z Warszawy Mateusz Witkowski, w działalności zawodowego teatru w Krakowie, formalnie wciąż mieście stołecznym, widział ważny instrument kształtowania postaw i edukacji publicznej. Ponieważ wtedy, w 1781 r. nie było w mieście odpowiedniego lokalu, dla potrzeb teatralnych wykorzystywano dostępne pomieszczenia – kościoły, kamienice mieszczańskie, gospody, wreszcie zamek królewski na Wawelu. Wobec braku innych, lepszych możliwości, Oraczewski i Witkowski zainteresowali się dawnym teatrem Lubomirskich, zlokalizowanym w pałacu Spiskim, przy krakowskim Rynku. Tam właśnie, na drugim piętrze, w reprezentacyjnej sali balowej, wysokiej na dwie kondygnacje, wystawiano w latach 1725 – 1727 przedstawienia, ale dopiero od 1781 r. występował w niej stały zespół zawodowy. Widownia mieściła ok. 200 osób. W kilka lat później widownię przebudowano, na scenę wprowadzone zostały zapadnie i flugi do przesuwania dekoracji. Po modernizacji mógł teatr pomieścić dwukrotnie więcej widzów. W 1787 r. podczas kolejnej przebudowy, Jacek Kluczewski, przedsiębiorca, w niedalekiej już przyszłości dyrektor krakowskiego teatru, salę teatralną w pałacu Spiskim wzbogacił o trzy loże, rozlokowane na trzech kondygnacjach i dostosował scenę oraz widownię do różnych funkcji widowiskowych. Teatr funkcjonował tam do końca XVIII w., ale zarówno ta scena, jak i inne, wyraźnie skromniejsze, odbiegały od standardów, które stawiał Kluczewski wobec stałego teatru narodowego

„Być może już wówczas – stwierdza Kazimierz Nowacki – zamierzał stopniowo wprowadzać na scenę spektakle w języku polskim, zdobywać na niej miejsce dla narodowych przedstawień. Tak więc decyzja Kluczewskiego

o wybudowaniu gmachu dla obcego teatru rozstrzygnęła o dalszych losach nie austriackiej, lecz polskiej sceny w Krakowie”.¹

Realizując ten zamysł, a jednocześnie dążąc do minimalizacji kosztów tego przedsięwzięcia, zaadaptował Kluczewski na cele teatralne dwie swoje kamienice przy ul. Jagiellońskiej. Początkowo zobowiązany był do wystawienia sztuk teatralnych w języku niemieckim, ale w 1805 r. uzyskał on przywilej do urządzania widowisk także w języku polskim. Gmach teatru, stworzony najpewniej wg projektu Szczepana Humberta, był typowym przykładem klasycystycznych obiektów o tej funkcji.

Kluczewski zbudował swój teatr przy ul. Jagiellońskiej bardzo pośpiesznie, w 1798 r. i ten pośpiech, a także przyjęcie w realizacji tanich technologii, spowodowały, że już w kilka lat później pojawiły się liczne usterki, a w konsekwencji nawet pogłoski o konieczności zamknięcia teatru zagrożonego wręcz katastrofą budowlaną. Do zawieszenia działalności wprawdzie nie doszło, ale Kluczewski zobowiązany został do dokonania licznych napraw, od których władze uzależniły dalsze funkcjonowanie sceny.

Z chwilą włączenia Krakowa, w 1809 r. do Księstwa Warszawskiego, rola teatru krakowskiego jako instytucji o charakterze narodowym, niepomiaralnie wzrosła. Placówka ta, ponownie oficjalnie polska, wchodziła w nowy, wielce znaczący dla kultury narodowej okres, ale problemy pozostały, owszem: uległy nawet nasileniu. Już latem 1809 r. występował w Krakowie Teatr Narodowy z Warszawy, kierowany przez Wojciecha Bogusławskiego, zespoły austriackie pojawiały się na krakowskich deskach teatralnych sporadycznie, a dominował repertuar polski i tłumaczony na język polski. Jednak już w latach dwudziestych, a więc w czasach Wolnego Miasta Krakowa gmach był już na tyle zniszczony, a teatralna maszyna mocno zużyta psuła się bezustannie, więc liczone się z koniecznością zamknięcia

teatru w każdej chwili. Teatr przetrwał w takim stanie do 1830 r., czyli do wygaśnięcia kontraktu z Kluczewskim. Władze Rzeczypospolitej Krakowskiej nie odnowiły z nim kontraktu. Ale gmach teatru, jedyny natenczas w Krakowie, pozostawał własnością Jacka Kluczewskiego. Nowemu dyrektorowi, Janowi Mioszowskiemu, tak wygórował on warunki najmu, że dyrektor zmuszony był szukać innych pomieszczeń. Nową siedzibą krakowskiego teatru zawodowego miał być kościół św. Urszuli i przylegające do niego zabudowania klasztorne Bonifratrów, zlokalizowane na rogu ul. św. Marka i św. Jana. W przebudowanych gmachach funkcjonował ten teatr do 1842 r. Sala widowiskowa mieściła się w przystosowanym do tych celów wnętrzu dawnego kościoła. Parterowa widownia mieściła 160 miejsc (w tym tylko 60 foteli, a pozostałe były miejscami „na stojąco”), z dodatkowymi fotelami w łóżach. Na przeprowadzenie tych prac i podjęcie działalności otrzymał Mioszowski od władz krakowskich subwencję w wysokości 13 tys. zł i dziesięcioletni kontrakt. Po dziesięciu latach wszystkie pomieszczenia teatralne miały być wraz z wyposażeniem zwrócone właścicielowi, Maciejowi Knotzowi, który w drodze licytacji nabył poklasztorne gmachy jeszcze w 1813 r. I teraz prace remontowo – adaptacyjne prowadzone były w pośpiechu, skoro już 30 grudnia 1830 r. odbyło się otwarcie nowego teatru. Wnętrza teatralne podobały się, bo choć nie miały przepychu, utrzymane były w dobrym smaku. Mioszowski od jesieni 1830 r. powierzył kierownictwo artystyczne teatru Juliuszowi Pfeifferowi, który był dyrektorem do 1840 r. Kontynuował on poniekąd linię programową krakowskiej sceny. Zwiększona została ilość spektakli muzycznych, komedii oraz innych utworów, które rychło zaliczone zostały do klasyki dramaturgii. W teatralnym repertuarze znalazło się m.in. 10 komedii A. Fredry, „Skąpiec” Moliere, „Hamlet” Szekspira, dwie komedie Goldoniego, „Wesele Figara”, Beaumarchais’go, „Intryga i miłość” Schillera, dwie sztuki Wiktora Hugo, a także liczne opery.

W latach 1840 – 43 dyrekcję teatru objął Tomasz Chełchowski, który zdołał stworzyć w krakowskim teatrze znakomity zespół aktorski z Józefem Rychterem, Teresą Parczewską i Janem Królikowskim na czele, inicjującymi formułę gry aktorskiej opartej na tzw. realizmie romantycznym. W repertuarze tego okresu dominowały spektakle osnute na literaturze romantycznej, polskiej i powszechnej (W. Hugo, E. Scribe, F. Schiller, A. Fredro).

Tomasz Chełchowski, obejmując dyrekcję krakowskiego teatru, otrzymał obietnicę przeniesienia tej palcówki do dawnej siedziby, przy ul. Jagiellońskiej i placu Szczepańskim. Już wcześniej kolejne komisje z tzw. przymrużeniem oka patrzyły na liczne uchybienia i usterki gmachu teatru przy ul. św. Jana, wciąż jedyne w mieście teatru zawodowego. Sytuacja uległa zmianie w 1840 r., kiedy zarządzający dawną siedzibą przy ul. Jagiellońskiej, w imieniu

zniedołężniałego Jacka Kluczewskiego, przyszli spadkobiercy jego fortuny, wyrazili gotowość sprzedania Miastu gmachu starego teatru. Kluczewski zmarł w 1841 r. Zanim do tego doszło, w siedzibie teatru przy ul. św. Jana w 1837 r., w dawnym refektarzu klasztornym Bonifratrów otwarto drugą scenę. W tym właśnie pomieszczeniu, w którym dotąd mieścił się bufet, a po przebudowie dokonanej z inicjatywy dyrektora Juliusza Pfeiffera przez Stanisława Wrzesińskiego, stworzona została niewielka scena i widownia wraz z galerią, łącznie dla 150 widzów. Pomieszczenia te służyły krakowskiemu teatrowi do czasu otwarcia sceny przy ul. Jagiellońskiej.

Od 1843 r. teatr funkcjonował ponownie w gmachu narożnym przy ul. Jagiellońskiej i pl. Szczepańskim, zakupiony przez Senat od spadkobierców Jacka Kluczewskiego. Obiekt został w latach 1841 – 42 gruntownie przebudowany wg projektu Karola Kremera i Tomasza Majewskiego. Inspektorem z ramienia władz Wolnego Miasta Krakowa, nadzorującym i koordynującym modernizację i dostosowanie obiektu do nowych wymogów teatralnych, był Wiktor Kopff.

Karol Kremer i Tomasz Majewski, obejmując dzieło modernizacji gmachu dawnego teatru i dostosowania go do współczesnych potrzeb scenicznych, zarówno względem ilości miejsc, bezpieczeństwa i wygody widzów, jak i nowych technologii, wreszcie zastosowania nowoczesnej „maszinerii teatralnej”, byli ludźmi młodymi i obiecującymi zawodowo. Karol Kremer (1812 – 1860), znany już i ceniony w Krakowie architekt, zasłużony zwłaszcza w dziele odnawiania obiektów zabytkowych i nadawania im nowych funkcji, pełnił od 1841 r. funkcję dyrektora Urzędu Budownictwa Rzeczypospolitej Krakowskiej. Podejmując się przebudowy dawnego teatru, miał Kremer już znaczące dokonania, niekiedy kontrowersyjne – m.in. odnowienie kościoła Mariackiego, Bramy Floriańskiej, Barbakanu, przebudowę Collegium Maius, które miało być siedzibą Biblioteki Jagiellońskiej.

Tomasza Majewskiego (1810 – 1856) zaprosił Kremer do współpracy jako dobrze zapowiadającego się architekta. Jak się wydaje, główne założenia i ogólna koncepcja oraz forma budynku, były dziełem Karola Kremera, rysunki plansz i szczegółowe detale, wreszcie kierownictwo budowy spoczywało głównie na Majewskim.

Kremer i Majewski nie mieli szerszych możliwości rozbudowy gmachu, władze Miasta wydały wyraźne dyspozycje i warunki, dotyczące przebudowy i nieznacznej jego rozbudowy, zasadniczo bez naruszenia murów nośnych. W celu powiększenia sceny i zaplecza scenicznego dokupiono sąsiednią kamienicę.

Opracowane przez Kremera i Majewskiego projekty modernizacji i częściowej rozbudowy gmachu teatru

zostały przedstawione, a następnie zatwierdzone w Urzędzie Budownictwa 9 września 1841 r., a w końcu przez Senat Rządzący Rzeczypospolitej Krakowskiej. Do prac przystąpiono bezzwłocznie, ale ze względu na porę roku i trwające mrozy, w pierwszej kolejności przeprowadzono wewnętrzne prace rozbiórkowe, wzniesiono nowe ściany, a następnie przebudowano dach w celu podniesienia widowni i sceny. W następnej kolejności zbudowane zostały balkony i loże. Podczas zewnętrznych prac murarskich i konstrukcyjnych, wiosną 1842 r., stwierdzono, że ściany frontowe, od północy i wschodu, a zatem fasadowe, zaczęły się groźnie rysować, grożąc katastrofą. Dały o sobie znać partackie roboty Kluczewskiego, brak badań fundamentów oraz osłabienie ścian spowodowane wewnętrznymi zaburzeniami i nadbudową dachu. Udało się bez naruszenia statyki, z zachowaniem struktury wewnętrznej, zbudować nowe elewacje, ale koszty całej tej przebudowy i modernizacji wzrósł z planowanych 60 tys. złp do 300 tys. złp. A za tę kwotę można było zbudować nowy gmach od podstaw.

W przypadku sali widowiskowej Kremer i Majewski mogli się wykazać znaczną inwencją. Z zachowanych projektów wystroju widowni wnosić wolno, że była ona ciekawa i efektowna, jak w przypadku większości ówczesnych realizacji w tym względzie, utrzymana w duchu eklektyzmu. Na parapetach łóż I pietra umieszczono - zgodnie z przyjętym narodowym charakterem tej sceny - portrety niezwykłych wybitnych polskich dramaturgów, zarówno z czasów staropolskich, jak i z okresu zaborów, z wszystkich ziem dawnej Rzeczypospolitej.

Zmodernizowana widownia mieściła ponad 800 osób, a przy zagęszczeniu miejsc stojących - 900, podnoszono też zgodnie dobrą akustykę jej wnętrza. Znaczne powiększenie sceny, dotychczas małej i płytkiej, nie tylko stwarzało możliwości wystawiania wieloobsadowych spektakli, budowania efektownych scenografii, ale także wprowadzenia koniecznych urządzeń technicznych, wyciągów czy sznurowni. Przy ciasnocie zaplecza, braku miejsca na dekoracje, nie funkcjonalnych małych garderobach, nie zabrakło miejsca na pomieszczenia restauracyjne, salę białą, cukiernię, salę bufetową i, oczywiście, salę readową. Powiadano nawet, że Senatowi Wolnego Miasta bardziej mogło zależeć na nich niż na samym teatrze. Cieszyły się naówczas zabawy readowe ogromną popularnością i przynosiły organizatorom pokaźne wcale dochody. Zainteresowanie nimi przewyższało dochody z przedstawień teatralnych, które miasto musiało subwencjonować. Ale rangi teatru, jego kulturotwórczej i patriotycznej roli władze nie kwestionowały. Jednak powszechnie odczuwana bieda i trudności ekonomiczne miniaturowej Rzeczypospolitej Krakowskiej podpowiadały potrzebę skutecznego zdobywania środków. Zważywszy, że każdorazowo można było podczas zabaw readowych przyjąć nawet 600 osób, w niektórych

okresach, zwłaszcza podczas karnawału urządzano nawet po trzy - cztery readowy tygodniowo, więc i dochody mogły być wcale kuszące.

Miejski teatr, subwencjonowany przez Senat Rządzący Wolnego Miasta, funkcjonował w siedzibie należącej do Miasta. Zdobywane przez teatr środki, pochodzące m.in. z organizowanych zabaw readowych i innych form działalności pozateatralnej, i teraz służyły dobrze pomniejszeniu deficytu teatru oraz zmniejszeniu ryzyka strat, co w jakiejś mierze należało do powinności władz.

Pomieszczenia readowe ukończone zostały w terminie późniejszym niż teatralne, bo dopiero w 1855 r. W sali widowiskowej wprowadzono ogrzewanie, co pozwoliło na wystawianie spektakli także w okresie zimy, bez konieczności korzystania ze stosownego zimowego odzienia. Wcześniej sale widowiskowe teatru zawodowego w Krakowie nie były ogrzewane.

Opinie o przebudowie „starego” teatru, jak zaczęto powszechnie nazywać dawny gmach teatralny Jacka Kluczewskiego, były zróżnicowane, ale dominowały pozytywne. Józef Mączyński pisał:

„... teatr krakowski nie odznacza się wprawdzie, ani rzędami kolumn doryckich lub jońskich, ani innymi śmiałymi występami mass architektonicznych, wyrachowanymi na efekt i dziwiącymi oko, lecz mimo skromności i pojedynności swojej, przedstawia się mile, a nawet dosyć ozdobnie. (...)

Sala readowa w tym nowym gmachu teatralnym jest najpiękniejszą i największą salą jaką Kraków posiada. Przechodzi ona przez dwa piętra budynku, ma obszerną przedsalę i trzy pokoje uboczne oddzielone od Sali kolumnami korynckimi...”²²

Senat Zarządzający, przekazując miejski budynek teatru zarządcy i udzielając instytucji stałej subwencji, zastrzegł sobie prawo kontroli wydatków i wpływów oraz oceny dokonań artystycznych. W latach 1843 - 45 teatrem kierował Hilary Meciszewski, który sformułował program artystyczny tej instytucji, jako teatru narodowego. Realizując ideę teatru narodowego, zadbał o to, by w repertuarze znalazły się liczne spektakle oparte na literaturze polskiej (Józef Korzeniowski, Aleksander Fredro, Wojciech Bogusławski, Alojzy Feliński, Julian Ursyn Niemcewicz i In.), ale - wbrew pierwotnym założeniom dominowała dramaturgia obca, teksty klasyków (m.in. Wiliam Szekspir, Pierre Corneille, Moliere, Carlo Goldoni, Friedrich Schiller, Victor Hugo, Alexandre Dumas ojciec). Aż trzecią część premier krakowskiego teatru stanowiły prapremiery. Jako jedyny na ziemiach polskich dążył do realizacji założeń teatru romantycznego.

Za dyrekcji Józefa Mączyńskiego (1845 – 52) teatr utracił swoją ważną pozycję narodowej instytucji, na co złożyły się nieudolne rządy dyrektora, nade wszystko zaś inkorporacja Rzeczypospolitej Krakowskiej do Austrii w 1846 r., a w konsekwencji, aż do 1867 r., do czasów nadania tzw. Galicji i Lodomerii oraz Wielkiemu Księstwu Krakowskiemu znacznej autonomii, wściekła germanizacja życia publicznego w Krakowie. Nie ominęła ona szkolnictwa, urzędów, uniwersytetu, wreszcie teatru krakowskiego.

Zanim jednak do tego doszło, po stłumieniu Wiosny Ludów, krakowski teatr zdołał przygotować dwie, nader ważne prapremiery: fragment „III części Dziadów” Adama Mickiewicza (1848) i „Mazepę” – pierwszą polską realizację dramatu Juliusza Słowackiego (1851). Najpierw władze austriackie narzuciły obowiązek prezentowania niemieckich oper obok dramatów w języku polskim, uzależniając od tego subwencjonowanie teatru. Kierowany naówczas przez Tomasza Chełchowskiego teatr, wobec masowego bojkotowania niemieckich oper i spadku popularności krakowskiego teatru, systematycznie ograniczanego w swoich narodowych funkcjach, zaczął tracić na popularności i podupadać, a w konsekwencji ponosił duże straty. Chełchowskiemu odebrano kierownictwo teatru, a w 1853 r. stworzono stały teatr austriacki. Wobec narodów podbitych, zamieszkujących monarchię Habsburgów wprowadzono intensywny plan germanizacji. W sezonie 1853 / 54 nie wystawiano już żadnych polskich przedstawień. Mimo wysiłków austriackich dyrektorów i stworzenia wcale dobrego zespołu aktorskiego oraz organizowania w Krakowie występów artystów o światowej sławie, wskutek niskiej frekwencji i wręcz bojkotowania teatru austriackiego przez krakowską publiczność, nie osiągnęli oni spodziewanych rezultatów. Pomimo podejmowanych, zwłaszcza przez dyrektora F. Bluma (1856 – 60) prób zjednania krakowskiej publiczności, przez wprowadzanie atrakcyjnego obcego repertuaru, a nawiązania kontaktów artystycznych z J. Pfeifferem i jego polskim zespołem (szykanowanym przez władze zaborcze), teatr podupadł, aż w 1860 r. cofnięto mu subwencję, wskutek czego w kilka lat później zaprzestał działalności.

Prawdziwy przełom nastąpił po 1865 r., kiedy mecenat nad krakowskim teatrem objęło środowisko artystyczno-ziemiańskie. Uznawało ono teatr za ważną instytucję kulturotwórczą, zdolną do kreowania i pielęgnowania wielkich tradycji oraz wartości narodowej kultury, które w czasach represji po stłumieniu powstania styczniowego były zasadniczym czynnikiem przetrwania i nadziei Polaków. Czas wielkiej misji krakowskiego teatru nadchodził wraz z porażkami wojennymi Austrii, kryzysami targającymi rozległe cesarstwo, a w konsekwencji – tzw. autonomią galicyjską.

Dzięki pomocy środowisk ziemiańskich i arystokratycznych udało się w 1865 r., Adamowi Franciszkowi

Skorupce uzyskać koncesję na objęcie teatru krakowskiego, który prowadził do 1872 r. (w ostatnich dwóch obowiązków te w jego imieniu sprawował Stanisław Koźmian), wspomagany przez kierowników artystycznych. Udało mu się wyprowadzić teatr z finansowej zapaści, przeprowadzić remont sali widowiskowej (1865), a następnie całego budynku (1869). Nazwano go odnowicielem krakowskiej sceny, przede wszystkim w uznaniu dokonań znakomitego zespołu aktorskiego, który udało mu się skompletować oraz poziomu artystycznego i repertuaru, który konsekwentnie i z niemałymi sukcesami wprowadzał na scenę. Na deskach krakowskiej sceny występowali wówczas m.in. Antonina Hoffmann, Helena Modrzejewska, Bronisława Wolska, Wincenty Rapacki. W 1867 r. uzyskała Skorupka stałą subwencję dla teatru. Wartościowy repertuar, w którym znaczące miejsce zajmowała dramaturgiczna klasyka oraz dzieła współczesnych dramaturgów polskich (Michał Bałucki, Józef Korzeniowski, Józef Szujski, Józef Narzymiski) oraz obcych, uzasadniały teraz pretendowanie krakowskiego teatru do rangi najlepszej polskiej sceny. Sceny Narodowej. Właśnie w czasach dyrekcji Skorupki stworzony został styl gry aktorskiej, zwany szkołą krakowską, a jego szersze, wyraziste upowszechnienie nastąpiło już za jego następcy, Stanisława Koźmiana. Zasadniczym jego założeniem było unikanie deklamacji na scenie, patosu i egzaltacji, preferując prawdę psychologiczną, naturalność i umiar interpretacyjny. Aktorzy kreowali nie tyle role, co postacie. Dokonania krakowskiej szkoły aktorskiej wraz z przedkładaniem roli słowa nad obraz upowszechniły się także poza Krakowem i tzw. Galicją. Szczególną rolę spełniał krakowski teatr w czasie, gdy w okresie nadawania autonomii i repolonizacji życia publicznego, w tym szkolnictwa i placówek kultury, kierownictwo artystyczne teatru pełnił Stanisław Koźmian (1866 – 68), a w latach 1871 – 1885 jego dyrektor (1878 – 81 – wraz z Grzegorzem Rychterem współdyrektor). Koźmian był człowiekiem wielkich talentów i szerokich zainteresowań, nade wszystko znanym politykiem i czołowym ideologiem galicyjskich konserwatystów. Teatrowi krakowskiemu poświęcił szczególnie dużo swojej publicznej aktywności. Łączył szeroką działalność polityczną z aktywnością publicystyczną, a w dziedzinie teatru – z krytyką teatralną i reżyserią.

Koźmian konsekwentnie realizował linię repertuarową opartą na czołowych dziełach dramaturgii narodowej, a także na inscenizacjach klasyki europejskiej. Z klasyki polskiej prezentowano pojedyncze utwory Jana Kochanowskiego, Franciszka Zabłockiego, Ignacego Krasickiego, Alojzego Felińskiego, a po kilka utworów Wojciecha Bogusławskiego, Józefa Korzeniowskiego, Jana Nepomucena Kamińskiego. Ale najważniejsza rola narodowej sceny, przypadła krakowskiemu teatrowi, gdy konsekwentnie wprowadzano tu do repertuaru, z różnym, bo nierównym zainteresowaniem widzów, polską klasykę romantyczną. Już wcześniej

wystawiano komedie A. Fredry, ale teraz sięgnięto na szeroką skalę po utwory Słowackiego, Mickiewicza i innych, w tym także postromantycznych twórców. W 1872 r. odbyła się prapremiera „Konfederatów barskich” Mickiewicza, a szczególną rangę i znaczenie w kreowaniu wizerunku sceny narodowej miało wystawienie w latach 1866 – 1879 dziewięciu dramatów Słowackiego. Tu miały miejsce prapremiery dramatów: „Mindowe”, „Księcia niezłomnego” i „Horsztyńskiego” oraz premiery krakowskie „Balladyny”, „Beatrix Cenci” i „Fantazego”. W żadnym teatrze na ziemiach polskich, nie mówiąc już o scenach zagranicznych nie wystawiono tak licznych dramatów Słowackiego. Krakowski teatr jak żaden inny otwarty był na inscenizację dzieł polskich dramaturgów współczesnych. Tylko w latach 70. XIX w. zorganizowano tam 8 konkursów dramaturgicznych, których zwycięzcami byli m.in. J. Narzyski („Epidemia”, „Pozytywni”) i J. Bliziński („Pan Damazy”), a na które nadesłano kilkaset dramatów, ocenianych przez specjalną komisję. Miały te konkursy znaczącą rolę w promowaniu polskich dramaturgów i ich dzieł. W odniesieniu do polskiego repertuaru współczesnego, obok całej twórczości J. Bałuckiego i J. Narzyskiego, cieszących się w krakowskim teatrze ogromną popularnością, wystawiono K. Zalewskiego, E. Lubawskiego, K. Przerwę- Tetmajera, J. Szujskiego, a z wcześniejszych – J.I. Kraszewskiego i niezmiennie A. Fredrę. W repertuarze krakowskiej sceny znalazły się liczne spektakle o tematyce ludowej i patriotycznej, poświęcone roli polskiej wsi w życiu narodu oraz tradycjom powstańczym, osnute na utworach Władysława Ludwika Anczyca oraz jego naśladowców.

Inscenizacje klasyki europejskiej, obok celów oczywistych miały teraz, zwłaszcza w odniesieniu do dramaturgii W. Szekspira, zasadniczą rolę i walor. Krakowski teatr rozpoczął i konsekwentnie wdrażał nowoczesną fazę jego recepcji w teatrze polskim. Wystawiono 19 dramatów Szekspira, wszystkie przełożone z języka oryginalnego. Było wśród nich aż 13 polskich prapremier, w tym liczne dramaty, głównie komedie, którymi teatr światowy nie był dotąd zainteresowany, albo w minimalnym zakresie. Obok Szekspira ważne miejsce zajmowały dramaty F. Schillera, J. W. Goethego, Moliere’a, A. de Musseta, J. Racine’a, a wśród dramaturgów współczesnych dominowali Francuzi i Niemcy. Dla podreperowania finansów S. Koźmian wystawiał operetki, ciesząc się dużym zainteresowaniem publiczności.

Wypełniał krakowski teatr wobec innych scen na ziemiach polskich, nie tylko galicyjskich, ważną rolę, kształcąc aktorów, szlifując talenty. Odchodzenie artystów do innych teatrów, zwłaszcza warszawskich, traktowano jako naturalną rzecz, choć czasem stwarzało to sytuacje dotkliwe dla utrzymania poziomu krakowskiej sceny. Za czasów Koźmiana scena ta przechodziła chwile wielkich sukcesów, ale i regresów, jednak jej rola w dziejach polskiego

teatru jest trudna do przecenienia. Dyrektor Koźmian w niszczącym, coraz dotkliwiej nefunkcjonalnym gmachu przy ul. Jagiellońskiej dokonał kolejnych przeróbek, modernizując widownię, zaplecze, ale te zabiegi nie mogły sprostać coraz mniej liberalnym wymogom technicznym. Ponaglały w tym względzie alarmistyczne wieści z różnych stron Europy o tragicznych pożarach w teatrach, o skutkach zaniedbań w zakresie bezpieczeństwa widzów i artystów. W kilka miesięcy po głośnym pożarze w wiedeńskim Ringtheater, w marcu 1882 r. specjalna komisja dokonała przeglądu teatralnych pomieszczeń, głównie pod względem wymogów technicznych, budowlanych i ogniowych. Komisja rozważała możliwość i zasadność wstawienia kurtyny przeciwpożarowej, ale – jak się okazało – było to niemożliwe do wykonania, nakazano zatem wybudowanie poza teatrem składu na dekoracje, zalecono przeniesienie do innego obiektu teatralnej malarni. Za największe zagrożenie uznano niewłaściwy układ i przepustowość schodów łączących drugie i trzecie piętro z pierwszym piętrem i partnerem oraz brak schodów ewakuacyjnych na wypadek katastrofy budowlanej czy pożaru. W tej sytuacji zalecono do bezwzględnej realizacji, zbudowanie odrębnej klatki schodowej na zewnątrz gmachu, od strony placu Szczepańskiego, dzięki której osoby znajdujące się na górnych kondygnacjach mogłyby tym właśnie wyjściem opuszczać teatr. Były i inne pomniejsze zalecenia, łatwiejsze do wykonania. Idea budowy nowego gmachu stawała się w tej sytuacji tylko kwestią czasu. Sama komisja na końcu swojego raportu z oględzin, stwierdziła:

„Jak długo teatr krakowski po rekonstruowaniu utrzymać będzie można, tego komisja jak już z natury rzeczy wynika nie może przez liczbę dni lub dat wyrazić.”³

Nowe schody, dobudowane od strony pl. Szczepańskiego, wykonane z drewna, wg projektu młodego architekta, Tadeusza Stryjeńskiego, natenczas rozpoczynającego swoją karierę zawodową, były szpetne, nie licujące z architekturą gmachu. Ale ich zbudowanie warunkowało wznowienie działalności teatru. W okresie przejściowego zamknięcia gmachu odnowione zostało jego wnętrze. Pracami kierował architekt i budowniczy krakowski, z czasem wiceprezydent Krakowa Józef Sare, który dostrzegł doraźność tych prac, był bowiem przeświadczony, że wzniesienie nowego gmachu jest pilną potrzebą, choć był też świadom, że kosztowną, ale pozadyskusyjną koniecznością.

Gdy jednak w 1872 r. znany krakowski fotograf, Walery Rzewuski, oświadczył na posiedzeniu Rady Miejskiej, iż Krakowowi potrzebny jest pilnie nowy teatr - a potem podjął batalię o realizację swego zamysłu - niewielu znalazł zwolenników, gotowych na udzielenie mu poparcia. „Stary” teatr, mimo wspomnianej już, a dokonanej za czasów Rzeczypospolitej Krakowskiej przebudowy, nie spełniał pod żadnym względem wymogów reprezentacyjnej

sceny. Nieporównywalnie lepsze warunki pracy miały teatry warszawskie, lwowskie, a nawet lubelski. Sytuacja ta – jak podkreślano – była tym dotkliwsza, że dotyczyła miasta o znaczącej randze kulturalnej, tradycjach teatralnych i możliwościach artystycznych. Szczególnej wagi był wreszcie fakt, że w warunkach świeżo uzyskanej autonomii galicyjskiej mógł Kraków, podobnie jak Lwów, odegrać trudną do przecenienia rolę kulturotwórczą, zwłaszcza w odniesieniu do dramaturgii narodowej.

Apel radnego Walerego Rzewuskiego o bezzwłoczne podjęcie przez władze miasta starań w celu uzyskania odpowiednich kredytów na budowę nowej siedziby teatru krakowskiego poparło kilkunastu radnych. W wyniku dyskusji na posiedzeniu Rady Miasta powzięto uchwałę, w której zawarte zostały kierunki działania o charakterze wręcz strategicznym:

„Upoważnia się komisję uporządkowania miasta Krakowa do traktowania z wysokim rządem, by tenże raczył się przychylić do powstania wspólnym kosztem z gminą m. Krakowa budynku teatralnego, 2-re Komisja ta po przeprowadzeniu rokowań z wysokim rządem z sekcjami: ekonomiczną, skarbową i prawniczą, odpowiednie wnioski Radzie przedstawi do zatwierdzenia”⁴

Zabiegi Walerego Rzewuskiego wspierał usilnie inny radny miejski, znany dramaturg i właściciel oficyny wydawniczej, Władysław Anczyca. Efektem ich wspólnych działań było powołanie podkomisji, której zadaniem było przygotowanie podstaw do starań o rozpoczęcie budowy teatru. Podkomisja rychło stanęła wobec zasadniczego kłopotu, którym był brak funduszy. W mieście bodaj każda inwestycja rozbijała się o brak kredytów. Już w 1876 roku władze miasta zaciągnęły bardzo wysoką pożyczkę (1,5 mln. reńskich) na rozbudowę Krakowa, ale nie przewidziano wówczas budowy nowego gmachu teatru. Obawiano się zatem zaciągania dalszych pożyczek, skoro poprzednie nie zostały spłacone. Członkowie podkomisji upoważnili jednak Walerego Rzewuskiego do wyjazdu do kilku miast europejskich – austriackich i niemieckich, w których dokonałby on wstępnego wyboru najdogodniejszej dla Krakowa inwestycji teatralnej, której projekt architektoniczny mógłby zostać wykorzystany pod Wawelem.

Na posiedzeniu Rady Miasta, 4 października 1877 r. w ostrych słowach zarzucił Rzewuski władzom miejskim niewywiązywanie się z podjętych wcześniej uchwał. Doszło wówczas do słynnej dyskusji na temat pierwszeństwa budowy teatru czy wodociągów w Krakowie. Władze miejskie uznawały, że budowa wodociągów jest pilniejsza. Tymczasem Kraków potrzebował pilnie zarówno wodociągów, jak i teatru, które należałoby realizować równocześnie. Zdaniem części radnych dogodniej byłoby zrezygnować z którejś z tych inwestycji. Większość radnych uważała, że

do czasu zaprowadzenia wodociągów należy odłożyć termin budowy teatru.

Rzewuski był odmiennego zdania, dowodził, że w wielu miastach europejskich – m.in. w Paryżu, Wiedniu, Rzymie, Petersburgu czy Warszawie najpierw budowano teatry, a dopiero w następnej kolejności zbudowano wodociągi i kanalizacje. Dowodził też, że koszty budowy teatru, którą uważał za priorytetową, mogą być wydatnie obniżone ze względu na nadarzającą się możliwość okazynego zakupu sprzętu i dekoracji z przewidywanego do rozbiórki wiedeńskiego Burgtheater. Wskazywał na niebezpieczeństwo wynikające z dalszej eksploatacji starego gmachu teatralnego przy ul. Szczepańskiej. Argumentował, że tylko w latach 1872 – 77 „na skutek podobnych zaniedbań spłonęły 83 teatry, z których w samym tylko roku 1877 aż siedemnaście spaliło się doszczętnie. Każdorazowo podnosił także względy patriotycznych powinności Krakowa, cieszącego się znacznymi swobodami narodowymi, wobec społeczeństwa polskiego, także spoza zaboru austriackiego.

Wspierany przez Anczyca, gorącego rzecznika stworzenia w Krakowie nowoczesnej narodowej sceny, złożył Rzewuski jesienią 1877 r. w Radzie Miasta wniosek wydzielenia z zaciągniętej przez miasto półtoramilionowej pożyczki na budowę wodociągu, kwoty 200 tys. złotych reńskich, z przeznaczeniem na budowę teatru. Proponował przy tym, aby gmach teatru, obok sceny i widowni wyposażony był, m.in. w sale readowe, usytuowany został na placu Świętego Ducha, w miejscu starych, zniszczonych zębem czasu gmachów szpitalnych Duchaków. Postulował także urządzenie na wolnym powietrzu teatru letniego, usytuowanego na Plantach, obok gmachu teatru.

Ponieważ te argumentacje zyskały poklask znacznej części radnych, Rada Miasta zdecydowała się przekazać stosowne w tym względzie dyspozycje Komisji Uporządkowania Miasta. Komisja ta, po zbadaniu stanu technicznego teatru przy ul. Jagiellońskiej, uznała iż jest on na tyle katastrofalny, że dalsza jego eksploatacja, zagrażająca życiu pracowników i publiczności, jest niemożliwa. Rzewuski, nie wyrzekając się idei budowy, czekał na moment, kiedy z rządowej pożyczki zabraknie środków na realizację kosztowniejszych inwestycji. Wprawdzie stan techniczny teatru przy pl. Szczepańskim stale się pogarszał, ale kwestia wyboru pomiędzy budową wodociągów bądź teatru nie mogła przysparzać nadziei zwolennikom tego drugiego przedsięwzięcia. Przewidział jednak sytuację, w której środki na budowę wodociągów będą nazbyt szczupłe, ale wystarczą na nowy teatr. Takie podstawy wynikały z zestawienia kosztów zbudowanych ostatnio teatrów we Wrocławiu, Poznaniu czy Dreźnie. Przekonywał, iż nie sposób myśleć o nowoczesnym mieście bez nowoczesnej sceny, dostosowanej do potrzeb sztuki teatralnej. Potwierdzały to liczne tego typu inwestycje we Francji, Anglii czy w Austro-Węgrzech

Podjęta we wrześniu 1881 r. uchwała Rady Miejskiej, już za prezydentury Ferdynanda Weigla, nadała wreszcie temu przedsięwzięciu realniejszych kształtów, choć sporów nie zakończyła.

Zespół teatralny już w styczniu 1882 r. przeniósł się tymczasowo do adaptowanego budynku w Ogrodzie Jabłonowskich. Występowano tam do czasu dobudowania w starym gmachu teatru, od stron Placu Szczepańskiego, dodatkowych wyjść.

„Pożar Ringtheatru – stwierdza Kazimierz Nowacki – przyczynił się do rozwoju budownictwa teatralnego, zresztą nie tylko w Austrii. Władze wiedeńskie pierwsze wprowadziły szereg zarządzeń w zakresie bezpieczeństwa teatrów, rozpięły także konkursy mające na celu znalezienie materiałów ognioodpornych, a potem zastosowania ich w budownictwie widowiskowym. Reperkusją tego wydarzenia było po prostu przyspieszenie realizacji budowy nowego teatru w Krakowie. (...) Jeśli z jednej strony dyskutowano już bardziej konkretnie o lokalizacji teatru, to z drugiej nadal szukano funduszy na budowę. Miasto nawet zwróciło się z apelem do społeczeństwa o pomoc i datki”.⁵

We wrześniu 1881 r. Rada określiła wstępny koszt inwestycji na kwotę nie przekraczającą 400 tys. zł reńskich, co było sumą na ówczesną znaczną.

Na potrzeby związane z budową gmachu teatru zaczęły wpływać datki – m.in. od Heleny Modrzejewskiej, nowego prezydenta Krakowa - Feliksa Szlachetkowskiego, czy Zygmunta Cieszkowskiego. Ale dopiero legat bogatego ziemianina z Podola, Karola Kruzera, pozwolił na podjęcie konkretnych działań. Ten nikomu nie znany w Krakowie hrabia z Kresów, który podobno kiedyś tak się zachwyił którymś z krakowskich przedstawień teatralnych i samym natenczas mocno podupadłym miastem, że po powrocie na Podole sporządził testament, w którym swój cały majątek przeznaczył na budowę w Krakowie nowego teatru. Zapis ten, na kwotę 58 tysięcy rubli (88 532 złotych reńskich) nie był wprawdzie wystarczający na realizację kosztownej inwestycji, ale był na tyle znaczący, by przekonać przynajmniej część oponentów i przystąpić do budowy teatru, a z budową wodociągów poczekać na lepsze czasy (zbudowano je w 1901 r.). O ile wielkoduszność Kruzera, mimo rozlicznych kłopotów formalnych m.in. związanych z uznaniem testamentu przez sąd w Kamieńcu Podolskim (Kruzer był obywatelem rosyjskim), a w konsekwencji przekazaniem całej kwoty spadkowej do Krakowa, została sfinalizowana pomyślnie, to Krakowska Kasa Oszczędności, która przyrzekała na ten sam cel niebagatelną kwotę, bo 100 tysięcy złotych reńskich, nie dotrzymała natenczas obietnicy. Ale i ta, choć nie spełniona wówczas obietnica odegrała rolę korzystną, bowiem władze miasta dysponując oficjalnie przyrzeczeniem banku mogły zaciągać finansowe zobowiązania.

Lokalizacja obiektu została ustalona dopiero w 1886 r. Towarzyszyły tej decyzji długotrwałe i gorące spory. Rozważano kilkanaście propozycji - m.in. na pl. Szczepańskim, na Plantach obok Hotelu Krakowskiego, obok budynku Straży Pożarnej, w miejscu drewnianej ujeżdżalni przed kościołem Kapucynów, na pl. Św. Ducha, pl. Biskupim, na Rynku Kleparskim. Brano nawet pod uwagę lokalizację gmachu teatru na Rynku Głównym – od strony ulicy Szewskiej. Przeważały opinie, że teatr należy zbudować „w mieście”, a miasto Kraków zdaniem rajców to nade wszystko obszar położony w obrębie Plant. Stąd też nawet Rynek Kleparski uznano za nazbyt odległy i peryferyjny. Pomimo rozlicznych protestów i interwencji, które znów skłóciły krakowian, Rada w dniu 17 VI 1886 r. większością zaledwie dwóch głosów postanowiła wzniesić teatr na pl. Św. Ducha. Wybór tej lokalizacji uwarunkowany był koniecznością wyburzenia zabytkowego klasztoru i kościoła pw. Św. Ducha, przy których istniał od połowy XIII w. jeden z najstarszych na ziemiach polskich, a najstarszy w Krakowie, szpital Duchaków. Na nic się zdały liczne protesty w obronie świątynnych gmachów i przeciwko budowaniu nowoczesnego teatru w tym właśnie miejscu m.in. ze strony konserwatora Józefa Łepkowskiego, profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego: Pawła Popiela, Mariana Sokołowskiego czy Stanisława Tomkiewicza wreszcie Zjazdu konserwatorów Galicji. Na nic się też zdał gorący protest Jana Matejki, który na znak oburzenia zwrócił szacownej Radzie przyznane mu i z całą powagą przezeń traktowane honorowe obywatelstwo miasta. Władze miasta pozostały przy swoim. Rada decyzję tę ostatecznie zatwierdziła w dniu 12 VI 1888 r.

Nadchodził czas na kolejne, nie mniej poważne i nie mniej głośne polemiki oraz spory. Dotyczyć one miały m.in. sposobu opracowania projektu budynku teatralnego. W samej Radzie opinie co do tej kwestii były podzielone - jedni utrzymywali, że dla rychłego uwieńczenia przedsięwzięcia, należy sprawę powierzyć krajowemu technikowi, najlepiej zaś rajcy Karolowi Zarębie. Mówiono też o znanej wiedeńskiej spółce budowniczych teatrów „Fellner i Helmer”. Ten jednak, przez niektórych podkreślany brak zaufania do miejscowych architektów wywołał znaczne wzburzenie w krajowych środowiskach artystycznych. Jeszcze w 1882 r. krakowski architekt, Jan Zawiejski, opublikował artykuł „W sprawie nowego teatru”, w którym w sposób zdecydowany opowiedział się za konkursem.

Na skutek, gorących protestów ze strony środowisk technicznych i polemik prasowych, Rada w lipcu 1886 r. uchwaliła potrzebę rozpisania konkursu międzynarodowego, I znów upłynęły dwa kolejne lata, zanim 1 VIII 1888 r. konkurs ogłoszono, a jego warunki przedstawiono w odrębnej broszurze. Budynek, frontem głównym zwrócony do ul. Szpitalnej, winien mieścić od 900 do 960 miejsc, miał też być dostosowany do wymogów operowych „z baletem”. Przed

autorami projektu postawiono wysokie wymagania co do nowoczesnych i funkcjonalnych rozwiązań. Koszt całego przedsięwzięcia zgodnie z poprzednimi ustaleniami nie mógł przekroczyć 400 tys. złr.

Nadesłano na ten konkurs 21 prac. Wśród licznych projektów z zagranicy - m.in. z Berlina, Pragi, Budapesztu, Reims, znalazły się prace wybitnych architektów: Emila von Forstera z Wiednia, znanej wiedeńskiej spółki „Fellnera i Helmera” czy Henryka Seelinga z Berlina. Spośród polskich architektów wymienić wypada choćby nazwiska już uznane: Leonarda Marconiego ze Lwowa, Edwarda Goldberga i Teodora Glantza z Warszawy oraz Tomasza Prylińskiego, Tadeusza Stryjeńskiego, Władysława Ekielskiego, Sławomira Odrzywolskiego i Karola Zaręby z Krakowa. W skład konkursowego jury weszło siedem osób oraz sekretarz bez prawa głosu. Byli to wytrawni specjaliści z zakresu architektury i budownictwa oraz przedstawiciele władz miejskich – m.in. architekt Zygmunt Gorgolewski, W gronie jurorów zabrakło przedstawiciela Komisji Teatralnej bądź jakiegokolwiek fachowca, rozumiejącego mechanizmy pracy w teatrze. Ubolewał nad tym Karol Estreicher senior 6, wyrażając obawy, że może powstać gmach okazały, ale taki, w którym artyści nie znajdą odpowiednich warunków pracy. Zaproszono ostatecznie do prac jury osobę kompetentną w sprawach teatralnych, Stanisława Koźmiana, ale w charakterze sekretarza konkursu, bez prawa czynnego głosu.

17 marca 1889 r. sąd konkursowy ogłosił werdykt, I nagrodę przyznano projektowi przedstawionemu przez spółkę „Fellner, Helmer i Pryliński”, II - spółce „Odrzywolski i Zaręba”, zaś III - Janowi Zawiejskiemu.

Ponieważ konkurs nie przyniósł rozstrzygnięcia, który projekt ma być przeznaczony do realizacji, Rada Miasta na posiedzeniu 21 czerwca 1889 r. zarządziła rozpisanie drugiego, tym razem zamkniętego konkursu na projekt gmachu krakowskiego teatru.

Ustalono także, że teatr w Krakowie, jako scena narodowa powinien być wzniesiony w oparciu o projekt i pod kierunkiem miejscowego architekta. Do drugiego konkursu zaproszono autorów nagrodzonych bądź wyróżnionych w poprzednim konkursie prac, wyłącznie z Krakowa. Nie otrzymał nawet zaproszenia mieszkający w Krakowie Tomasz Pryliński, ponieważ był współautorem projektu „Experientia” (uhonorowanego zresztą I nagrodą) zrealizowanego z udziałem znanych wiedeńskich architektów – Fellnera i Helmera.

Termin złożenia nowych planów wyznaczono na 1 listopada 1889 r. Nie zakładano wymogu składania całkowicie nowych projektów, ale poprzednich, stosownie skorygowanych i uzupełnionych. Wymogi konkursowe zostały nieznacznie zmienione i w odniesieniu do rezultatów poprzedniego konkursu, skonkretyzowane. Istotną

zmianą w odniesieniu do dotychczasowych założeń był wymóg uwzględnienia w projekcie oświetlenia elektrycznego (w poprzednim konkursie zakładano oświetlenie gazowe), systemu grzewczego i wentylacyjnego.

Powrócono raz jeszcze do lokalizacji teatru. Stanowisko w tym względzie, zmierzające do odstąpienia od placu Świętego Ducha, prezentowane przez Karola Estreichera i Stanisława Koźmiana wsparło wiele osób. Rada Miasta nie wdając się w żadne dyskusje na ten temat, decyzji jednak nie zmieniła. Architekci uczestniczący w drugim, zamkniętym konkursie, wprowadzili w odniesieniu do pierwotnych projektów zmiany, czasem znaczące, na ogół ściśle związane z nowymi wymogami konkursowymi. Najmniej poprawek wprowadził Jan Zawiejski. 30 stycznia 1890 r. jury (Franz Berger, Karol Kozłowski, Juliusz Hochberger, Janusz Niedziałkowski, Józef Sare, Faustyn Jakubowski) po drugim swoim posiedzeniu, podczas którego przeprowadzono dyskusję nad wszystkimi projektami, nie osiągnęło jednomyślności. Członkowie jury uznali wprawdzie, że „nie widzą żadnego projektu nadającego się do natychmiastowego wykonania”,⁷ ale nie chcąc opóźnić budowy, postanowili zaproponować Janowi Zawiejskiemu oraz występującym wspólnie Tadeuszowi Stryjeńskiemu i Władysławowi Ekielskiemu dokonanie dodatkowych korekt i dopiero później wybrać projekt do realizacji. O ile Stryjeński i Ekielski zgodzili się na dokonanie wszystkich poprawek, J. Zawiejski sprzeciwił się takim zaleceniom, bowiem wprowadzenie zalecanych zmian powodowałoby przeprowadzenie następnych. Zresztą: narzucanie mu jakichkolwiek zmian uznawał za sprzeczne z zasadami konkursu. Miał sporo racji, uznając, iż jury nie posiada do takich zadań odpowiednich kompetencji. Ostatecznie jury oficjalnie przedłożyło Radzie Miasta projekt Stryjeńskiego – Ekielskiego, z zaleceniem realizacji po dokonaniu proponowanych poprawek, na co autorzy uprzednio wyrazili zgodę. Ale wbrew stanowisku jury wyrażonym w oficjalnym protokole, Komisja Teatralna opowiedziała się za projektem Zawiejskiego, uznając, że nadaje się on bezzwłocznie do realizacji, bez konieczności zmian i poprawek.

Stanowisko Komisji Znaczców poparła część radnych, z Henrykiem Jordanem na czele, w efekcie czego rozgorzała następna dyskusja. Ostatecznie dnia 17 lipca 1890 Rada Miasta przychyliła się do stanowiska Komisji Teatralnej i skierowała projekt Jana Zawiejskiego do realizacji.

Oba konkursy, odbiły się szerokim echem w Europie. Zwłaszcza pierwszy z nich wzbudził zainteresowanie wysokiej klasy architektów. O zorganizowanej wystawie pokonkursowej sporo pisano, wiele miast korzystało z krakowskich doświadczeń w tym względzie. Konkursy te dobrze służyły wzrostowi zainteresowania architekturą teatralną wśród polskich twórców, samemu zaś Zawiejskiemu – rze-

czywistemu zwycięscy tych artystycznych zmagani otworzyły drogę do dalszej kariery.

Podczas owego lipcowego posiedzenia Rady Miejskiej zatwierdzono 19 punktowy kontrakt, na podstawie którego powierzono mu „artystyczne i techniczne kierownictwo budowy teatru miejskiego w Krakowie”. Nakładało to na niego obowiązki związane z nadzorowaniem i prowadzeniem wszystkich prac budowlanych, za których „dobroć, piękność i trwałość” miał być osobiście odpowiedzialny.

Wyznaczony został termin ukończenia gmachu (kwiecień 1893 r.), zwiększono także limit środków przeznaczonych na koszty budowy (do 440 tys. złr.).

W 1890 r. przystąpiono do wyburzenia zabytkowych gmachów – kościoła, klasztoru i szpitala Duchaków. Wiosną roku następnego ruszyły prace budowlane, a 2 czerwca odbyła się uroczystość wmurowania kamienia węgielnego.

Kamień węgielny położono 2 czerwca 1891 roku, a okolicznościowe dokumenty złożyły przy nim: Helena Modrzejewska i Antonina Hoffmann.

„Gdy budowa teatru – pisze Zbigniew Leśnicki – ruszyła już pełną parą, przeciwnicy Zawiejskiego rozpuścili po mieście plotkę, że na budowie coś się wali z powodu błędu w projekcie i wielu krakowian zaglądało na plac św. Ducha, by u samego źródła dowiedzieć się, w czym rzecz. Znana były wówczas anegdota o pewnym przyjeźdźnym, który idąc od dworca, zatrzymał się przy budowie i pierwszą napotkaną osobą zapytał: czy to prawda, że tu się wali? Okazało się, że pytaną osobą był sam Zawiejski, który niewiele myśląc, odparł: -Owszem, tu się wali... ale w mordę!”⁹ Zawiejski potwierdził raz jeszcze, że jest znakomitym organizatorem i kierownikiem robót. Z ramienia władz miasta wspierał go w tym dziele inspektor Wincenty Wdowiszewski. Zawiejski zadbał, aby w ogłoszonych konkursach na poszczególne rodzaje prac zwyciężyli wykonawcy solidni, gwarantujący właściwą i terminową realizację robót. Większość prac budowlanych i wykończeniowych powierzono firmom miejscowym, a tylko cześć robót, głównie specjalistycznych, oddał firmom zagranicznym (m.in. z zakresu techniki scenicznej, budowy maszyn, instalacji elektrycznej).

Emocjom, o różnym skądinąd podłożu, nie było końca.

„Wbrew wszelkim złośliwościom – stwierdza dalej Zbigniew Leśnicki – mury teatru rosły jak na drożdżach, ale gdy tylko ukończono budowę, miasto obiegła niepokojąca wiadomość: w teatrze nocą straszy! Kto straszy? Duch siostry zakonnej Nimfy Suchońskiej, której kościotrup podobno odkryli robotnicy w trakcie kopania fundamentów, lecz bojąc się wstrzymania robót, szczątki zasypali ponownie, nikogo o tym nie informując. Być może była to tylko legenda, lecz tak sugestywna, że jeszcze i dzisiaj

żaden aktor nie ośmieliłby się w nocy pozostać samotnie w pustym budynku teatru. Aż strach się nie bać!”¹⁰

Każda więc tradycja, związana z nadaniem tego typu gmachom znamion niesamowitości i frenezji romantycznej, zwłaszcza, gdy okazuje się trwała i żywa, jest nieodłącznym elementem życia teatralnego.

Projektując bryłę teatru, Zawiejski wzorował się na wzniezionej przez Charlesa Garniera Wielkiej Operze Paryskiej. Jednakże sposób usytuowania obu obiektów był odmienny. W Krakowie budynek widoczny miał być przede wszystkim od strony obu fasad bocznych - a więc jako budowla niesymetryczna i o różnych wysokościach poszczególnych części obiektu. Nie chcąc odstępować od formy „garnierowskiej”, postanowił te optyczne niedogodności choć częściowo wyeliminować poprzez pokrycie fasady głównej (wejściowej) dodatkową, zgrabnie rozwiązaną dekoracją plastyczną. W architektonicznej dekoracji Zawiejski nawiązał szczęśliwie do motywów krakowskiej architektury. Pojawiły się więc wokół bębna widowni maskarony, podobne do tych z Sukiennic, obramienia okienne wzorowane są na renesansowej kamieniarce krakowskich kamienic.

Na frontonie gmachu, od strony ulicy Szpitalnej, usytuowano szereg rzeźb, głównie muz oraz osób wyrażających rolę i funkcję budynku, wykonanych przez znanych i utalentowanych artystów krakowskich – Tadeusza Błotnickiego, Alfreda Dauna i Mieczysława Zawiejskiego. Na środku stanąć miały rzeźby dłuta brata Jana Zawiejskiego, Mieczysława, przedstawiające Atenę i Apollona, ale mieszkający na stałe za granicą artysta, nie zdołał wykonać ich w porę. Sytuację uratował znany lekarz i społecznik krakowski, Odo Bujwid, który wypożyczył rzeźby zdobiące hall jego kamienicy przy ul. Lubicz 30, a przedstawiające Zosię i Podkomorzego z Mickiewiczowskiego „Pana Tadeusza”. Nie są to rzeźby Mieczysława Zawiejskiego, ale Michała Korpała, świetnego krakowskiego rzeźbiarza z zasłużonej dla sztuki polskiej rodziny. Jak zauważa Kazimierz Nowacki:

„Postacie te budzą zastrzeżenia przynajmniej z dwu powodów. Po pierwsze są odwrotnie ustawione: Zosia zamiast stać po prawej stronie Tadeusza, znajduje się po lewej. Po wtóre ikonograficznie niezbyt pasują do innych figur umieszczonych na fasadzie. (...) Na fasadzie nie udało się ustawić Zosi po prawej stronie Tadeusza, bo wówczas odwracałaby się od niego, a jej gest zapraszający skierowany byłby w przeciwną stronę. Stąd owa odwrotna pozycja taneczna.”¹¹

Obie te postacie wyobrażają scenę „Poloneza czas zacząć”, zatem są to Zosia i Podkomorzy, a nie - jak chce Kazimierz Nowacki – Zosia i Tadeusz.

Ten wybór, dokonany na krótko przed uroczystym otwarciem teatru był najlepszym wyjściem z kłopotliwej sytuacji i stał się w konsekwencji zapowiedzią rangi tej sceny

i jej zasług dla kultury polskiej. Tę intencję, pojmowaną jako powinność, nie tylko jako przesłanie, najpełniej oddawał przytoczony poniżej napis, wyryty na płycie marmurowej i wyłożony: "KRAKÓW NARODOWEJ SZTUCE." I tak już pozostało, bo sam Bujwid o zwrot rzeźb nigdy się nie upomniał, może nawet czuł się tym zdarzeniem i – można by rzec – rolą darczyńcy zaszczycony, a rzeźb i elementów o charakterze mitologicznym, nasyconych bogatą symboliką jest tu na tyle dużo, że brak Apollina i Ateny mógł być zauważony tylko przez nielicznych.

O ile istniały poważne zastrzeżenia co do lokalizacji i wyglądu zewnętrznego budynku, to jego wnętrze wzbudzało niekłamany podziw. „Smok połknął perłę” - mówiono. Wzorowane na wiedeńskiej Operze wejście główne, funkcjonalny, pięknie zrobiony westybul i foyer wypadły nader okazale. Podkreślano zgodnie zgrabne połączenie funkcjonalności wnętrza z bogatym wystrojem, zachowaniem symetrii i wymogów bezpieczeństwa przeciwpożarowego. Sama widownia, z trzema piętrami balkonów - wprawdzie niezbyt wielka, to jednak charakteryzowała się dobrą akustyką i niezłą optyką (choć z bocznych balkonów III p. i łóż przyscenicznym widoczna jest tylko część sceny).

W miarę postępu prac budowlanych Rada Miasta coraz gorliwiej dbała o dobór możliwie najlepszych materiałów wykończeniowych i najokazalsze wyposażenie, uchwalając dodatkowe na ten cel fundusze, a także wzbogacając program prac. Teatr postanowiono wyposażyc w instalację elektryczną. Ponieważ miasto nie posiadało jeszcze wówczas elektrowni, Zawiejski dodatkowo zaprojektował i wznosił na tyłach obiektu, od strony Plant, budynek tzw. „Dom machin” mieszczący małą turbinę parową, a na piętrze malarnię dekoracji teatralnych. Architekt nadał budowli charakter eklektycznej wili (obecnie mieści się tu mała scena Teatru - zw. „Miniatura”, a także m.in. sala prób). Jako że w programie konkursu pominięto także magazyn dekoracji, podczas budowy teatru proponowano wyburzenie fragmentów starych murów obronnych z Basztą Pasamoników, aby na ich miejscu zbudować odpowiednie pomieszczenia. Na szczęście nie doszło do realizacji tego przedsięwzięcia, a z czasem znaleziono na ten cel inną lokalizację.

W czasie prowadzonych prac budowlanych i wykończeniowych napotymano na liczne kłopoty techniczne, które w efekcie spowodowały niewielkie opóźnienie w dotrzymaniu terminu przekazania budynku użytkownikowi. Krakowscy malarze i lakiernicy nie ukrywali zawodu i niechęci, gdy Zawiejski wykonanie polichromii teatralnych wnętrza powierzył Austriakowi, Antoniemu Tuchowi, pracującemu zresztą od dawna na ziemiach polskich Austro - Węgier. Wbrew czynionym mu zarzutom okazał się doskonałym fachowcem, a wykonana przezeń polichromia, pieczołowicie konserwowana, zdobi dotąd teatralne wnętrza.

Dokonywane zmiany, zarówno te, które okazały się niezbędne podczas pracy inwestycyjnych, jak i pożądane ze względu na trwałość i elegancję reprezentacyjnego gmachu Krakowa, pociągnęły zwiększenie wydatków aż o ok. 70 %, w stosunku do założonych pierwotnie i określonych w kosztorysie. Władze miasta z niespotykaną w późniejszych czasach hojnością dla „Wawelu Teatru Polskiego”, dodatkowe, a niezbędne środki przekazały w całości. Ogólny koszt budowy wyniósł 767 tysięcy złotych reńskich.

Trwały już przygotowania do uroczystego otwarcia Teatru, przewidzianego ostatecznie na jesień 1893 r., ale wiadome było, iż na owe uroczystości nie zostanie ukończona reprezentacyjna kurtyna. Świadomość, że dotrze ona do Krakowa w kilka miesięcy później nie spowolniła przygotowań do uroczystości, na które czekał cały naród, bez względu na kordony graniczne.

Uroczystości inauguracyjne działalności nowego teatru odbyły się 21 października 1893 roku. Do Krakowa zjechały delegacje z Warszawy, Lwowa, Poznania, przybyli licznie przedstawiciele świata kultury, sztuki, nauki, ludzie różnych stanów i zawodów. Nie zabrakło nawet Jana Matejki, podówczas poważnie już chorego. Artysta nie był przeciwny budowie teatru, którego rolę i posłannictwo zawsze wysoko cenił, sprzeciwiał się natomiast jego lokalizacji w miejsce zburzonych zabudowań klasztornych i szpitalnych Duchaków. Przybyli także m. in. Stanisław Koźmian, Wojciech Kossak, Karol Estreicher (senior). Z Warszawy przyjechał wnuk Wojciecha Bogusławskiego - Władysław.

Specjalny program uroczystości opracowali Adam Asnyk, Fryderyk Zoil, Feliks Jakubowski i Józef Muczkowski. W samo południe architekt-budowniczy gmachu, Jan Zawiejski, wręczył klucze prezydentowi miasta Józefowi Freidleinowi, który następnie przekazał je dyrektorowi Teatru Miejskiego, Tadeuszowi Pawlikowskiemu. Goście uroczystości zwiedzili wnętrze teatru. Mimo pewnych mankamentów i zgrzebnego wręcz wyglądu wielu pomieszczeń, braku kawiarni czy nawet bufetu - gmach przedstawiał się pysznie. Zawiejski, w związku z kłopotami finansowymi, kosztem ozdób fasady i wytworności stiukowych, bogato złożonych i polichromowanych wnętrza, po macoszemu potraktował scenę oraz gabinet dyrektora. A może bardziej liczył się z publicznością niż aktorami?

Wieczorem odbyło się galowe przedstawienie, na które złożyły się: akt IV „Zemsty”, obraz 2 z I aktu „Balladyny”, fragment II aktu „Konfederatów barskich”. Nestor polskich poetów, Adam Asnyk, specjalnie na tę uroczystość napisał „Prolog”, który wygłosił Józef Kotarbiński (główny reżyser Teatru). Orkiestra 13 pułku piechoty odegrała utwory Chopina i Moniuszki oraz „Salve Polonia” Liszta. W wielkim raucie w salach rezydencyjnych hotelu Saskiego uczestniczyło około 500 osób, podejmowanych tam przez władze miasta Krakowa

Uroczystości wypadły nader okazale. Zgodnie jednak wyrażano nieukontentowanie z powodu braku ozdobnej kurtyny

i życzenia rychłego jej zawieszenia. Była wszak pono - twierdzili co niektórzy - na ukończeniu...

Konkurs ogłoszono nazbyt późno, bo dopiero w lutym 1892 r., z terminem zaledwie dwumiesięcznym. Nie przesądzano tematyki. Szkic kurtyny w skali 1:100, wykonany techniką olejną miał być dziełem artysty polskiego pochodzenia. Wbrew oczekiwaniom organizatorów, nadesłano zaledwie kilka prac. Rozpatrywano ostatecznie sześć prac, których - jak się okazało - autorami byli: Janina Bogucka, Tomasz Lisiewicz, Konstanty Mańkowski, Tadeusz Rybkowski, Józef Mehoffer i Stanisław Wyspiański. Jury miało kłopoty z wytypowaniem zwycięzcy. Komisja Teatralna, której wyniki konkursu zostały przedłożone, uznała za właściwe ustanowić dwie równorzędne nagrody: dla Boguckiej i Lisiewicza. Był to zapewne zabieg taktyczny: wykonanie dzieła należało zlecić komuś innemu.

Tematyka nadesłanych prac była podobna - prawie wszystkie wyobrażały bóstwa starożytne lub słowiańskie.

Autorami projektów byli również – jak już wspomniano - Józef Mehoffer i Stanisław Wyspiański, naówczas początkujący artyści, jednakże już wtedy poszukujący własnych dróg, liczący na jakieś zlecenie w kraju. W tym czasie obaj przebywali w Paryżu i tam wykonali swe projekty. Myśleli nawet o podjęciu zabiegów o zlecenie im dekoracji wnętrza gmachu. Zamysły mieli liczne i ciekawe, ale nie było żadnych propozycji ze strony władz miasta. Na nadesłaną im przez Tadeusza Stryjeńskiego wiadomość o ogłoszonym konkursie na kurtynę, obaj artyści bezzwłocznie przystąpili do pracy, bo i czasu było wyjątkowo mało. Projekt Mehoffera, odbiegał tematycznie od pozostałych, był najbardziej oryginalny i bodaj najlepszy pod względem artystycznym. Artysta przedstawił scenę nowego teatru pozbawioną ścian tylnych, z widokiem na Planty i ul. Lubicz, a na samej scenie gromadę najwybitniejszych krakowskich artystów: Helenę Modrzejewską, Antoninę Hoffman, Antoniego Siemaszkę, Henryka Szymańskiego, Aleksandra Ładnowskiego i in., a także siebie i Stanisława Wyspiańskiego, niejako wchodzących na scenę.

Wyspiański, połączył ikonografię antyczną ze słowiańską i narodową, a przy tym, jak na artystę rozkochanego w rodzinnym mieście przystało, krakowską. Jego projekt z Wawelem, Wisłą i rusałkami związany był zapewne z nie zachowanym utworem „Fantaści”, nad którym pracował w latach 1891 – 92. Nie zabrakło w niej odniesień do mitologicznych i współczesnych dziejów Polski oraz Wawelu – narodowego Akropolis.

Po wystawie projektów, urządzonej w Sali Rady Miejskiej pojawiły się liczne opinie, także prasowe, że najdogodniej byłoby, nie ponawiając konkursu, który wydłużył czas realizacji kurtyny, zlecić jej wykonanie wytrawnemu artyście, gwarantującemu dzieło wysokiej rangi.

W istocie, ostatecznie Rada Miasta zdecydowała, że kurtynę wykona mający już ustaloną renomę Henryk Siemiradzki. Kraków miał wobec niego dług wdzięczności: ofiarował on w 1879 r. dla powstającego w gmachu Sukiennic Muzeum Narodowego słynne „Pochodnie Nerona”.¹²

Pojawiły się wszakże wątpliwości: czy z propozycją namalowania kurtyny nie należałoby się zwrócić do mieszkającego w Krakowie Jana Matejki. Mistrz był wówczas skłócony z władzami miasta, właśnie o lokalizację teatru. Ale nikt z władz miasta nie miał odwagi zwrócić się do Matejki z propozycją namalowania kurtyny. Zresztą artysta już wówczas poważnie chory, zmarł wkrótce po uroczystym otwarciu teatru, 1 listopada 1893 r.

Siemiradzki zamówienie przyjął, zgodził się na zaproponowane mu honorarium w wysokości 15000 złr. i po zaakceptowaniu przez władze miasta projektów, przystąpił do pracy. Artysta zastrzegł wszelako, iż nie zdąży wykonać kurtyny na inaugurację Teatru, bo czasu pozostało niewiele.

W tej sytuacji Komisja Teatralna zdecydowała, by kurtyna żelazna była wymalowana bardziej okazale niż jest to praktykowane i tym samym uświetniła uroczystości inauguracyjne. Prace nad tą kurtyną powierzono Antoniemu Tuchowi, autorowi polichromii wnętrz. Przedstawiała ona trzy widoki Krakowa widziane przez ozdobną kratę: kościół Mariacki, Wawel i kościół Bożego Ciała. Sytuacja została więc poniekąd uratowana. Jednakże, mimo iż malowidło wykonane było solidnie, powszechnie oczekiwano na kurtynę Siemiradzkiego zwłaszcza, że do Krakowa docierały informacje, że w swej rzymskiej willi, w której artysta pracował nad kurtyną, powstaje dzieło wybitne. Władze Krakowa uprosiły Siemiradzkiego, by mistrz wykonał także bordiurę do kurtyny, która zgodnie z pierwotnymi założeniami miała, za względu na koszty, powstać w Krakowie. Uznano w końcu, nie bez powodu, że całość powinna wyjść spod pędzla jednego artysty.

W lutym 1894 r. kurtyna była już gotowa. Siemiradzki zamierzał ją wystawić w Wiedniu, ale władze Krakowa zainteresowane były rychłym jej zawieszeniem w teatrze, stąd przywieziono ją stamtąd bezpośrednio. Opuszczano ją po raz pierwszy w dniu 18 kwietnia 1894 r. podczas przedstawienia komedii Blizińskiego „Chwast”. Dochód z tego spektaklu dyrektor Tadeusz Pawlikowski przeznaczył na fundusz emerytalny dla aktorów.

Słusznie podkreślano, że kurtyna harmonizuje z wnętrzem teatru, pełnym złocień, sztukaterii i posągów. Artysta przedstawił na niej świat bóstw i muz opiekujących się sztuką. Na tle otwartej architektury, w centralnym miejscu znajduje się Natchnienie czyli Geniusz, kojarzące Piękno z Prawdą, a przed nimi Komedia, z lewej zaś strony Tragedia, załamująca ręce nad Miłością i Wyrzutami Sumienia. Eros płacze nad urną z prochami serca, na dalszym planie

u stóp Sfinksa - Przeznaczenia, Dobro i Zło walczą o panowanie nad światem. Jest i Terpsychora w otoczeniu tańczącej młodzieży, Poezja, Muzyka - brak natomiast jakiegokolwiek narodowego motywu, który dotąd przyświecał wszystkim twórcom tego gmachu. Kurtyna od strony warsztatowej - jak na ogół twierdzono - wykonana została znakomicie, choć w stylu akademickim. Dzięki wysokiemu nadsceniu nie musi ona być rolowana, a to powodowałoby niszczenie malowidła.

W licznych czasopismach pisano o niej entuzjastycznie, a Rada Miasta Lwowa zamówiła u artysty kurtynę dla tamtejszego Teatru Wielkiego, wzniesionego w kilka lat po krakowskim. Były też głosy mniej przychylne, dotyczące zresztą nie tylko pominięcia tematyki narodowej. Stanisław Wyspiański, podkreślając znakomity warsztat, stwierdził jednak, że kurtyna wobec „Pochodni Nerona” jest zerem. Czyżby tak jednoznaczna opinia artysty była spowodowana zwykłym zawodem człowieka rozżalonego niepowodzeniem? Ale opinia autora „Wyzwolenia” nie była odosobniona, choć niewątpliwie nazbyt skrajna.

Po zawieszeniu kurtyny Siemiradzkiego malowidło Antoniego Tucha na kurtynie metalowej przestało, rzecz jasna, spełniać swoją rolę dekoracyjną. Stała się ona wyłącznie kurtyną przeciwpożarową. Zostało ono zastąpione w 1922 r. późnosecesyjnym ornamentem. A szkoda. Sama kurtyna Siemiradzkiego poddawana była kilkakrotnie restauracji. Służy też do dziś swoim pierwotnym celom i trudno by sobie wyobrazić bez niej Teatr przy pl. Świętego Ducha.

Wkrótce po otwarciu teatru zaczęto powszechniej mówić o rozlicznych niedociągnięciach, zaniedbaniach czy ułomnościach w jego projektowaniu. Wspomniany już brak magazynu na dekoracje, rekwizyty i kostiumy był bardzo dotkliwy. W sytuacji, gdy w każdą sobotę odbywała się premiera, a spektakl grano zaledwie jeszcze kilka razy, po czym schodził on na jakiś czas z afisza, podręczne magazyny wystarczały co najwyżej na potrzeby bieżącego repertuaru. Obszerny magazyn był niezbędny, zwłaszcza w sytuacjach powracania do pozycji repertuarowych i częstego przygotowywania scenografii ze starych elementów. W kilka lat później zbudowano wg projektu Jana Rzymkowskiego, natenczas budowniczego miejskiego, przy ul. Radziwiłłowskiej 3 (ob. Reja) hale, z przeznaczeniem na magazyn dekoracji. Była wprawdzie rozmiarami wystarczająca, ale z powodu oddalenia od gmachu teatru, dekoracje musiano dowozić.

Gdy w maju 1916 r. Maciej Szutkiewicz przeprowadził wnikliwą analizę funkcji gmachu Teatru Miejskiego, sprecyzował pod adresem Zawiejskiego kilka zarzutów – m.in. nienajlepsze zakomponowanie parteru pod względem optyki, które było następstwem małego nachylenia podłogi, wnosił też zastrzeżenia w odniesieniu do słabej w niektórych miejscach widowni akustyki. W istocie zastrzeżenia te

dotyczyć mogły nie tyle samego Zawiejskiego, jako projektanta i nadzorca prac budowlanych, efektów późniejszych adaptacji, przebudów, wreszcie aranżacji sceny. Wysuwane z czasem, w tym także przez Szutkiewicza zastrzeżenia oraz ubolewania z powodu braku sceny obrotowej trudno by kierować pod adresem Zawiejskiego czy Komisji Teatralnej. Po raz pierwszy została ona wprowadzona dopiero w pięć lat po otwarciu Teatru Miejskiego w Krakowie, do gmachu opery w Monachium, w 1898 r. Nie zbudowano jej, mimo przygotowanych trzech koncepcji wariantowych, podczas pierwszego remontu gmachu, przeprowadzonego już w 1905 roku, głównie z powodów finansowych i technicznych. Tak rychły remont, podczas którego odnowiono widownię, przebudowano scenę, dokonano wymiany instalacji elektrycznej na łączną kwotę prawie 100 tysięcy koron, sumę więc nie małą, spowodowany był głównie nadmierną i nazbyt forsowną eksploatacją gmachu Teatru Miejskiego, w którym oprócz spektakli dramatycznych wystawiano także opery, operetki, przedstawienia o charakterze baletowym, prezentowane też były różnorodne widowiska, koncerty, pokazy filmowe, a nawet popisy akrobatyczne. W pięć lat później, w 1910 roku, foyer na I piętrze zamieniono na palarnię, które już co najmniej kilka lat funkcje te nieoficjalnie pełniło, ale dopiero wówczas zatwierdziły je zarówno władze budowlane, jak i straż pożarna. Na instalację sceny obrotowej, kosztownej wprawdzie, ale powszechnej już w większości renomowanych teatrach europejskich i dla realizacji nowoczesnych praktyk artystycznych niezbędnej, musiano tu czekać dalszych kilkadziesiąt lat. Kolejne zabiegi o unowocześnienie Teatru Miejskiego podjęła Rada Miasta u progu niepodległości państwa polskiego, zalecając w 1918 r. Janowi Zawiejskiemu opracowanie projektu rozbudowy sceny i wmontowanie w nią sceny obrotowej, zamyślano też o zburzeniu „Domu machin”, celem uzyskania miejsca na budowę magazynów teatralnych i warsztatów, ale od tych planów rychło odstąpiono. A scenę obrotową wprowadzono dopiero w 1955 roku.

Dostrzegano wszakże na ogół zgodnie liczne przyimoty gmachu Teatru Miejskiego, który – jak już wspomniano – powszechnie zachwycił swoim wnętrzem, jego elegancją i wytwornością, a i sama jego sylweta zewnętrzna, odsłonięta od strony Placu Świętego Ducha i ulicy Szpitalnej, na tle zieleni Plant i dekoracyjnych gazonów znajdowała coraz szerszą aprobatę i uznanie, często nawet wśród swoich pierwotnie sceptyków. Obiekt wznoszony był od podstaw na cele teatralne, według ściśle ukierunkowanego projektu, był pierwszym w Krakowie budynkiem oświetlanym elektrycznie, a późniejsze przeróbki w jego wnętrzu nie wpłynęły na wygląd i ogólny odbiór całościowy gmachu, który w swoim pierwotnym i trwałym założeniu miał być narodowy i europejski, a przy tym krakowski.

W siedem lat po otwarciu Teatru Miejskiego pojawił się zamysł, aby nadać mu patrona, by nazwać go imieniem Aleksandra Fredry. Ale pomysł ten nie uzyskał akceptacji Rady Miasta, a sama inicjatywa uwieńczona została jedynie postawieniem niewielkiego pomnika komediopisarza na skwerze przed frontonem teatru, dłuta znanego już w Krakowie z wcześniejszych realizacji (m.in. pomnika Mikołaja Kopernika na dziedzińcu Collegium Maius), Cypriana Godebskiego, ufundowanego przez Konstantego Wołodkowicza. Do sprawy nadania patrona tej sceny, pojmowanej powszechnie jako scena narodowa, powrócono za dyrekcji Ludwika Solskiego, który w 1909 roku z okazji jubileuszu stulecia urodzin oraz sześćdziesiątej rocznicy śmierci Juliusza Słowackiego wystawił w krakowskim Teatrze Miejskim cztery jego dramaty. W tym też roku jubileuszowym, podczas uroczystej sesji, Rada Miasta Krakowa nadała Teatrowi Miejskiemu oficjalnego patrona – Juliusza Słowackiego. Charakter i wymiar twórczości wieszca miał być bardziej adekwatny dla miejsca tej sceny i jej znaczenia dla kultury polskiej.

Na przełomie XIX i XX wieku krakowski Teatr Miejski nie tylko przeżywał najlepszy okres w swej historii, pełnił też trudną do przecenienia rolę narodowej sceny, która w warunkach autonomii galicyjskiej i tej niezależności artystycznej oraz programowo-ideowej, którą mógł mu zapewnić samorząd Miasta Krakowa. Tę formę artystycznej i programowej autonomii Teatru Miejskiego wzmocniła forma podległości, a tym samym zakresu zależności dyrektorów teatru od Miasta. Właścicielem gmachu Teatru Miejskiego było miasto Kraków. W kwietniu 1892 r. Rada Miasta Krakowa postanowiła wydzierżawić teatr (początkiem 1893 r. adwokat krakowski, Faustyn Jakubowski przygotował stosowny projekt umowy o dzierżawę), w następstwie czego 13 lipca 1893 r. ogłoszony został konkurs na sześcioletnią dzierżawę. W dniu 13 lipca radni przekazali Teatr Miejski w dzierżawę Tadeuszowi Pawlikowskiemu. W latach 1893 – 1915 oraz 1929 – 1932 dzierżawiło go wyłonionym w konkursach przedsiębiorcom, a w okresie 1915 – 1929 i 1932 – 1939 bezpośrednio Teatrem Miejskim zarządzało, zatrudniając dyrektorów. O randze Teatru Miejskiego w tamtych czasach, w pierwszych dziesięcioleciach jego działalności przy placu Świętego Ducha, zdecydowali nade wszystko jego dyrektorzy: Tadeusz Pawlikowski (dyrektor w latach 1893 – 1899 i 1913 – 1915), Józef Kotarbiński (1899 – 1905), Ludwik Solski (1905 – 1913) i ich następcy.

Repertuar Teatru Miejskiego łączył literacką klasykę z wymaganiami stawianymi przed scenami preferującymi osiągnięcia i kierunki rozwoju dramaturgii współczesnej i najnowszej. Dotyczyło to zarówno dramaturgii polskiej, jak i obcej. Grywano Ibsena, Maeterlincka, Strindberga, Wilde'a, Hauptmanna czy Czechowa. Obok

prawdziwej ekspansji autorów pokolenia Młodej Polski, właśnie na deskach tego teatru wystawiano dzieła literatury romantycznej i doby pozytywizmu, zazwyczaj dotąd na ziemiach polskich z powodów politycznych nie inscenizowane. Tu odbyły się prapremiery „Kordiana” Juliusza Słowackiego (1899), wszystkich części „Dziadów” Adama Mickiewicza (1901) w inscenizacji Stanisława Wyspiańskiego, czy „Nie-Boskiej Komедii” Zygmunta Krasickiego (1902). Tadeusz Pawlikowski obok repertuaru tradycyjnego i nowości dramaturgii światowej, wprowadzał inscenizacje dzieł autorów młodopolskich, debiutujących – m.in. Lucjana Rydla, Gabrieli Zapolskiej, Stanisława Przybyszewskiego czy Jana Augusta Kisielewskiego. Wokół krakowskiego Teatru Miejskiego skupione było artystyczne środowisko miasta. Kotarbiński poszerzył repertuar oparty na dramaturgii współczesnej, o dzieła Tadeusza Rittnera, Jerzego Żuławskiego, Adolfa Nowaczyńskiego czy Włodzimierza Perzyńskiego. O ówczesnej randze Teatru Miejskiego decydowały w niemałej mierze dokonania Stanisława Wyspiańskiego. Tu, w dniu 16 marca 1901 r. odbyła się legendarna prapremiera „Wesela” a także prapremiery „Warszawianki” (1898), „Wyzwolenia” (1903) czy „Bolesława Śmiałego” (1903). Kiedy w 1905 r. Ludwik Solski wygrał w zaciągach o dyrekcję Teatru ze Stanisławem Wyspiańskim, nie zburzyło to ich przyjaźni. Solski zaprosił zawiedzionego decyzją władz miejskich Wyspiańskiego do współpracy, wystawił też kilka jego dramatów. Właśnie za czasów Solskiego odbyły się prapremiery „Nocy listopadowej” (1908) czy „Legionu” (1911), do repertuaru weszły dramaty Karola Huberta Rostworowskiego, Ludwika Hieronima Morstina, Leopolda Staffa czy docenionego szerzej dopiero w okresie Młodej Polski – Cypriana Kamila Norwida.

Nie tylko repertuar zadecydował o randze krakowskiego teatru. Zresztą zdarzały się w tym względzie, w sposobie inscenizacji czy scenografii, wreszcie sposobie gry aktorskiej wyraźne mielizny, osłabiające prestiż narodowej sceny. Spektakle powtarzano zaledwie po kilka razy, premiery odbywały się co tydzień. Aktorzy nierzadko mieli trudności z opanowaniem tekstu na pamięć, a permanentne zmiany repertuaru nie służyły staranności. Ale ta scena zasłynęła w tym czasie z wybitnych artystów. Tu występowali m.in.: Wanda Siemaszkowa, Irena Solska, Andrzej Mielewski, Michał Tarasiewicz, Stanisława Wysoka czy mistrz tradycyjnego aktorstwa – Kazimierz Kamiński, a oprawę scenograficzną tworzyli m.in. Karol Frycz czy Franciszek Siedlecki. Właśnie tu, w krakowskim teatrze ukształtowała się nowoczesna scenografia, oparta na konsekwentnym harmonizowaniu plastycznej wizji spektaklu, z wymową tekstu, oprawą muzyczną, wreszcie rozwiązaniami inscenizacyjnymi poszczególnych scen. W miejsce przestarzałej, dziewiętnastowiecznej konwencji, sztucznej i nazbyt patetycznej, wprowadzono zapoczątkowany już wcześniej, w starym gmachu, nowy styl gry aktorskiej. Ten sposób gry,



nowatorski w sposobie wyrażania ekspresji scenicznej, artykulacji i emocji upowszechnił się z czasem, za krakowskimi doświadczeniami na innych polskich scenach. Ta skala oddziaływania podlegała rozszerzeniu, gdy krakowski Teatr Miejski sięgał odważnie po nowe pokłady nowatorstwa scenicznego, a koncepcje o charakterze eksperymentalnym stały się nieodłącznym artystycznym wyrazem coraz liczniejszych w Krakowie nowych scen, które po 1918 r. w polskiej już rzeczywistości, zyskiwały coraz powszechniejsze prawa obywatelstwa.

Oczekiwania i powinności w tym względzie, stawiane wobec krakowskiego Teatru Miejskiego wyraził Konstanty Marian Górski, który witając otwarcie gmachu przy placu Świętego Ducha, pisał:

... dziś od ciebie innego chcę śpiewu
 Dziś mi nie starczą żale i tęsknoty,
 Pośród kochania chcę grozy i gniewu.
 Wiatr porozwiewał mary bajki złotej,
 Jak sny Aliny, błogiej i dziecinnej
 W przededniu skonu.

Dziś chcę pieśni innej¹³

I w istocie wyśpiewał ten krakowski teatr niejedną akord „pieśni innej”, dobrze służącej polskiej scenie...

Przypisy:

1. Kazimierz Nowacki: *Architektura krakowskich teatrów*, Kraków 1982, s. 136
2. Józef Mączyński: Pamiątka z Krakowa, t. III, Kraków 1845, s.176
3. Akta miejskie L. 60639/910, protokół z dnia 14.03.1882
4. Protokół z posiedzenia Rady Miasta Krakowa w dn. 30.09.1872, WAPK r. akta TM –10
5. Kazimierz Nowacki: *Architektura*, op. cit., s. 136
6. Karol Estreicher: *Głos w sprawie budowy teatru*, „Czas”, nr 85/ 1889
7. Cyt. za: Kazimierz Nowacki: *Architektura...* op. cit. str. 196
8. Jacek Purchła: *Jak powstał nowoczesny Kraków*, Kraków 1990, s. 74
9. Zbigniew Leśnicki: *Perypetie Melpomeny na placu Świętego Ducha (1)*, „Kraków”, 2013, nr 11 (109), s. 54
10. Op. cit.
11. Kazimierz Nowacki: *Architektura...* op. cit., s. 217 - 219
12. Szerzej: Stanisław Dziedzic: *Miasto i muzeum. W kręgu krakowskiej idei muzeum narodowego*, [w:] tenże: Kraków to jest wielka rzecz, Kraków 2012
13. Cyt. za: Stanisław Marczak – Oborski: *Teatr w Polsce 1918 – 1939*, Warszawa 1984, s. 7

JURATA BOGNA SERAFIŃSKA



ANALIZA BAJKI

Z bajkami stykamy się od najwcześniejszego dzieciństwa i wydaje się nam, że wiemy o nich wiele. Czy rzeczywiście tak jest? Aby się o tym przekonać postanowiłam przeczytać dwie dostępne na naszym rynku książki Włodzimierza Proppa - „Morfologię bajki magicznej” i „Nie tylko bajka”.

A więc co to jest bajka? – Jest to krótki utwór literacki zawierający morał, pisany prozą lub wierszem, znany wszystkim ludom już od czasów starożytności.

Bajka narracyjna jest zbliżona do opowiadania lub noweli i posiada krótką, łatwą do przyswojenia fabułę, natomiast bajka epigramatyczna jest krótka, pozbawiona fabuły i wszelkich cech epickich.

Bajka narracyjna jest więc opowieścią należącą do sztuki epickiej, wysnutą z poetyckiej fantazji i zawierającą w fabule elementy alegoryczne. Odróżnia się ona od wszystkich innych rodzajów narracji swoistością poetyki i konstrukcji. Słuchacze takiej opowieści mają prawo; zresztą zgodnie z zamierzeniem narratora; uważać ją za fikcyjną, a nawet niewiarygodną. Rozróżniamy bajki: zwierzęce, fantastyczne i nowelistyczne. Przeważnie mówiąc o bajce mamy na myśli baję fantastyczną czyli magiczną.

Bajka jako gatunek istniała już w starożytnej Grecji [Hezjod, Ezop]. W średniowieczu tworzono początkowo łacińskie przeróbki bajek starożytnych; w językach narodowych zaczęto je pisać dopiero od XII wieku. Popularność bajki wzrosła w okresie renesansu. W słowiańskiej części Europy bajka powstała jako krążące wśród ludu ustne opowiadanie, którego treścią były niezwykle zdarzenia; pełniące funkcję rozrywkową i wyróżniające się pod względem struktury, kompozycji i stylu.

W Polsce pierwsze bajki pojawiały się jako część większych utworów: kazań, kronik i listów. Pierwszy większy zbiór bajek zamieścił Biernat z Lublina w *Żywocie Ezopa Fryga*. Bajki pisywali później: Julian Ursyn Niemcewicz, Ignacy

Krasicki, Adam Mickiewicz, Aleksander Fredro oraz Stanisław Jachowicz.

W Rosji bajka czyli skazka miała początkowo znaczenie wiarygodnego dokumentu, a rolę dzisiejszej bajki pełniła baśń, znana wcześniej również w literaturze indyjskiej i arabskiej (Baśnie Tysiąca i Jednej Nocy). W Europie Zachodniej baśń pojawiła się dopiero od XVIII wieku. Najbardziej znane są baśnie Andersena.

Ważne jest aby bajki nie mylić z takimi gatunkami, jak: mit, bylica, byliczka, legenda, klechda, księga jarmarczna, anegdota.

Propp opisuje dokładnie różnice między tymi gatunkami. Na przykład różnica między mitem, a bajką polega na funkcji społecznej. Mit jest opowiadaniem z porządku religijnego, bajka reprezentuje porządek estetyczny. Bylica i byliczka to opowiadania o treści zaczerpniętej z ludowej (słowiańskiej) religii przedchrześcijańskiej, w których występują diabły, wodniki, strzygi, skrzaty, rusałki, zjawy, upiory, wilkołaki i przyroda rządzona przez nieznanne siły. Legenda ma proveniencję łacińską, kościelną, jej treść pochodzi z religii chrześcijańskiej. Klechda (podanie) zawiera opowieści uchodzące za prawdę historyczną, odnoszące się do historycznych miejsc lub historycznych osób i zdarzeń. Księga jarmarczna jest to wytwór średniowiecznej kultury miejskiej, czyli romans mieszczański, który dał początek powieści. Skazy (rosyjskie) to opowieści o heroizmie dnia dzisiejszego, o bohaterach wojny ojczyźnianej, o dramatycznych wydarzeniach. Prawda miesza się w nich niekiedy z artystycznym zmyśleniem Istotą anegdoty jest zaskakujące, dowcipne zakończenie krótkiej opowieści. Anegdoty mogą być ludowe lub historyczne.

Trudności mogą wystąpić w przypadku prób odróżnienia bajki fantastycznej od baśni. Baśń możemy określić jako jeden z rodzajów bajki fantastycznej, której schemat kompo-

zycyjny oparty jest na tryumfie dobra nad złem, a wydarzenia rozgrywają się w nieokreślonym miejscu i czasie.

Propp wyróżnia trzydzieści jeden funkcji, które tworzą strukturę każdej bajki, bez względu na to w jakim zakątku świata dana bajka powstała. [Funkcje są to działania ważne ze względu na rozwój akcji]. Jest to schemat według którego można dokonać analizy każdej bajki. Niektóre z omawianych funkcji to: odejście, zakaz, naruszenie zakazu, podstęp, szkodzenie, wyprawa, przekazanie magicznego środka, przemieszczanie się w przestrzeni, walka, zwycięstwo, powrót, pościg, ratunek, trudne zadanie, zdemaskowanie, ukaranie, wesele.

Oczywiście nie każda bajka zawiera w swojej strukturze wszystkie trzydzieści jeden funkcji, nie odnaleziono jednak dotychczas bajki, która miałaby tych funkcji więcej.

Propp zwraca uwagę na fakt, że wiele bajek charakteryzuje się dwoma lub trzema szeregami funkcji, które nazywa przebiegami. Występuje to w sytuacji, kiedy bohater odnosi już zwycięstwo nad wrogiem; wtedy z traci czujność i kłopoty zaczynają się od początku, na przykład jego narzeczona zostaje porwana po raz drugi czy trzeci. Daje to pole do opisu kolejnych przygód. Czasami mamy do czynienia z jedną bajką o kilku przebiegach, a czasami z kilkoma odrębnymi bajkami, połączonymi w jednym tekście.

Każda bajka zawiera zawiązanie oraz stałe i zmienne składniki; ma bohatera pozytywnego, bohaterów negatywnych [fałszywych], donatorów i magicznych pomocników, a także magiczne przedmioty. W bajce muszą występować komplikacje, trudne zadania, a zakończenie stanowi najczęściej ślub i huczne wesele, w czasie którego dzielny bohater otrzymuje wraz z ręką królowej co najmniej połowę królestwa.

Propp zwraca uwagę na takie elementy bajki, jak kwestia potrojenia, która wskazuje na archaiczny rodowód bajki, czy niezauważalne na pierwszy rzut oka archaiczne źródła bajki magicznej [n.p. powiązanie smoka z deszczem wskazuje na to, że fabuła danego utworu była starsza od gatunku].

Po przeczytaniu dzieł Proppa można śmiało na podstawie zdobytej wiedzy napisać zupełnie nową bajkę w oparciu o schemat jaki sobie stworzymy analizując opis struktury i funkcji tego gatunku literackiego. Nie pisałam dotychczas bajek, ale po lekturze dzieł Proppa dokonałam takiej próby i napisałam „Bajkę świetlistą”.

1. Włodzimierz Propp, *Nie tylko bajka*, tłum. D. Ulicka, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2000.

2. Włodzimierz Propp, *Morfologia bajki magicznej*, tłum. P. Rojek, Zakład Wydawniczy <Nomos>, Kraków 2011.

BAJKA ŚWIETLISTA

W dalekiej przeszłości, łączącej się na okręgu czasu z nadchodzącą przyszłością, za siedmioma słońcami, za siedmioma mgławicami, na świetlistej orbicie żył sobie Zielonooki. Jego ojczyzną było superkrólestwo zajmujące teren całej planety, jednak wolał on przebywać na orbicie, z dala od rodziny i krewnych. Tu mógł oddawać się swojej naukowej pasji i marzyć o zdobyciu Wiktorii, która również pracowała w świetlistym orbitalnym laboratorium. Koło Wiktorii kręciło się kilku kolegów, między innymi Okoburas, którego Zielonooki nie lubił i nazywał w myśli burasem lub brudasem. Buras był kolegą wyższym rangą od Zielonookiego i często utrudniał mu kontakty z Wiktoria.

Laboratorium badało różne rzeczy z przeszłości i przyszłości, a czasem nawet z teraźniejszości. Zajmowały się tym działy technologiczne, medyczne i psychologiczne, które przekazywały potem uzyskane wyniki do działu filozoficzno-etycznego, który wyciągał ostateczne wnioski. Ostatnio badaniom podlegały szale; głównie wełniane i kaszmirowe. Szale te przywozła ekspedycja z odległej planety, leżącej w nieznannej do niedawna galaktyce. Takich szali nigdy nie widziano na Świetlistej Planecie. Ich skład był podany na metkach ale nikt nie wiedział z czego naprawdę je zrobiono. Mieszkańcy Świetlistej Planety nosili ubrania wytwarzane z morskich glonów albo ze zmodyfikowanej trawy i ich jakość była o wiele gorsza od tych przywiezionych kolorowych szmatek. Badano więc nie tylko ich skład i przydatność, ale także, a właściwie przede wszystkim emocje jakie były ich udziałem. Zielonooki nie mógł początkowo uwierzyć jak skrajne były to emocje, w badaniach ujawniał się: zachwyt, chęć posiadania, chciwość, zazdrość, a nawet nienawiść. Po przebadaniu całej partii towaru, przed odesłaniem go do bazy, pozwolono pracownikom laboratorium na dokonanie zakupów. Każdy mógł kupić tylko jedną wybraną sztukę. Zielonooki nie miał ani chwili wątpliwości, co do zakupu i kupił piękny pąsowy szal wykonany z mieszanki kaszmiru i jedwabiu. Ofiarował go Wiktorii na urodziny. W kieszonce fraka miał jeszcze pudełeczko z pierścionkiem, ale nie starczyło mu odwagi. Był jednak dobrej myśli, ponieważ Wiktorii nie tylko przyjęła jego prezent, ale okazała swoją radość i obdarzyła go promiennym uśmiechem.

Szef Laboratorium czyli dyrektor naczelny rozpiisał konkurs na swego pierwszego zastępcę, Zielonooki postanowił wziąć udział w konkursie, miał odpowiednie studia,

staż pracy i kompetencje. Minął tydzień i dyrektor wezwał go do siebie. Konkurs jeszcze nie został rozstrzygnięty, ale z powodu nagłego wyjazdu służbowego, szef musiał przekazać bieżące sprawy komuś zaufanemu. Zielonookiego cieszyła wiadomość, że tym zaufanym miał być właśnie on. Dyrektor przed wyjazdem wprowadził go w tajniki, wcześniej dla niego niedostępne. Niby wszystko było jasne, ale jakby nie do końca. Dowiedział się na przykład, że nie wolno mu pod żadnym pozorem wchodzić w piątki do pomieszczenia, do którego prowadziły z siłowni niewielkie drzwiczki zamknięte na specjalny kluczyk, który zawsze tkwił w zamku. Zielonooki chciał dowiedzieć się czegoś więcej, ale szef był nieugięty, powiedział, że lepiej będzie dla niego jeśli nie będzie znał wszystkich szczegółów. Potem był pożegnalny bankiet i Zielonooki zapomniał o wszystkim tańcząc z Wiktoria. Trochę niepokoił go fakt, że Wiktoria tańczyła też z Okoburą, który najwyraźniej starał się ją do czegoś przekonać. Tak przynajmniej można było wywnioskować na podstawie gestów. Zielonooki chciał podejść bliżej, ale otoczyli go koledzy gratulujący spodziewanego awansu. Nie mógł więc śledzić tańczącej pary.

Tymczasem Okobura przekonywał Wiktoria, że dla dobra narodu i państwa powinna koniecznie wejść nazajutrz, to znaczy w piątek do pomieszczenia znajdującego się za siłownią. Powiedział, że będą tam wtedy tajne materiały, mówiące o zagrożeniu, a konkretnie o planowanej na ich ojczyznę wielkiej inwazji krwiożerczych jednookich z wrogiej planety, na której panowała cywilizacja kierująca się zupełnie innymi wartościami. Przedstawiciele tej cywilizacji, dla których dobro oznaczało zło, a zło – dobro, postanowili wysłać najeźdźców na podbój Świetlistej Planety. Najeźdźcy, dla zmylenia czujności tajnych służb, będą udawać grupę wybitnych uczonych uciekających przed prześladowaniami z sąsiedniej galaktyki. Szczegóły akcji miały znajdować się nazajutrz w plikach komputera zamkniętego w pomieszczeniu za siłownią. Według Burasa tylko Wiktoria może tam wejść niepostrzeżenie z samego rana i skopiować pliki. On, Okobura będzie ją ubezpieczał. Te argumenty przekonały Wiktoria, ponieważ była gotowa uczynić wiele dla swojej ojczyzny.

Następnego dnia Zielonooki miał zacząć dzień od zwołania zebrania pracowników i przedstawienia im planu działania na najbliższy okres czasu, to znaczy na kolejne pięćdziesiąt lat. Dla ścisłości według kalendarza świetlistej planety chodziło tylko o cztery miesiące, ponieważ rok trwał tam sto pięćdziesiąt lat ziemskich, tyle ile obieg Świetlistej Planety wokół jej supersłońca. Plan Zielonookiego został zrealizowany z opóźnieniem z powodu zwykłego kaca, a może z jakichś innych powodów. Nie było to przez nikogo do końca wyjaśnione, ale niektórzy widzieli jak Załgorzata – siostra Okobury, w czasie bankietu, mieszała słomką w kieliszku Zielonookiego. Czy dosypała czegoś do kieliszka?

Tego nikt nie sprawdził. W każdym razie nasz bohater zaspął i w swoim gabinecie znalazł się z godzinnym opóźnieniem. Patrząc na zgromadzonych pracowników od razu zauważył brak Wiktorii i Burasa. Poczul coś jakby ścisnięcie serca ale prowadził dalej zebranie. Nie chciał zaszkodzić Wiktorii, więc na razie nikogo o nią nie pytał. Następnego dnia polecił sekretarce aby wezwała ją do gabinetu. Po chwili sekretarka drżącym głosem zameldowała, że Wiktoria zniknęła, nikt nie widział jej od wczoraj, nie można też znaleźć Okobury. Sprawdzono posterunki i szpitale, obydwójce przepadli, jakby zapadli się pod ziemię.

Zielonooki dłużej już nie słuchał, zerwał się i pobiegł do siłowni. Chciał przekręcić kluczyk do dalszego pomieszczenia, ale drzwi nie były zamknięte. Wewnątrz na krześle leżał purpurowy szal. To był prezent od niego. A więc nie ma wątpliwości, była tu ... w piątek, w dniu w którym nie wolno było wchodzić. Zielonooki był pewien, że stało się coś złego, coś czemu mógł zapobiec. Co może zrobić teraz? Zdecydował się, że wejdzie tu w najbliższy piątek. Jeśli coś złego spotkało Wiktoria – to jest to jedyna szansa aby znaleźć się tam, gdzie ona. Z tym postanowieniem wyszedł, zamknął drzwi, a kluczyk schował do kieszeni swojego szmaragdowego fraka. Przez kolejne dni utwierdził się w swym postanowieniu i na wszelki wypadek napisał list do szefa, opisał co się stało i co ma zamiar zrobić. List położył na biurku sekretarki o północy z czwartku na piątek. Potem poszedł do siłowni, otworzył drzwi kluczykiem i wszedł do środka.

Rano po przyjściu do pracy sekretarka zastała pusty gabinet, znalazła jednak list Zielonookiego i przesłała go natychmiast dalej drogą służbową.

Tymczasem Zielonooki po wejściu do tajemniczego pomieszczenia podszedł zdecydowanym krokiem do krzesła na którym leżał purpurowy szal. Dotknął go i w tym momencie osunął się na krzesło. Krzesło nagle zmieniło swoją pozycję i Zielonooki uległ deportacji. Po kilku sekundach, a w każdym razie po okresie czasu, który wydał mu się sekundami, znalazł się w dziwnym miejscu, którego nie rozpoznawał. Kiedy rozglądał się dookoła spostrzegł siedzącego przy biurku sierściucha, który miał na nosie grube okulary i przypominał mu jakąś znaną z literatury postać. Sierściuch przyjrzał się uważnie naszemu bohaterowi, po czym wyciągnął kartkę i staromodne wieczne pióro z kieszeni swojego czarnego futra.

- No więc – zaczął Sierściuch.

- Nie wiem gdzie jestem, ani czego szanowny pan ode mnie oczekuje – wyjąkał Zielonooki.

- Ach tak, tłumaczysz się pospolicie, jak inni – moje ty Zielone Oczko – odrzekł protekcyjnie Sierściuch. - Ale

znaj moje dobre serce. Pomogę ci, jeśli dobrze wywiązesz się z powierzonego ci zadania.

- Zrobię wszystko co trzeba i jak trzeba – służyście zameldował Zielonooki – tylko proszę o pomoc w odnalezieniu Wiktorii.

Sierściuch zamyślił się. – Co by tu mu dać do roboty, może kazać mu naprawić prymus – mrucał sam do siebie. W końcu zdecydował - Do jutra masz uporządkować pliki w tym komputerze, Pliki, foldery ... wszystko ma być w najlepszym porządku, wtedy zobaczymy.

Zielonooki pracował całą noc. Rano pliki były uporządkowane, pogrupowane tematycznie i zamknięte w folderach. Wszystko było na swoim miejscu. Teraz czekał na nadejście Sierściucha. Ten przybył w dobrym humorze i z pętem kabanosów pod pachą.

- Chciałem wziąć łososa w skórce, jesiotra super świeżości albo serdelki z mysiej polędwicy, ale nie wiem czy lubisz, więc jedz to, co przyniosłem – powiedział i wyciągnął jeszcze z kieszeni futra bardzo długą bagietkę. A może najpierw chcesz wypić kawkę z rogalikiem – zaraz każę przynieść sekretarce – dorzucił z uśmiechem pod wąsem. Potem zajął do komputera – W porządku – stwierdził – oby nam tylko znowu nie siadła elektronika, te wyładowania na superśłońcu są nieprzewidywalne, a wróg czuwa...

- Czy mogę przypomnieć moją sprawę – udało się wreszcie wtrącić Zielonookiemu.

- Ależ tak, moje drogie Zielone Oczko, mogę cię wyprawić śladem damy, która zapomniała swego purpurowego szala, bo o to ci chodzi, Czyż nie tak?

- O tak, właśnie tego pragnę – krzyknął Zielonooki, zapominając o kawie, rogaliku, kabanosach i bagietce.

- A więc usiądź na tym fotelu, pomknij on za twoją wybranką. Jest tylko jeden problem, kiedy znajdziesz się już na miejscu – będziesz wyglądać tak jak ja.

- Oooh, jęknął Zielonooki. A czy to będzie nieodwracalne – zapytał.

- Tego nie powiedziałem, odparł Sierściuch. Tylko wiesz, że możesz nie zdążyć wrócić do poniedziałku i co wtedy będzie z twoim awansem? To jak – decydujesz się?

- Tak, proszę – cicho powiedział Zielonooki i usiadł w fotelu.

Fotel jakby podskoczył, odbił się od podłogi, wleciał w jakiś dziwny tunel i popędził razem z siedzącym w nim Zielonookim. Po pewnym czasie zatrzymał się, a Zielonooki zeskokczył z niego od razu na swoje cztery łapy. Przeciągnął się, wygiął grzbiet, a potem rozejrzał się po okolicy. Był na drodze w sosnowym lesie. Wiedział, że to las, bo widział już

kiedyś takie zielone duże organizmy na zdjęciach przywiezionych z odległych ekspedycji. Zobaczył jeszcze coś niewyraźnie, w oddali, podbiegł aby sprawdzić co to takiego. Małe pomieszczenie na czterech kołach. W środku siedziała istota z jasnymi, długimi włosami – to przecież Wiktorii, tylko jakoś dziwnie ubrana i uczesana... Drzwiczki były uchylone, Zielonooki wskoczył i niepostrzeżenie przysiadł na podłodze. Nagle nadszedł jeszcze ktoś, najwyraźniej podobny do Okoburasa.

- Jak chcesz mieć kota, to go trzymaj – powiedział do Wiktorii.

- Jak to mieć? Mieć kota? Jedno zdanie, a co najmniej trzy głupstwa... No tak, zapomniałem, przecież jestem kotem – myślał nerwowo Zielonooki. Jestem kotem ale nie rzeczcią. Dlaczego ten Brudas, ten nikt nie odnosi się do mnie z szacunkiem i dlaczego nie pyta czego ja chcę? Ale teraz to nieważne! przecież odnalazłem Wiktorię. Tylko jak jej powiedzieć że to ja?

W tym momencie Wiktorii wzięła zielonookiego kota na rękę, pogłaskała go i pocałowała w pyszczek – jeśli nie ucieknie przez trzy dni, będzie nasz – szepnęła.

- Nie ucieknę – przecież to ciebie szukałem po krętych drogach obydwu znanych mi wszechświatów – krzyczał w myślach Zielonooki, ale nie był w stanie wydobyć z gardła ani jednego słowa, a tylko ciche mruczenie.

Po trzech dniach Wiktorii zawiozła Zielonookiego do swojego domu. Zachowywała się tak, jakby mieszkała tu od zawsze i jakby Okoburas był jej mężem. Tego Zielonooki nie mógł pojąć. W końcu zrozumiał, że Wiktorię najwyraźniej zczarowano i spowodowano u niej utratę pamięci. Być może to podła Załgorzata, siostra Burasa, podała jej na bankiecie zatruty napój? Tego mógł się tylko domyślać.

- Co mam teraz robić – zastanawiał się Zielonooki kiwając się nad miseczką pełną kocich przysmaków. Powinienem stoczyć walkę z Okoburasem – tylko jak? i skąd Wiktorii będzie wiedziała, że to ja i że walczę o nią?

Z tymi myślami położył się spać, a sypiał teraz luksusowo na puchowej kołdrze Wiktorii. W nocy przyśnił mu się Sierściuch.

- No i jak ci się wiedzie? - zagadnął. Tak wiem, masz problemy związane ze swoją osobowością, a także z brakiem pamięci Wiktorii. No i jeszcze jest ten brudas Okoburas. Zapewne domyślasz się, że wszystko co się wydarzyło jest jego sprawką. To on jest zdrajcą i sprzedawczykiem. Uważaj, ma on oddaną siostrę Załgorzatę, ma też pomocnika, który jest zmiennokształtny, może wyglądać nawet tak jak ty jeśli tylko zechce. Otóż jeśli stoczysz z Burasem wygraną walkę – nastąpi zamiana ról – on stanie się sierściuchem, a ty odzyskasz swój dawny wygląd. Żebyś wiedział, że nie jest

to tylko sen – masz tu czarodziejski amulet, to figurka kota wyrzeźbiona w trójwarstwowym sardonyksie. Po wygranej walce dotkniesz amuletem swojego lewego policzka, a potem lewego policzka Wiktorii – wtedy czary przestaną działać i będziecie znowu tacy jak dawniej na Świetlistej Planecie.

- A co, jeśli przegram walkę?

- Tego nie chcesz wiedzieć – skwitował pytanie Sierściuch i rozpląnął się w porannej mgle.

Zielonooki obudził się z czarodziejskim amuletem w prawej dłoni, a właściwie w prawej łapce.

Walka... musi ją stoczyć i wygrać, tylko jak? Przygotowywał się cały dzień i kiedy Okoburas wrócił na obiad, rzucił się na niego bez uprzedzenia. Wprawił w ruch swoje pazury i zęby, mocno poharatał przeciwnika. Burooki miał dosyć – podniósł ręce w geście poddania. Wtedy Zielonooki szybko dotknął amuletem swego policzka i powrócił do dawnej postaci, a Buras przemienił się w sierściucha. W tym momencie weszła Wiktorii z wazą zupy ogórkowej, weszła, spojrziała i zatrzęsa się z gniewu.

- Co pan zrobił z moim kotkiem – zapytała Zielonookiego, najwyraźniej go nie poznając i wskazując łyżką wazową na skulonego i liżącego rany burookiego sierściucha.

Postawiła wazę na stole, ale w tym samym momencie potknęła się o nierówno położony dywan. Zielonooki chciał ją podtrzymać i uczynił to tak niezręcznie, że skaleczył się o zameczek jej bransoletki. Nie zważał jednak na swoją kontuzję i szybko dotknął amuletem lewego policzka Wiktorii. Skutek był natychmiastowy – Wiktorii odzyskała pamięć. Zielonooki zrobił to dosłownie w ostatniej chwili, bowiem w tym samym momencie rzucił się na niego Zmiennokształtny. Wyglądało to tak jakby bił się sam ze sobą, ponieważ Zmiennokształtny przybrał jego postać. Wiktorii przyglądała się tej scenie, nie wiedząc co ma robić. W końcu Zmiennokształtny zaczął odnosić przewagę i Zielonooki musiał salwować się ucieczką.

Następnego dnia Zmiennokształtny oświadczył się Wiktorii i o mało co nie został przyjęty. Na szczęście Wiktorii przypomniała sobie, że Zielonooki skaleczył się o jej bransoletkę, tymczasem Zmiennokształtny nie miał na dłoni żadnego zadrapania. Wiktorii zaczynała domyślać się intrygi i spisku i dlatego zamieściła, na swoim profilu na Facebooku, zagadkę. Napisała, że ten kto ją rozwiąże otrzyma nagrodę. Zagadka brzmiała następująco: czym różni się wygląd Zielonookiego od wyglądu jego fałszywego sobowtóra? Bardzo szybko dostała odpowiedź i zdjęcie Zielonookiego z zadrapaniem na prawej dłoni.

Czarodziejski amulet przydał się jeszcze raz i spowodował, że wszyscy to znaczy: Zielonooki, Wiktorii, Okoburas w skórze pospolitego sierściucha i Zmiennokształtny, który

bezsukutecznie usiłował przybrać wygląd różanego krzewu, albo kryształowej kuli – wszyscy oni znaleźli się w odpowiednim momencie na specjalnej zaczarowanej kanapie. Zadzwoił leśny fiołkowy dzwoneczek i na kanapę wskoczył jeszcze jeden Sierściuch, tym razem ten prawdziwy, u którego Zielonooki kiedyś porządkował pliki. Kanapa jęknęła, podskoczyła i niczym dywan latający przeniosła wszystkich do królestwa na Świetlistej Planecie. A tam okazało się, że prawdziwy Sierściuch naprawdę jest szefem laboratorium i jednocześnie ojcem Wiktorii. Stosując odpowiedni kamuflaż wykonywał on tajną misję związaną z obronnością superkrólestwa. Misja zakończyła się powodzeniem, a jej uczestnicy, w tym Zielonooki, mieli dostać ordery od władcy Świetlistej Planety. Zielonooki skorzystał z okazji i poprosił swego szefa i rękę jego córki. Otrzymał ją razem z władzą nad połową laboratorium.

Następnie wyprawiono huczne wesele, na które zostali zaproszeni wszyscy z wyjątkiem Burookiego i Zmiennokształtnego, a także asystentki Załgorzaty. Ci zostali wtrąceni do lochu i za karę musieli tam jeść przez kilka lat wyłącznie zupę z brukwi i z pazurów ośmiorniczek, do tego bez szczypty soli. W lochu było dość zimno, a na ścianie wisiał napis – sorry, taki mamy klimat. To była kara za korupcję, zdradę ojczyzny i ideałów i inne nieczne czyny jakich się dopuścili członkowie zbyt pewnej siebie kliki.

Wesele trwało trzy dni i trzy noce. Wiktorii wystąpiła w srebrzystej długiej sukni i w purpurowym szalu, miała też purpurowe pantofelki. Zielonooki prezentował się wspaniale w ciemnoszarym fraku. Wszystkie drużyny dostały w prezencie od ojca panny młodej po pięknym jedwabnym szalu, a drużbowie otrzymali jedwabne muchy. Tańce trwały, tak długo jak tylko się dało, a jedyną dziwną rzeczą była postać pojawiającego się chwilami wodzireja w grubych okularach i czarnym futrze.

Przed ostatnim tańcem nastąpiła przerwa, w czasie której Zielonooki otrzymał medal za pomoc w wykryciu spisku skierowanego przeciwko królestwu Świetlistej Planety. Okazało się bowiem, że jego walka z Okoburasem uniemożliwiła temu ostatniemu skontaktowanie się z przywódcą grupy najeźdźców. Zamiast Burasa na spotkanie z wrogiem udał się szef laboratorium w swoim czarnym futrze i doprowadził do pojmania najeźdźców przez odpowiednie służby. W Świetlistym Królestwie zapanował oczekiwany od dawna pokój, a wszyscy obywatele mogli nareszcie cieszyć się poczuciem bezpieczeństwa.

Shczęście Wiktorii i Zielonookiego nie miało granic, a szef laboratorium cieszył się patrząc na nich przez swoje różowe okulary.

KONIEC



Przemysław Gwoździowski (1936-2005) – koncert Czerwono-Czarnych w sali GKO w Krakowie, 16 I 1961, fot. Andrzej Słowik; ze zbiorów Elżbiety Gwoździowskiej

ANDRZEJ BOGUNIA-PACZYŃSKI



CZERWONO-CZARNI REAKTYWACJA PO KRAKOWSKU

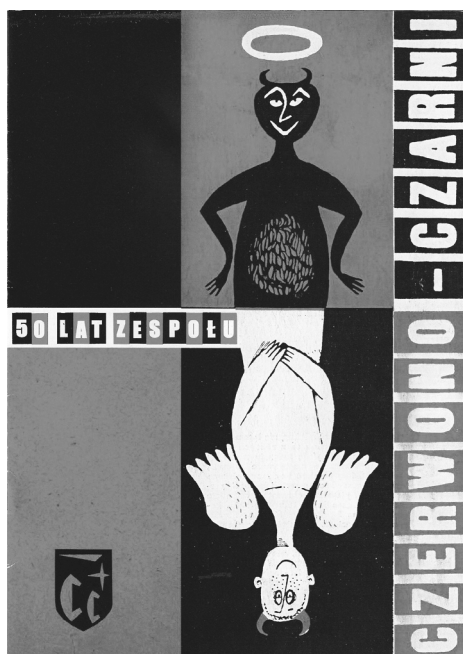
Informacji o okresie krakowskim w historii Czerwono-Czarnych próżno by szukać w „Encyklopedii Polskiej Muzyki Rockowej”, w „Encyklopedii Polskiego Rocka” czy w „Leksykonie Polskiej Muzyki Rozrywkowej”. Również w najnowszym, monumentalnym opracowaniu R. Stinzinga i A. Ichy „Motława-Beat. Trójmiejska scena big-beatowa lat 60.” nie ma na ten temat ani słowa. I jedynie Marek Gaszyński, autor monografii „Mocne uderzenie: Czerwono-Czarni” wspomina, że jesienią 1960 r. zespół zawiesił działalność („bo praktycznie nie miał kto grać”), przytacza fragment listu F. Walickiego do P. Gwoździowskiego z 10 listopada 1960 r., w którym założyciel zespołu zachęca do utworzenia nowej grupy („Jest propozycja utworzenia nowego, klasowego zespołu... Czerwono-Czarni nie byli tym zespołem, o jakim od dawna myślę... Wydaje mi się, Przemku, że mógłbyś stworzyć doskonały zespół big-beatowy jakiego w Polsce jeszcze nie było...”) i cytuje wypowiedzi dwóch członków zespołu – W. Bernolaka („Pojechaliśmy do Krakowa, bo stamtąd Przemek pochodził i znał tamtejszych muzyków... Przemek wyrastał na lidera w zespole i to on miał decydujący głos, jeśli chodzi o nowych muzyków...”) i J. Knapa („Rozpoczęliśmy próby w Klubie Oficerskim w Krakowie... Zaczęliśmy od trzech koncertów w Krakowie, a potem organizatorzy wysłali nas do Warszawy...”).

Gwoździowski dał się przekonać red. Walickiemu i energicznie przystąpił do ratowania zespołu – siłami krakowskimi – zapobiegając jego rozpadowi. Zajął mu to niespełna miesiąc – w wywiadzie dla lipcowego numeru „Jazzu” w 1962 r. tak o tym mówił:

„Zespół Czerwono-Czarni powstał w lecie 1960 roku [inauguracyjny koncert w gdańskim Klubie Studentów Wybrzeża „Żak”, 23 VII 1960 – przyp. A. B.] na Wybrzeżu. Inicjatorem był red. Franciszek Walicki z „Głosu Wybrzeża”. Graliśmy najpierw w gdańskim „Żaku”, a potem objeżdżaliśmy Łódzkie i Kieleckie. Na jesieni zespół się rozleciał, bo w orkiestrze grało paru studentów, którzy „uwiązani” byli na uczelniach. W grudniu reaktywowałem zespół...”

Jak zatem Gwoździowski reaktywował zespół? Co działo się z Czerwono-Czarnymi na początku 1961 roku?

Wiemy na pewno, że z dniem 1stycznia 1961 r. nowym kierownikiem muzycznym Zespołu Rozrywkowego „Czerwono-Czarni” Gdańskiego Jazz-Clubu przy Klubie Studentów Wybrzeża „Żak” – bo tak brzmiała pełna nazwa grupy stworzonej i kierowanej przez Franciszka Walickiego – mianowany został 24-letni



Okładka programu jubileuszowego koncertu „50 lat Czerwono-Czarnych” (23 VII 2010) z znakiem graficznym zespołu zaprojektowanym przez Jacka Fedorowicza w 1960 r.



Czerwono-Czarni w 1961 r.; od lewej: Marek Tarnowski, Wiesław Katana, Przemysław Gwoździowski, Jan Knap, Wiesław Bernolak, Michaj Burano, Janusz Godlewski; ze zbiorów autora

Przemysław Gwoździowski, saksofonista, kompozytor i aranżer, od połowy lat 50. związany z klubami jazzowymi Krakowa i Nowej Huty, współzałożyciel nowohuckiego Kolorowego Jazzu (1955), lider grupy Hot-Combo (1959) i członek Czerwono-Czarnych od początku ich istnienia (1960).

Zostało nas dwóch... – wspomina w swojej książce Wiesław Bernolak – Przemek Gwoździowski, który jednocześnie stał się kierownikiem muzycznym, no i ja – oraz soliści (...). Potrzebowaliśmy trzech muzyków. Przemek znał środowisko muzyczne w Krakowie, więc zaproponował, że tam poszuka. To okazało się dobrym posunięciem. („Bernolak boogie”, 2009).

Gwoździowski rzeczywiście dobrze znał tutejsze środowisko, szybko więc znalazł pianistę, kontrabasistę i perkusistę. W pierwszych dniach stycznia 1961 r. do Krakowa przyjechali Walicki i Bernolak, Estrada krakowska pożyczyla niezbędny sprzęt i reaktywowani Czerwono-Czarni rozpoczęli próby w sali balowo-teatralnej na I p. Garnizonowego Klubu Oficerskiego w Krakowie (upamiętnionej wcześniej występami legendarnego kabaretu „Siedem Kotów” Gałczyńskiego i Eilego). Zespół grał w nowym, skompletowanym przez Gwoździowskiego składzie: Tomasz

Śpiewak (piano) – absolwent krakowskiego liceum muzycznego, student muzykologii UJ, Gustaw Gabor (kontrabas) – członek kierowanej przez J. Gerta Orkiestry PR w Krakowie, Jan Knap (perkusja) – student PWSM w Krakowie, Wiesław Bernolak (gitara elektryczna) i Przemysław Gwoździowski (saksofon tenorowy, akordeon, kierownictwo muzyczne). Po kilku dniach do tak sformowanej sekcji dołączyli soliści: Michaj Burano, Janusz Godlewski, Andrzej Jordan (jedyny w składzie C-C członek grupy RAB, 1959) i Marek Tarnowski.

Nie pracowano nad nowym repertuarem – były to te same rockandrollowe i rhythmandbluesowe standardy, które wykonywał pierwotny skład C-C (i właściwie te same, co RAB), czyli utwory wielkiej czwórki: Presley, Halley, Steele, Anka. Chodziło o to przede wszystkim, żeby dobrani przez Gwoździowskiego muzycy zgrali się ze sobą. Po dwóch tygodniach zespół, z nową sekcją złożoną z – podkreślmy – czterech muzyków z Krakowa plus jeden Bernolak z Wybrzeża, był gotowy do występu.

W piątek, 20 stycznia 1961 r. o godz. 19.00, odnowieni Czerwono-Czarni pod wodzą Przemysława Gwoździowskiego po raz pierwszy zagrali w hali Garaży w Nowej Hucie.

– Wczoraj w nowohuckiej hali Garaży odbył się przy wypełnionej widowni pierwszy występ zespołu Czerwono-Czarnych z gdańskiego Jazz-Klubu... – pisał nazajutrz „Głos Nowej Huty” – Atmosfera spotkania z młodymi melomanami jazzu była gorąca, co w warunkach niedostatecznie ogrzanej sali pozwoliło na podwyższenie temperatury ‘z minus na plus’. Szczególnie ‘na plus’ wypadli piosenkarze zespołu: Marek Tarnowski, Andrzej Jordan i Janusz Godlewski. Czerwono-Czarni jako jedyny zespół w Polsce grający w stylu ‘Big-Beat’, znamionującym się (dosłownie: silnym uderzeniem) mocnym rytmem. (...) Nastrojowość i ekspresję pogłębiała gra kolorowych świateł. Publiczność nowohucka przyjęła zespół spontanicznie, zachowując jednak umiar w wyrażaniu swego entuzjazmu.

W sobotę, 21 stycznia, również o godz. 19.00, Czerwono-Czarni zagrali po raz drugi, tym razem w hali Korony w Podgórzu. „Dziennik Polski” w poniedziałkowym wydaniu informował w krótkiej notatce:

– W piątek w Nowej Hucie i w sobotę w Podgórzu wystąpił zespół Czerwono-Czarni z gdańskiego Jazz-Klubu grający w stylu „Big-Beat” tzn. mocnym rytmem. Publiczność gorąco oklaskiwała wszystkich wykonawców, a zwłaszcza pieśniarzy: Marka Tarnowskiego, Andrzeja Jordana i Janusza Godlewskiego”.

Te dwa koncerty w hali Garaży i w hali Korony, to była pierwsza prezentacja big-beatu w naszym mieście, to była próba generalna przed wyjazdem zespołu do Warszawy i ogólnopolską premierą Czerwono-Czarnych początkującą ich tryumfalny rajd po estradach całego kraju. To tu właśnie – w Nowej Hucie i w Podgórzu – nastąpiło pierwsze mocne uderzenie nowej muzyki i tu rozpoczął się big-beatowy podbój Polski.

To wszystko zawdzięczamy Przemysławowi Gwoździowskiemu. Inicjatywa wyszła oczywiście od Walickiego, ale gdyby nie szybka i skuteczna akcja Gwoździowskiego, Czerwono-Czarni podzieliliby los grupy Rhythm And Blues, która zakończyła działalność po niespełna roku istnienia.

*

Piszący te słowa – będąc przekonany zarówno o doniosłym znaczeniu epizodu krakowskiego w historii pierwszego polskiego zespołu big-beatowego, jak i o osobistej zasłudze Przemysława Gwoździowskiego, który doprowadził do wznowienia działalności Czerwono-Czarnych z udziałem muzyków z Krakowa – podjął starania o pozyskanie dodatkowych informacji na temat prób i koncertów C-C w styczniu 1961 r. W tym celu w roku 2010 i 2011 – a więc w 50 lat od czasu powstania zespołu – kontaktował się, rozmawiał i korespondował z: Franciszkiem Walickim, Wiesławem Bernolakiem, Gustawem Gaborem, Andrzejem Jordanem, Janem Knapem, Tomaszem Śpiewakiem, a także z p. Elżbietą Gwoździowską. Mimo iż udzielenie odpowiedzi na

szereg szczegółowych pytań dotyczących wydarzeń sprzed pół wieku, sprawiło indagowanym trudność niekiedy nie do pokonania (Franciszek Walicki, w miłej i zaszczytnej dla autora rozmowie, zechciał wyznać, że „nie jest nawet pewien, czy był wtedy, w styczniu 1961 roku, w Krakowie...”), niemniej jednak udało się uzyskać kilka nowych, wartych odnotowania informacji.

Wiesław Bernolak:

(...) Odpowiem teraz na Pańskie pytania. W pierwszych dniach stycznia 1961 roku zjechaliśmy do Krakowa. Pan Walicki przyjechał z człowiekiem, który przywiózł aparaturę do śpiewania i miał nagłaśniać koncerty. Aparaturę tę skompletował p. Wielochowski [Bohdan Wielochowski – realizator dźwięku, akustyk zespołów: Rhythm And Blues, Czerwono-Czarni i Niebiesko-Czarni, konstruktor i budowniczy pierwszych w Polsce wzmacniaczy gitarowych i kolumn głośnikowych – przyp. A. B.], elektryk z Domu Kultury w Gdyni, gdzie odbywały się pierwsze próby w 1960 r. Ja przyjechałem z gitarą „Jolana-Gratiosa” i zrobionym przez p. Wielochowskiego wzmacniaczem do gitary 40 W. W Krakowie zakwaterowano nas w hotelu Warszawskim niedaleko dworca kolejowego. Ze starego składu byłem ja i Przemek Gwoździowski, który został kierownikiem muzycznym zespołu. Soliści ci sami, co w pierwszym składzie C-C, tzn. Tarnowski, Jordan i Godlewski, trochę później dojechał Burano. Próby odbywały się w Klubie Oficerskim w sali teatralnej na piętrze. Około dwa tygodnie próbowaliśmy, budując program planowanych koncertów. Przemek i p. Walicki ułożyli program podobny do tego, jaki graliśmy w pierwszym składzie. Każdego dnia przy pomocy magnetofonu z nagraniami oryginalnymi wprowadzaliśmy nowych kolegów do stylu, jaki powinien prezentować zespół C-C. Nowymi muzykami byli: Tomek Śpiewak – pianista, student muzykologii UJ, Gustaw Gabor – basista i skrzypek z Big-Bandu radiowego J. Gerta w Krakowie, zaś na perkusji zaczął z nami grać Janek Knap, który wcześniej grał w restauracji Patria w Zakopanem. O ile dobrze pamiętam, to najpierw zagraliśmy koncert w Klubie Oficerskim dla zaproszonych gości, później koncerty w mniejszych miastach województwa krakowskiego, potem graliśmy w samym Krakowie. (...) Jeżeli chodzi o repertuar, to w większości akompaniowaliśmy solistom. Przemek i ja graliśmy dla urozmaicenia parę instrumentalnych utworów, ale było to może 5 proc. całego repertuaru. Tarnowski śpiewał swingujące utwory, takie jak „Elevator Rock” lub inne z repertuaru B. Haleya, Godlewski dobrze śpiewał pod T. Steele’a, Ch. Berry’ego i E. Presleya, Jordan śpiewał przeważnie w duecie z Tarnowskim piosenki z repertuaru popularnych wtedy The Everly Brothers, a Burano żywiłowe piosenki Presleya i przerobione rytmicznie piosenki francuskie, na przykład walc „Padam, padam” (z polskim tytułem zmienionym na „Madame, madame”)

grany przez nas w rytmie szybkiego swinga z mocnym akcentem na 2 i 4; Burano śpiewał też ballady po cygańsku (m. in. melodię z filmu „Czarny Orfeusz”). (...) Repertuar zrobiony wtedy w Krakowie grany był częściowo przez kilka następných lat. (...) Jeśli chodzi o instrumenty, to ja, jak już wspomniałem, miałem gitarę „Jolana-Gratiosa”, Przemek saksofon „Selmera” (pamiętam, że kupił kiedyś ustnik Berg Larsena, ponoć rewelacyjny), Gustek Gabor woził swój wielki kontrabas, Jasio Knap grał na perkusji produkcji Szpaderskiego z Łodzi. (...) Ubrani byliśmy wszyscy w czerwone marynarki, czarne spodnie, pod marynarką biała koszula z czarną muszką. (...) Estrada krakowska zapewniała nam transport i hotele. Jeździliśmy tzw. „Stonką”, gdzie w kącie stał mały piecyk na węgiel, który ogrzewał nas podczas dojazdów na koncerty. Niestety, nie posiadam żadnych zdjęć z tego „krakowskiego” stycznia 1961 r. – sytuacja ekonomiczna każdego z nas nie była dobra i nikt z nas nie miał nawet aparatu fotograficznego. Poza tym chyba nie traktowano nas poważnie i nie było wielu chętnych na utrwalenie tego, co się działo na naszych koncertach. Nie możemy też zapomnieć o presji ze strony władzy i opinii tych, co pisali recenzje i artykuły o „śmiałkach”, którzy odważyli się na granie Rock and Rolla. To jest wszystko, co pamiętam z tego okresu... (Malmö, 10 XII 2010).

Po dokładnym przeanalizowaniu informacji przekazanych przez W. Bernolaka i opierając się na wynikach szczegółowej kwerendy prasy krakowskiej oraz innych dokumentów archiwalnych możemy dokonać tu istotnych uzupełnień. Przede wszystkim uznać należy, że **pierwszy koncert Czerwono-Czarnych w Krakowie – jako pierwsza prezentacja muzyki beatowej w naszym mieście – odbył się w dniu 16 stycznia 1961 r. o godz. 18 w sali Garnizonowego Klubu Oficerskiego przy ul. Bitwy pod Lenino (dziś M. Zybkiewiczza)**. Cennym wzbogaceniem ikonografii C-C i znakomitą ilustracją tego historycznego – bo początkującego przecież w Krakowie erę big-beatu, czyli grania „mocnym rytmem” – wydarzenia okazało się odnalezienie w archiwum rodzinnym p. Elżbiety Gwoździowskiej jednego, niepublikowanego dotąd zdjęcia przedstawiającego Przemysława Gwoździowskiego podczas koncertu w dniu 16 stycznia 1961 r.

Nazajutrz po inauguracyjnym występie (zamkniętym, wstęp był tylko dla osób zaproszonych) zespół wyruszył „Stonką”, czyli należącym do Estrady Krakowskiej, pomalowanym na żółto ciężarowo-osobowym „Lublinek”-51/GAZ, w pierwszą trasę po województwie krakowskim i odwiedził kolejno: Andrychów (17 I), Rabkę (18 I) i Nowy Targ (19 I), po czym wrócił na koncerty do Krakowa (20-21 I).

Andrzej Szmilichowski (Jordan):

Miły imienniku! Niestety niewiele będę Ci mógł pomóc, ale ponieważ „wiele” składa się z całej masy różnych „niewiele”...

Archiwum nie mam i nigdy nie miałem, ot młodzieńcza niefrasobliwość. Gdzie by mi wtedy mogło przyjść do głowy, że warto cokolwiek zbierać! Pamiętam natomiast koncerty w Rabce i Nowym Targu. Szczególnie w Rabce, gdzie przyszedł do mnie po koncercie chłopak cały w wypiekach i pokazał dowód osobisty, a w nim jak byk – ANDRZEJ JORDAN! Bardzo był rozczarowany, że nie jesteśmy rodziną. Dodam nawiasem, że ów rabkowski Jordan naszedł mnie, gdy siedzieliśmy z Przemkiem Gwoździowskim przy kolacji (zaprosili nas Wojtek – Sharon Tate i cała ta tragedia – i Ewa Frykowscy, w wózecku spał ich synek, ten co gdy dorósł związał się z Wajdówną i w niewyjaśnionych okolicznościach został zasztyletowany, a jego matka Ewa wyszła za Michaja Burano itd. itp.). Przemka widziałem ostatni raz wiele lat temu, na koncercie dinozaurów w Operze Leśnej. Lubilem go bardzo – ten chłopak miał charyzmę! Sprawiała mi wielką przykrość wiadomość, że zmarł... (Sztokholm, 9 VIII 2011).

Tomasz Śpiewak:

Postaram się odpowiedzieć na chociaż niektóre z Pańskich pytań. A więc – próby były w styczniu 1961 r. w Krakowie, w GKO, tam był też pierwszy koncert. Skład zespołu: Przemysław Gwoździowski – sax tenor, Wiesław Bernolak – gitara elektryczna, Augustyn (Gustek) Gabor – kontrabas, Jan Knap – perkusja, Tomasz Śpiewak – fortepian). Z wyjątkiem Bernolaka (z Gdańska) wszyscy inni z Krakowa, Gabor z Nowej Huty, Gwoździowski z Wieliczki. Wszyscy graliśmy w lokalach Nowej Huty: ja, Gabor i Knap w Arkadii, Gwoździowski chyba w Stylowej. No, i soliści: Tarnowski, Godlewski, Jordan (z Rhythm And Blues) i Burano. Daliśmy koncerty w Krakowie i w Nowej Hucie, a potem pojechaliśmy w objazd po województwie krakowskim, ale gdzie dokładnie, to już nie pamiętam. Był to zespół właściwie akustyczny, jedynie Bernolak miał wzmacniacz 40 W, ale i tak było za głośno. Potem oni wyjechali do Warszawy, a ja wróciłem na muzykologię na UJ. Przykro mi, że niewiele mogę Panu pomóc, nie mam niestety żadnych zdjęć z tego okresu. Wszystko to traktowałem trochę tymczasowo – pomagałem Przemkowi Gwoździowskiemu w organizacji zespołu. Studiowałem wtedy na UJ i nie mogłem dużo jeździć. Tak że do Warszawy wtedy nie pojechałem, pojechałem dopiero w kwietniu nagrywać pierwszą płytę, pamiętam jak dziś... „When the Saints go marching in” – to była moja aranżacja dla Czerwono-Czarnych... A potem w wakacje, do Sopotu, gdzie grałem w pierwszym Non-Stopie... (Melbourne, 8 I 2011; spotkanie w Krakowie, 26 IX 2011).

Jan Knap:

Panie Andrzeju, witam serdecznie... Wszystkie podane przez Pana fakty i wiadomości na temat naszych pierwszych prób i koncertów w Krakowie i województwie krakowskim są autentyczne. Niestety nie mam dokładnych danych na temat naszych pierwszych koncertów tzw. krakowskiej trasy koncertowej, chyba musi się Pan oprzeć na informacjach Wiesława

Bernolaka. Jedynym człowiekiem, który może mieć jakieś notatki, jest Franciszek Walicki, a więc założyciel Czerwono-Czarnych. (...) Odnalazłem również kontrabasistę z pierwszego składu C-C, Gustawa Gabora. Rozmawiałem z nim przed chwilą, mieszka też w Niemczech, obiecał, że wspólnie z małżonką postarają się przypomnieć sobie, jak to wtedy było. Niestety, on nie korzysta z internetu, ale jest gotów przyjechać nawet do Krakowa (mieszka tam jego rodzina) i spotkać się z Panem. Łączę serdeczne pozdrowienia i życzę również powodzenia w tym trudnym zadaniu odtworzenia tak odległej historii naszego zespołu... (e-mail, 9 II 2011).

Gustaw Gabor:

(...) Podczas koncertu Czerwono-Czarnych w hali Garaży ludzie, widząc grających w zespole muzyków znanych im z występów w lokalach tanecznych Nowej Huty, m. in. w Arkadii, w pewnym momencie zaczęli skandować: „Ar-ka-dia! Ar-ka-dia!”... (tel., 29 V 2011).

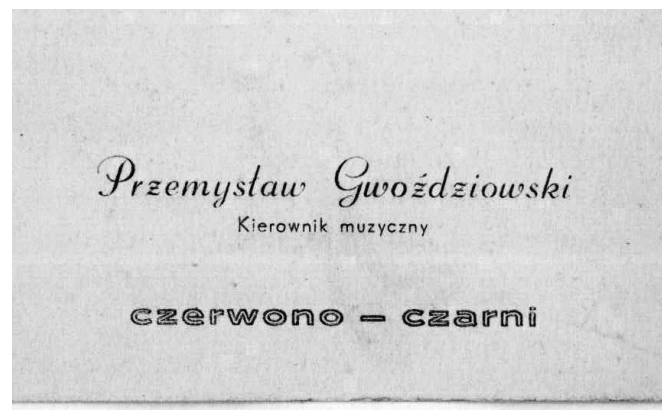
Dodajmy – te same okrzyki dało się słyszeć rok później podczas drugiego koncertu Czerwono-Czarnych w Nowej Hucie (7 I 1962), gdy w składzie zespołu pojawił się, obok Gwoździowskiego i Knapa, również pochodzący z Nowej Huty, znany z występów w orkiestrach tanecznych grających w restauracji Arkadia, niezwykle tu popularny, Józef Krzeczek – multiinstrumentalista, lider nowohuckiego Kolorowego Jazzu, przyszedł kierownik muzyczny i kompozytor wielu przebojów C-C. Tydzień później w na koncercie w Bochni zadebiutował kolejny krakowianin wprowadzony przez Gwoździowskiego – Toni Keczer, czyli Antoni Kaczor z Podgórze, założyciel i śpiewający gitarzysta grupy Quirino. Nie można też zapomnieć, że w składzie C-C – ciągle zmieniającym się – pojawiał się wtedy jeszcze jeden pianista z Krakowa, także odkryty przez Gwoździowskiego – Zbigniew Podgajny, wkrótce współtwórca i lider Niebiesko-Czarnych.

*

Zgrupowanie krakowskie i koncerty w styczniu 1961 r. – poprzedzające serię warszawskich występów w Kongresowej, nagranie pierwszej polskiej płyty rockandrollowej i inaugurację sopockiego Non-Stopu – były dla Czerwono-Czarnych swoistym obozem kondycyjnym i próbą generalną, a repertuar przygotowany wtedy przez skład krakowski zespół wykonywał – jak pisze W. Bernolak – przez kilka następnych lat. Nie byłoby to możliwe gdyby nie skuteczna akcja Przemysława Gwoździowskiego wspieranego przez gdańszczanina Wiesława Bernolaka i krakowianina Tomasza Śpiewaka, dzięki którym spełniło się marzenie red. Walickiego i pierwszy polski zespół grający „w stylu big-beat” rozpoczął – od Krakowa właśnie – swój tryumfalny pochód przez Polskę.

Czerwono-Czarni w ciągu 16 lat istnienia wylansowali kilkudziesiąt niezapomnianych przebojów, nagrali 95 płyt, jako najstarszy i najbardziej doświadczony polski zespół zagrali przed The Rolling Stones w Sali Kongresowej (1967). Przewinęło się przez Czerwono-Czarnych wielu, ponad 70, znanych muzyków – instrumentalistów i wokalistów – występujących w kolejnych 47, jak obliczono, składach. Ambitni prekursorzy mocnego uderzenia po praktyce w C-C zasílali potem inne nowo powstające zespoły albo zakładali własne; tak pojawiły się, warto przypomnieć, kolejne formacje: Luxemburg-Combo Godlewskiego i Keczera, Niebiesko-Czarni Podgajnego, Polanie Bernolaków i Puławskiego, Trubadurzy Poznakowskiego, Bizony Bizonia... itd. „Muzyk to marny, co nie grał w Czerwono-Czarnych”... – żartuje dzisiaj, nie bez satysfakcji, Ryszard Poznakowski. Wszystko zaczynało się więc od Czerwono-Czarnych – kontynuatorów pionierskiego dzieła grupy Rhythm And Blues (1959), rockandrollowej forpoczty w naszym kraju, pierwszego „dziecka” red. Franciszka Walickiego, Ojca polskiego big-beatu.

Nie można zapominać, że w początkowym, trudnym momencie narodzin zespołu i pierwszych miesięcy amatorskiej działalności, o jego dalszym istnieniu zadecydowały upór i konsekwencja ambitnego, utalentowanego i muzycznie, i organizacyjnie lidera z Krakowa, Przemysława Gwoździowskiego.





BARBARA WYRZYCKA

DAROWIZNA

Jeszcze kilka zakrętów i według wskazań GPS będziemy na miejscu. Poczulałam ulgę. Kierowanie minibusem to jednak coś innego niż prowadzenie samochodu osobowego.

– Dojeżdżamy! – powiedziałam i uśmiechnęłam się do siedzącego obok drugiego wiceprezesa. Cichy, niepozorny mężczyzna bez słowa przejechał setki kilometrów wyręczając mnie na trudniejszych odcinkach. Mogłam wtedy zamknąć oczy i roz-prostować nogi na tylnym siedzeniu. Byłam mu wdzięczna. Sama nie dałabym rady. Doba podróży pozwoliła mi lepiej poznać tego człowieka niż kilka lat wspólnej pracy w firmie.

– Niech pan obudzi Sonię – poprosiłam.

– Mówmy sobie po imieniu. Nienaturalne jest to „panowanie” – zaproponował. Uśmiechnęłam się z aprobatą. Należał do nielicznej grupy ludzi, którzy nie robią otoczeniu kłopotu swoją osobą. Wyraźnie go polubiłam.

Nasza księgowka przez wiele godzin niestrudzenie wygłaszała monologi na wszystkie możliwe tematy i fotografowała widoki. Była samowystarczalna i pogodna. Na szczęście nie zrażał jej nasz anemiczny wkład w życie towarzyskie.

Szeroki podjazd przed kompleksem budynków „Svety Vlaho”¹ był dobrze utrzymany. Zadbana zieleń, widoczny obok mały amfiteatr oraz dość duże zabudowania sprawiały przyjazne wrażenie. Wyszliśmy z samochodu. Trochę oślepią porannym słońcem próbowałam zlokalizować pod arkadami główne wejście. Zobaczyłam zmierzających ku nam trzech młodych mężczyzn. „Pewnie komitet powitalny” – pomyślałam.

„Dobro došli!”² – powitał nas pierwszy z nich. Drugi, uśmiechnięty smukły brunet, odezwał się po włosku. Trafił. Mogłam się w tym języku porozumieć.

Nasza delegacja została zakwaterowana w pokojach gościnnych. Dostałyśmy z Sonią wspólny, perfekcyjnie czysty, wyposażony jedynie w niezbędne sprzęty pokój z łazienką. Po odświeżeniu się zeszliśmy do jadalni. Duża, jasna, wręcz surowo urządzona sala bardziej przypominała refektarz niż

jadalnię. Na krótszej ścianie wisiał krzyż i ikona maki Bożej. Śniadanie było skromne, lecz smaczne. Zorientowałam się, że sama zachłannie wypić ponad pół dzbanka naparu z mięty. Na szczęście nikomu oprócz mnie taka „herbata” nie smakowała.

Sympatyczny przewodnik zaprowadził nas do biura.

Chyba czterdziestoletni, przystojny, barczysty mężczyzna przedstawił siebie i sporo młodszego towarzysza jako członków zarządu. Mówił po angielsku, więc nie musiałam tłumaczyć. Objął, że początki wspólnoty narkomanów były spontaniczne, ale po niemal dwudziestu latach muszą spełniać wymogi prawne, aby móc legalnie działać. Nie mają dyrekcji, ale wybierany co trzy lata zarząd, który administruje trzema już budynkami, sklepikiem, pracownią pamiątek i budową kolejnych. Zaczynało kilkunastu chłopców, w większości Włochów. Sami zbudowali pierwszy dom i kaplicę. Modlili się, pracowali i liczyli na dobre serce odwiedzających ich ludzi. Teraz mieszka tu ponad setka młodych mężczyzn różnych narodowości i wyznań, a w najnowszym budynku kilkanaście dziewcząt.

Zarząd nadzoruje budowę pomieszczeń, tym razem dla dziewcząt, no i przede wszystkim dba o utrzymanie członków grupy.

– Jak to różnych wyznań, przecież to kraj katolicki? – nieoczekiwanie zainteresował się wiceprezes.

– Tu, w Hercegowinie, mieszka enklawa franciszkańskich katolików, przeważnie Chorwatów. Bośniacy to wyznawcy islamu. Stanowią większość w tym kraju. Sam jestem muzułmaninem – odpowiedział młodszy mężczyzna. Michał z niedowierzaniem pokręcił głową.

Starszy z rozmówców wyraźnie nie chciał kontynuować podjętego tematu i zdecydowanie przeszedł do konkretów.

– Państwo przebyli długą drogę w konkretnym celu – zagał.

– Tak, tak- zaszczębiotała Sonia wyciągając teczkę z dokumentami.

– Nasza firma chce przekazać wspólnie narkomanów „Svety Vlaho” darowiznę w postaci Citroena Jumpera, którym przyjechaliśmy, i kwoty 1000 euro na początek eksploatacji – jasno sprecyzował wiceprezes.

– Chodzi o udokumentowaną darowiznę – kompetentnie przejęła prowadzenie Sonia szczerym paluszkami wskazując miejsca złożenia podpisów na przygotowanych umowach.

Sprawnie udało się dopełnić niezbędnych formalności. Młodszy członek zarządu okazał się odpowiednikiem naszej księgowej, co ułatwiło sprawę. Na koniec padło nieodzowne pytanie: „Dlaczego właśnie ich wspólnota została obdarowana?”

– Średnia wieku w naszej firmie to 35 lat. Ludzie młodzi często popełniają błędy, ale trzeba im dać szansę powrotu do społeczeństwa – gładko wybrnął wiceprezes.

Widziałam, że jednak coś nie daje mu spokoju. Wzajemnymi uściskami dłoni pieczętowaliśmy sfinalizowanie spawy. Michał celowo przytrzymał dłużej drugą ręką dłoń starszego z mężczyzn i cicho zapytał: „Zrozumiałem, że zarząd wybierany jest spośród członków wspólnoty, więc co pan tu robi? Służysz pomocą prawną?”

– To proste. Jestem narkomanem – odpowiedział.

– Nie rozumiem – bezbrzeżne zdumienie wyrażała każda część ciała Michała. Okrągłymi ze zdumienia oczyma wpatrywał się w twarz rozmówcy.

– Należę do pierwszej grupy, która dość nieumiejętnie stawiała pierwszy dom. Trafiłem tu jako dwudziestoletni narkoman. Nie miał ze mną lekko przydzielony mi „anioł stróż”. Najtrudniejszy jest dla wszystkich pierwszy rok. Po trzech latach uznajemy, że proces wychodzenia z nałogu został zakończony. Wtedy trzeba zdecydować co dalej. Można wrócić do rodziny lub samodzielnie zacząć nowe życie. Ja w czwartym roku odszedłem. Znalazłem pracę w Zadarze, bo tam przyjęto mnie na studia. Po półtora roku wróciłem nie chcąc skończyć na chodniku. Nie byłem gotowy, by żyć w świecie. Tylko tu czuję się u siebie. Skończyłem prawo administracyjne zaocznie i prowadzę małe biuro rachunkowo-podatkowe na rzecz wspólnoty.

– A życie prywatne, rodzina? – drążył Michał.

– Jestem sam. To mój wybór. Niektórzy zakładają rodziny i wracają do normalnego życia, ale udaje się to nielicznym. Większość wraca albo nawet nie próbuje się stąd ruszyć. Odkąd mamy w pobliżu dom dla dziewcząt zaczęliśmy myśleć nad pomieszczeniami dla rodzin, ale to na razie odległe plany.

Po tych słowach zapadła niezręczna cisza.

Przerwał ją tutejszy księgowy podając rozkład dnia:

– Teraz zapraszam państwa do obejrzenia obiektów i terenu naszej wspólnoty. Obiad o 17.00 w jadalni. No i najważniejsza

informacja. W związku z świętem naszego patrona św. Błażeja o 20.00 w amfiteatrze odbędzie się premiera przedstawienia. Są państwo naszymi honorowymi gośćmi.

Wieczorem w amfiteatrze zostaliśmy uroczysto powitani i ulokowani w pierwszym rzędzie tuż przy przedstawicielach lokalnych władz samorządowych i kościelnych. Orientując się po stroju zostałam posadzona przy biskupie.

Młodzież ze wspólnoty przygotowała musical. Niezła muzyka i z uczuciem wykonywane piosenki nadały nowe życie opowieści o Jonaszu. Efektowna była uzyskana prostymi środkami scenografia, a oświetleniowcy przechodzili sami siebie. Sonia była w swoim żywiole. Fotografowała i scenę, i widowie.

Starałam się śledzić nie tylko występy aktorów, ale i poczynania o wiele mniej widocznej ekipy technicznej. Moją uwagę przykuł obsługujący górny reflektor niewysoki chłopiec.

Poczułam ucisk w klatce piersiowej i duszność, wiedziałam, że muszę wyjść.

– Soniu, daj mi klucz od naszego pokoju! – powiedziałam szepem.

– Nie wypada, wszyscy zobaczą! Co, źle się czujesz? Jest przecież świetnie jak na taką dziurę – plątała się Sonia.

Nie obchodziło mnie, co inni powiedzą. Michał poderwał się z miejsca i bez słowa zaczął torować mi drogę. Tak szybko jak mogłam przepychałam się za jego plecami między trochę zdziwionymi ludźmi. Nie przypuszczałam, że tylu widzów stoi. Przyszło chyba całe pobliskie miasteczko. Zatrzymaliśmy się dopiero przed budynkiem, w którym nas zakwaterowano.

– Dziękuję Michał, ale chcę być przez chwilę sama. Przejdzie mi. Pilnuj Soni – odesłałam go dość szorstko, ale nie miałam siły na uprzejmości.

Resztką sił dopadłam pokoju. Zamknęłam się w łazience. Teraz mogłam się wypłakać. Niekontrolowane łzy obficie płynęły mi z oczu.

„Przecież to był Marek – mój syn” – myślałam gorączkowo.

Przebywał w ośrodku od ponad roku.

Na początku nauki w liceum odkryłam, że bierze, ale błędnie założyłam, że to początki. Niestety nie pomagały perswazje ani rozmowy z zaprzyjaźnioną psycholog. Z domu zaczęły ginąć pieniądze i co cenniejsze przedmioty. Klasyka. Ledwie zdał maturę. W ciągu kilku lat doprowadził się do stanu ulicznego kloszarda, żyjącego w odorze własnych fekaliiów. Siegnął dna i może to sprawiło, że otrzeźwiał. Adres wspólnoty narkomanów dostał od streetworkera. Przyszedł do domu i po raz pierwszy sam chciał coś ze sobą zrobić. Załatwiłam mu przejazd z pielgrzymką na miejsce. Pieniądze zdeponowałam u pilotującego grupę księdza, który obiecał przekazać mu

je na miejscu, a przede wszystkim nie zostawiać samego, lecz wysadzić bezpośrednio przy wiosce wspólnoty.

Łkałam coraz głośniejsze. To była moja wina, że Marek nie potrafił znaleźć się w otaczającym świecie. Nie miał siły zawalczyć o swoje miejsce... pewnie czuł się niekochany.

Byłam na pierwszym roku studiów, gdy się urodził. Jerzy kończył medycynę. Wcześniej był pośpieszny cichy ślub w urzędzie. Na kolacji poślubnej nikt z bliskich nawet nie odważył się skłamać, że będzie dobrze. Plusem było to, że Jerzy miał małe mieszkanie kupione przez rodziców po dostaniu się na studia. Ale i tak życie naszej trójki toczyło się na koszt rodziców. Stale uczący się Jerzy mieszkał w kuchni, a ja z płaczącym i chorowitym synkiem w pokoju. Później było lepiej. Jerzy odbył staż i dostał etat. Ja też znalazłam pracę i studiowałam zaocznie. Mój czas dla dziecka skurczył się niepomiaralnie. Zamieniliśmy mieszkanie na dwupokojowe. Jerzy zrobił specjalizację, wyjechał za granicę i... nie wrócił. Nie zdążył pochodzić z synem na mecze siatkówki i męskie wyprawy w góry...

Pomału zaczynało mi brakować łez. Podeszłam do umywalki. W lustrze zobaczyłam spuchniętego potwora z czarnymi koleinami rozpuszczonego tuszu na policzkach.

Obudził się we mnie sarkazm. Darowizna? Absorbująca praca w korporacji podkopywała moje siły. Żeby odetchnąć musiałam wzmocnić swoją pozycję w firmie. Sprzedałam swojego trzyletniego citroena C4, ale zdawałam sobie sprawę, że w społeczności narkomanów bardziej przyda się pojemniejszy samochód. Na nowego Jumpera brakło mi kilkunastu tysięcy.

Przemyślałam sprawę i poszłam do mojego szefa. Zaprezentowałam mu swój plan.

– Panie prezesie, doskonale pan wie, że tworzenie wizerunku firmy wymaga misternej pracy?

– Hmm – zamruczał enigmatycznie prezes, co przy maksymalnie dobrej woli można było odebrać jako zachętę.

– Rynek jest coraz trudniejszy i nie wystarczy już dobry produkt i zadowolenie klienta. Trzeba jeszcze pokazać się na innych, niekoniecznie zawodowych, polach. Teraz duży nacisk kładziony jest na etykę. Dlatego inni biorą udział w balach charytatywnych, sponsorują inicjatywy sportowe i zdrowotne.

– Do rzeczy, co pani proponuje – ponaglił, ujawniając zniecierpliwienie.

– Darowiznę dla ośrodka leczącego narkomanów. Tamtejsza terapia jest prosta: módl się i pracuj. Żaden metadon ani inna chemia. Do zaakceptowania przez wszystkich, a szczególnie w kraju katolickim. Jest jeszcze jeden plus – to ośrodek międzynarodowy i ekumeniczny.

– Co mielibyśmy podarować – zapytał.

– Mikrobus. Sprzedałam swojego citroena C4, po dołożeniu kilkunastu tysięcy można zamienić go na nowego citroena

Jumpera. Dzięki odpisowi podatkowemu udokumentowanej darowizny firma odzyska swój wkład. Ryzyko straty nie istnieje.

– A co pani z tego będzie mieć? – zapytał zniecierpliwiony, przechylając się gwałtownie do przodu i konfidencjonalnie zbliżając swoją twarz do mojej.

– To sprawa osobista, ale chcę tę sytuację wykorzystać dla dobra firmy.

Szef powoli odchylił się, wygodnie wymościł w fotelu i wycedził przez zęby: – To pani odpowiada za wizerunek firmy, choć ostatnio nie widzę fajerwerków.

Odczekał kilkanaście sekund patrząc mi prosto w oczy, po czym spokojnym tonem powiedział:

– Dobrze, dołożę brakującą kwotę, ale oczekuję obiecanych korzyści. W przeciwnym razie to pani poniesie konsekwencje błędnej decyzji. Prezes uniósł się z fotela. Sprawa była zamknięta.

Długo myślałam zimną wodą opuchnięta od płaczu twarz. Zgasiłam światło i weszłam do łóżka. Nikt nie powinien nic wiedzieć.

Przyjadę tu za pół roku. Wtedy pozwolę mi się spotkać z synem.

Wierzę, że po trzech latach Marek znajdzie swoje miejsce w życiu, ale nawet jeśli całym jego światem pozostanie wioska wspólnoty, to i tak cieszę się, że do niej trafił.

Wróciliśmy dokooptowani do pielgrzymki z naszego miasta, której organizator sensownie zaplanował niedrogi nocleg na Słowenii. Po drodze była jeszcze atrakcja – zwiedzanie jaskini Postojna. Rozszczebiotana księgowa z nieodłącznym aparatem fotograficznym podyrdała na obcasikach za grupą ciągnąc za łokieć nie do końca przekonanego drugiego wiceprezesa. Na cały głos bajdała o kręconych tu zdjęciach do filmu „Winnetou”.

„Jakim cudem może pamiętać tak zamierzchłe czasy? – zastanowiłam się – chyba że obejrzała pięćdziesiątą powtórkę w telewizji”.

Nie miałam ochoty na zwiedzanie. Przysiadłam na stopniach autobusu z butelką wody mineralnej i patrzyłam na majaczące w delikatnej mgłę zarysy Alp Julijskich. Chciałam zostać choć na chwilę sama.

Zgodnie z planem, wkrótce po naszym powrocie, władze miejskie zostały poinformowane o szlachetnej darowiznie, co zaowocowało przyznaniem odznaki Honoris Gratia naszemu prezesowi. Uznał to za splendor, więc w najbliższym czasie mogłam nie obawiać się redukcji mojego etatu.

1 Święty Błażej.

2 Witajcie!

EWA ZELENAY

filizanka

ocalona z powodzi wrzątków i naparów
wyczyszczona starannie z brunatnych osadów
z wytartym złotym rąbkiem czule całowanym
spragnionymi ustami gości i sąsiadów

kruche uszko wygięte trochę staroświecko
garść fiołków malowanych co już znikły prawie
sierota ocalała z wojennej pożogi
ostatnia romantyczka babcinej zastawie

dotykam delikatnej skóry porcelany
ile lat ma ta miłość... już chyba nie zliczę
nalewam znów herbaty cierpkiej jak wspomnienia
łagodząc gorycz wspomnień łyżeczką słodczy

w połowie drogi do gwiazd

w połowie drogi do gwiazd
spotkałam kogoś ...

miał oczy pełne nieba
zamówił kawę i wódkę
z sokiem pomarańczowym

jestem pani Małym Księciem – powiedział
spasowałam jak Róża



igła

pierwsza z kości i rogu - później metalowa
łączyła igła skóry i futra zwierzęce
zszywała sieć rybacka srebrną łuską startą

szpilką wpięta w perukę egipskiej królowej
wyjęta z laki koka egzotycznej gejszy
zgubiona w stogu siana, łkała w gramofonie
tonęła w białej pianie misternych koronek

przyпинаła welony, zaklinała woo-doo
śnieżna bielą paluszków perły naszywała
haftowała sztandary i zszywała rany
robotnica, artystka, patriotka, wiedźma ...

łączy co rozłączone - łąta co porwane
ceruje co przetarte, fastryguje, pruje
wpuszcza i upuszcza, tłoczy i odciąga
przynosi ukojenie przy śmiertelnym bólu

leczy ciężkie choroby, uśmierca planowo
narkotykiem upaja, przestrzega szczepionką
drzazgę z palca wyciąga - potem leci w kosmos
...

wpięta w rąbek firanki, wbita w poduszeczkę
kobieca przyjaciółka i nieprzyjaciółka
ucho anioła – pazur diabła

igła

Doktorowi Sławomirowi Falkowskiemu
Instytut Onkologii – Warszawa 22.06.2012

anioł stróż

nasz anioł stróż
przyjmuje w gabinecie
numer osiem

kiedy wchodzimy
patrzy znad okularów
oczami koloru chmurnego nieba

anioł martwi się
bo wie - że nie wie wszystkiego

a jednak codziennie
na swoim oddziale spraw śmiertelnych
anioł z diabelskim uporem toczy walkę
z nieoperacyjnym czasem

czasem - wydaje mi się
że widzę go - jak unosi się
na białych skrzydłach fartucha
wysoko, wysoko aż pod gabinet
samego ordynatora najwyższego

częściej jednak zmartwiony anioł
wręcza skierowanie na chemię
trzeba przejść przez piekło – mówi
- to jedyna droga do nieba !

nasz anioł stróż rzadko się śmieje
uśmiecha się tylko lekko, kiedy
z białych wydruków z wynikami
znikają małe, złośliwe strzałki

cieszy się, że ciągle jeszcze
nie będzie musiał
nam nieba przychyłać

wie przecież, że tam
tylko nudne, wieczne
odpoczywanie

Wiersz poświęcony
Justynie Moniuszko – stewardessie,
która zginęła w katastrofie
prezydenckiego samolotu 10.04.2010 pod
Smoleńskiem

Lot 10.04.2010

mówiła: mamu muszę bieć!

niebo mnie czeka wysokie
niebo mnie czeka szerokie.
niebo mnie czeka głębokie
popatrz ...leczę !

mówiła: mamu nie płacz ...

w niebie są chmury czyste ...
w niebie są wiatry bystre ...
w niebie szerokim nie zginę ...

... mamu !

Mojemu Ojcu 3.10.2011 **rzeka dzieciństwa**

wspominam Świder - płytką, wartką
rzekę
z piaszczystymi łachami i żółtawą
wodą
gdzie w chłodnym cieniu, aż gęstym
od mięty
furkotały błękitem ważek lśniące
skrzydła

moja rzeka dzieciństwa ...

krętym, silnym nurtem pulsuje na skro-
niach ojca

tętni pod papierową skórą, gubi się w
gęstwinie brwi

dotykam jej i czuję drżący wysiłek ryby
płynącej pod prąd

... słyszę śmiech - mama woła z
brzegu

słońce rozbija wodę na miliony lśnień
na rozgrzanych policzkach
dziwnie słone krople
wołam : tato, poczekaj !

puszczasz moją rękę, uśmiechasz się
jak z zwykle trochę łobuzersko
i przepływasz w milczeniu ...
sam ... na drugi brzeg

Ewa M. Zelenay *Alla prima*, Wydaw-
nictwo Diecezjalne w Sandomierzu,
Warszawa 2015, s. 100.

IGNACY S. FIUT



DETALE EMOCJONALNE W POEZJI

Trudno się nie zgodzić z opiniami, że kobiety w poezji, podobnie jak w życiu codziennym, szczególną uwagę przywiązują do detali i etykiety. Budzą one u nich głębokie przeżycia emocjonalne, nierzadko maskowane, zasłaniane niepozornymi grymasami na twarzy, by niespodziewanie powodować erupcje słowne formowane w wiersze. Nawet te wyemancypowane nie tracą owego nadzwyczajnego „zmysłu uwagi”, że w konkretnych sytuacjach widzą, czują i słyszą więcej niż przytrafia się to nawet bardzo wrażliwemu mężczyźnie. Spróbujemy z tej perspektywy spojrzeć na twórczość poetycką trzech poetek ze zróżnicowanym doświadczeniem życiowym, tj. Danuty Perier-Berskiej, Bożeny Boby-Dygi i Ewy Marii Zelenay.

„W kolorze pomarańczy” – to tomik D. Perier-Berskiej, starannie wydany, drukowany również pomarańczową czcionką z wieloma ozdobnikami edytorskimi. Inspiracją dla autorki jest niewątpliwie głęboka refleksja nad osobistym losem będącym czymś na kształt „marszu przez życie”. Najczęściej źródłem inspiracji są rozterki małżeńskie poetki, sprawy złożonego życia rodzinnego, relacji z matką, ojcem, córką, przedwcześnie zmarłym mężem, doświadczenia kolejnego związku z mężczyzną, ale i wątpliwości związane z byciem singielką, marzącą o losie kopcuszka. U podłoża tych rozterek tkwią nieustanne lęki, by pojawiająca się tu miłość nie uległa merkantylizacji i nie została zamieniona na relacje typowo fiskalne – biznes emocjonalny. Najczęściej inspiruje się autorka owym dylematem, nazywanym samotnością „razem, ale osobno”, którą pogłębia strach przed niechybną słabością, bezradnością i śmiercią, ostateczną utratą ogniska domowego. Pomimo to rytm dnia i nocy, kolejnych pór roku budzi w autorce szereg pokus, namiętności, chęci na różne grzechy, co jakby przywraca jej naturalną harmonię życia w świecie. Dobrze owe rozterki inspirujące poezję Perier-Berskiej wyraża utwór pt. „Gwarancja”, gdzie pisze: „dawno temu kupił jej miłość/zapewniał że gwarancja/jest podbita/teraz ona patrzy w lustro/na podbite oko i wie/ze termin gwarancji/minął bezpowrotnie”. Pomimo wszystko deską ratunku dla poetki jest zawsze budujące współżycie

ludzi uczucie miłości, o którym pisze tak: „(...)miłość zawsze wygrywa/trzeba tylko mieć przy sobie/zapałki”. A kiedy już jakoś działa, wtedy budzą się owe emocje, które budują apetyt na „słodkie życie”, „piękny, wspaniały świat”, w którym twórczo spotykają się ciągle przeciwstawne natury kobiety i mężczyzny. Poetka tak oto kroi słowem ów portret mężczyzny: „jak małe dzieci/przez smak i dotyk/uczą się poznawać świat/po drodze rozbijają kolana/o wystające pagórki piersi/instynkt prowadzi ich do miejsc/owianych legendą”. Tomik zamyka ciekawa refleksja z podróży po Europie przepełnionej pozytywnymi emocjami, które z perspektywy Paryża uświadamiają poetce, że „nikt tu nie śni życia” jak onegdaj śpiewała Edith Piaff.

Zupełnie odmiennie tworzy swoją poezję Bożena Boba-Dyga, która ze swą przyjaciółką, malarką – Janiną Żołyńską stworzyła typowy kalejdoskop słowno-obrazowy. Obie artystki wspólnie wypoczywały i tworzyły, wsłuchiwały się jakby w siebie, dzieliły inspiracjami w tym „sezonie artystycznym”, co zaowocowało nietypowym tomikiem, który może być również katalogiem prac malarskich J. Żołyńskiej. W nocie na okładce tomiku Dorota Koman tak ujmuje sens tego tomiku/katalogu, pisząc: „(...)Umiejętność słuchania i zapisywania siebie. I innych. I najciekawszy z dialogów – wierszy Bożeny Boby-Dygi i obrazów Jadwigi Żołyńskiej – w którym zawarły one opowieść o tym, że warto być i cieszyć się chwilą, „Nim fale nas/zmyją”. Kolejne wiersze w tym zbiorze przekładane obrazami koleżanki opisują przeżycia poetki kooperującej z nią, z którą współtworzy język poetycki wizualizowany obrazami przyjaciółki. Czasami eksponują przykre doznanie braku czułości typowo męskiej rekompensowane swoją bliskością. Miejsce tej akcji artystycznej jest miasto uzdrowskie – Ustka, choć przeżycia te odwołują się również do klimatów innego uzdrowska – Lanckorony w Małopolsce. Poetka studiuje więc dzieje Ustki i zauważa na wzgórzu koło miasta willę, która kiedyś należała do Hermana Goeringa. Opisuje małe domki pośród drzew, które były świadkami wielu wydarzeń historycznych, dzisiaj podpadłe. Autorka opisuje również przysłowiowe cuda przyrody

nadmorskiej, rozkoszuje się ciszą, horyzontem morza, na którym żaglowce nadymają żagle. Zastanawia się nad tym, czy drzewa się cieszą, kiedy w ich koronach śpiewają ptaki. Boba-Dyga przywołuje tu nawet klimaty utworów Kazimierza Tetmajera żywcem przejęte z „Sabałowych bają”. Na tym tle pławi się w kolejnych chwilach przepełnionych śmiechem dzieci na koloniach, kolorami i zapachami Ustki, tworząc w ten sposób pewną całość zwartą, emocjonalną, zlepioną z tych chwil kolejnych błogostanów. W wierszu „Falochron” tak oto ukazuje ten klimat Ustki, pisząc: „Wbite w wodę/opróżzone piaskiem/zapuszczają zielone brody alg/morze je czesze/fala ich nie goli//słońce zachodzi/sennymi ptakami”. Warto również nadmienić, że krakowska poetka urodzona w Pszczynie należy do grupy artystów multimedialnych i prowadzi szereg eksperymentów artystycznych podyktowanych ciśnieniem cyberkultury multimedialnej: śpiewa, wydaje płyty, zawodowo zajmuje się konserwacją dzieł sztuki i obiektów architektonicznych, uprawia fotografię artystyczną i sztukę intermedialną. Fakt powstania tego dialogicznego tomiku należałoby właśnie postrzegać jako kolejny eksperyment artystyczny mieszczący się w jej paradygmacie uprawiania sztuki współczesnej.

Alla prima – to technika malarska polegająca na kładzeniu farb bezpośrednio na zaprawie i taki tytuł nosi tomik wierszy Ewy Marii Zelenay. Tomik otwiera wiersz pt. „chwila”, który ukazuje główne źródło inspiracji warszawskiej poetki, gdzie czytamy: „ciągle uczę się chwili/jestem tylko chwilą/to jedyne co mam//tu i teraz//kiedyś – umarło/jutro niepewne/wczoraj – niewykorzystane// jedynie tu i teraz// szczęście obecności/radość jedności bycia/i współbytowania//...jestem”. To życie chwilą, sklepanie w całość owych „impresji-chwil” wydaje się stanowić tę technikę poezjomania warszawskiej autorki, podobną do techniki malarskiej „alla prima”.

Nietrudno zauważyć, że te detale żywcem wzięte z życia składają się na te chwile i jakby podpowiadają poetce kolejne wersy wierszy ujmujące segmenty jej życia jakby dokumentowane kamerą filmową: klatka po klatce. Kolejne kadry wyobraźni pisarki uchwytyją Palestynę podminowaną wojenną agresją ludzi, których poetka chce wręcz obedrzeć ze skór, by swobodniej kroczyć po tym świecie pomiędzy ludźmi karmiącymi się duchem zaciekleści. Przeraza ją nasz świat ujmowany w porządku cyfrowym – owym „cyfrowym milczeniem”, które wymaga od niej szacunku i pokory wobec tej liczbowej wielości, za którą właściwie doświadcza się pustki jednostkowego istnienia – tu ilość nie przechodzi w jakąś nową, wartościową jakość.

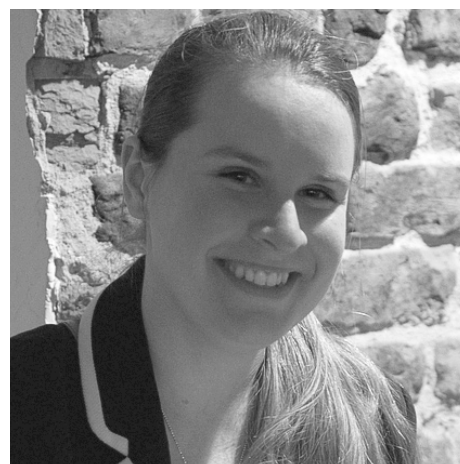
Tak doświadcza poetka owej bytowej podstawy naszego świata – owego „Nic”, które jak pisał kiedyś Martin Heidegger o tego typu doświadczeniu egzystencjalnym, staje się również doświadczeniem osobistym podstawy istnienia Zelenay. Jako była stewardesa – autorka dobrze zna doświadczenie oglądu naszej planety z tej podniebnej, może niebiańskiej, perspektywy, nastrajającej

ją wręcz metafizycznie, dając możliwość wsłuchiwania się w brzmienie „kosmicznego porządku czasu”, krzyżącego „językiem ciszy” – jej „gromobicem”, wzmacnianym falami ryczących silników samolotów odrzutowych. Udaje je się nawet spotkać w tych przestworzach samego „Małego księcia”, który przemienia ją w ową „Różę” na planecie. Martwi się również o los mitycznego Ikara możliwego wniebowstąpienia, bo samoloty jakby eliminują go z naszej wyobraźni. Sądzi również, że tą podniebną drogą z „podręcznym bagażem” odleci kiedyś do wieczności, bo posiada już tę „kartę pokładową” do odlotu z porządku doczesnego istnienia. Jeden z wierszy poświęca przyjacielce – Justynie Moniuszko – która zginęła w tragicznym locie prezydenckiego samolotu pod Smoleńskiem.

Kolejne wiersze Zelenay to emocjonalnie rozbudowane liryki, ale i panegiryki, opisujące doświadczenie własnej, ciężkiej choroby, cierpienia i bezpardonowej walki o każdy kolejny dzień życia, którego doświadcza również jako lustra „potłuczonego na kawałki”. Kolejne pobyty w szpitalu postrzega jako doświadczenia agresji medycznej, zabijającej inne życie (wirusów) dla jej osobistego, by otrzymać w darze „gorzką pigułkę kolejnego dnia życia”. Poeta zgadza się ze swym lekarzem, jej realnym „aniołem stróżem”, że „trzeba przejść przez piekło” i jest to jedyna droga do Nieba. Postrzega również los człowieka jako element „gry planszowej w życie”, w czasie której jako potrzeba chwili istnienia pojawiają się te „samopiszzące się wiersze”, zmuszające do codziennego „obrachunku sumienia”. Powraca do obrazów z czasów dzieciństwa, wspomina ojca i matkę, dziadków, ponownie wstępuje do swej „rzeki dzieciństwa – Świdra, nad którym dorastała i budowała swą wrażliwość estetyczną na świat i moralną na innych ludzi. Mając doświadczenie utraty drogich jej osób bardzo boi się tego zjawiska, któremu na imię „niepowroty”. Ciągłe ekscytują ją relacje kobiety i mężczyzny nasycone próbami walki o pełne spełnianie się w miłości i urzeczywistnienie jej wyidealizowanego obrazu. W ostatnich wierszach tego tomiku poetka składa jakby cześć wartości życia jako takiego – przestrzeni nieskończonych możliwości wyborów siebie i świata – skarżąc się na bezduszny los, który każe go na wieczność opuścić. W wierszu pt. „Daj mi życie...” Zelenay błaga o kolejne jego chwile, pisząc: „Daj mi życie jeszcze jedną główną rolę/tę jedyną, najwspanialszą, największą./Niech mi śpiewać i tańczyć pozwolą/niech przywrócą miłość... tę pierwszą/(...)/Tyle ról, tyle ról do zagrania/tyle serc, tyle serc do kochania/tyle dni, tyle związków i rozstań/I ten szept/zostań życie/jeszcze zostań...”.

Podsumowują te analizy i próby rekonstrukcji, rzecz jasna niepełne, owej detalicznej specyfiki poezji kobiecej, warto ją także zalecić czytelnikom, gdyż każdy czytający może w nich odnaleźć część siebie, ale i odkryć jeszcze inne swoje strony osobowego swego istnienia, których mimochodem do tej pory nie zauważył.

IZABELA JUTRZENKA-TRZEBIATOWSKA



MODA NA FESTIWALE

Każdy wie co to takiego festiwal, ale nie każdy zdaje sobie sprawę, skąd się wywodzi. Dzisiaj zazwyczaj jest to szereg imprez artystycznych, przeważnie jednego typu zorganizowanych w jednym czasie i pod wspólną nazwą. Bywają więc festiwale filmowe, muzyczne, teatralne, kabaretowe, skupione wokół jakiejś myśli przewodniej, a niekiedy nawet przybierają formę konkursu, w którym zwycięża najlepszy w danej dziedzinie.

W wielu językach istnieje słowo „fest”, tyle że o nieco różnym zabarwieniu znaczeniowym. Zasadniczo jednak sprowadza się do tego samego – oznacza święto i związane z nim uroczystości.

Już w starożytnym Egipcie przez jedenaście kolejnych dni oddawano cześć boskiej triadzie Amona-Re, Mut i Chonsu. Mniej więcej w tym samym czasie w religii Minojczyków pojawił się kult bogini – matki, którą późniejsi Grecy prawdopodobnie utożsamiali z Demeter. Podczas wielkich misteriiw eleuzyńskich ich uczestnicy przechodzili różne stopnie wtajemniczenia, a bogini objawiała im największe tajemnice życia i śmierci – odejście Kory do podziemnego Świata Zmarłych i jej triumfalny powrót w dobie wiosennego przesilenia. W Atenach początkowo przez pięć, potem sześć dni pod koniec marca i na początku kwietnia obchodzono Wielkie Dionizje i nie były to jedyne święta na cześć boga wina. Istniały też przecież, nie mniej ważne, Małe Dionizje. W miejscowości Didim w południowo-zachodniej Turcji, nad Morzem Egejskim znajdują się ruiny pochodzącej z VI w p.n.e. jednej z największych świątyń starożytnego świata. Powstała w miejscu, gdzie biło święte źródło, powyżej którego umieszczono posąg jednego z najważniejszych, obok Zeusa, bogów starożytnej Grecji, Apollina – przodownika muz.

Były to czasy trójjednej chorei, kiedy muzyka splatała się z tańcem i słowem i była nieodłącznym elementem wszystkich świąt. Warto dodać, że w starożytnej Grecji „*musike*” oznaczała wszelką czynność, której patronują muzy, *musikos* zaś była nazwą stosowaną nie tylko do muzyka w obecnym znaczeniu, lecz szerzej – do każdego człowieka prawdziwie wykształconego, głębiej kulturalnego, znającego się na sztukach i umiejącego je uprawiać¹. Muzykę traktowano jako jeden z elementów wychowania, co powodowało, że w kulturze antycznej pełniła zupełnie inne funkcje niż chciałoby się jej dziś przypisać. Jednak ukształtowane wówczas koncepcje muzyki pozostawiły głęboki ślad w dziejach myśli filozoficznej i dały początek rozważaniom o estetyce muzyki jako wyodrębnionej nauce.

„Ukrytym założeniem wszelkiej refleksji nad sensem muzyki jest przekonanie Pitagorasa, że wszystko jest liczbą, ta zaś naprawdę jest harmonią bytu całego, a może i nim samym, po prostu” – podkreśla Józef Lipiec, wywodząc, że ten właśnie wyrażony przez starożytnego filozofa pogląd stał się podstawą uznania prymatu muzyki nad resztą sztuk². Notabene Pitagorasowi właśnie przypisuje się stworzenie doktryny harmonii sfer, łączącej ze sobą matematykę, muzykę i astronomię, zgodnie z którą ciała niebieskie poruszając się po swoich orbitach, muszą wywoływać muzykę, doskonałość zaś niebiańskiego świata wymaga, aby muzyka ta była harmoniczna³. Pitagoras z jednej strony nauczał doktryny metempsychozy, a z drugiej w kosmologii dowodził pochodzenia wszechświata w terminach matematycznych, jako narzucenie granicy temu co bezgraniczne, poprzez zaszczepienie w nim jakiejś jednostki⁴.

Wracając do świątecznych obrządków, zarówno tych eleuzyńskich, jak i orfickich, łatwo zauważyć, że determinował je leżący u ich podstaw zespół wierzeń o charakterze religijnym. Szczególnie wyraźnie uwypukliło się to z chwilą zdominowania Europy przez chrześcijaństwo. W kulturze chrześcijańskiej pojawił się średniowieczny dramat religijny, przyjmując formę misterium bożonarodzeniowych, wielkanocnych oraz hagiograficznych.

Z nabożeństw kościelnych *loficial*, z liturgii świątecznej rozwinęły się misteria – dramatyczne opracowania treści danego święta, obok których wystawiano *miracle*, udratyzowane żywoty świętych i ich cuda. Również w dobie średniowiecza, począwszy od XII wieku, rozwinęła się w ramach chorału gregoriańskiego, a z czasem wyodrębniła się jako gatunek dramatyczny, pasja przedstawiająca opis męki Chrystusa. Początkowo była ona jednogłosowa. Z czasem powstały utrzymane w polifonicznym stylu motetowym, pasje bardziej rozbudowane z chorałowym *cantus firmus* umieszczanym w tenorze narratora, mocno kontrastującym z basowymi partiami Chrystusa, którym zazwyczaj towarzyszyły organy. Pasja, której wykonawcami są soliści, chór i orkiestra stanowi odmianę oratorium, którego geneza jest późniejsza, barokowa⁵.

Kultura średniowiecza podporządkowana była idei Boga, którego uznawano za przyczynę i cel świata; poszukiwano też z zapałem dowodów na Jego istnienie, takich jak „pięć dróg” św. Tomasza z Akwinu, czy argument ontologiczny św. Anzelm.

Tak więc misteria wielkanocne przedstawiały wjazd Chrystusa do Jerozolimy, Jego mękę i zmartwychwstanie. Do nich nawiązują Misteria Paschalia, które przybrały w dobie współczesnej formę festiwalową.

Nie jest więc moda na festiwale niczym nowym...

Misteria Paschalia to dzisiaj jeden z najważniejszych europejskich festiwali poświęconych muzyce dawnej. Odbywa się od piętnastu lat co roku w Krakowie w okresie Świąt Wielkanocnych, a jego organizatorem jest Krakowskie Biuro Festiwalowe.

W dniu 9 kwietnia 2004 roku w Filharmonii Krakowskiej zabrzmiały po raz pierwszy *Stabat Mater*, *La Passione di Gesù Cristo*, *Stabat Mater* Alessandro Scarlatti, Antonio Caldara, Giovanni Battista Pergolesiego – w wykonaniu solistów Nancy Argenta i Briana Asawa – którym towarzyszyła orkiestra Concerto Polacco pod batutą Marka Toporowskiego.

Rok później, również w Filharmonii Krakowskiej, można było usłyszeć *Concerto grosso op. 6 nr 3* HWV 321, *Concerto grosso op. 6 nr 4* HWV 322, *Sonatę a quattro Al santo sepolcro* RV 130, *Nisi Dominus* RV 608, *Sinfonię Al santo sepolcro* RV 162, *Stabat Mater* RV 621 Georga Friedricha Händela oraz Antonio Vivaldiego – w wykonaniu Orkiestry Arte Dei Suonatori pod batutą Richard Egarr, której towarzyszył znakomity solista Philippe Jaroussky.

Niezmiernie często podczas kolejnych edycji Festiwalu, obok utworów Vivaldiego, pojawiały się utwory Jana Sebastiana Bacha, jak choćby w 2006 roku *Suity francuskie* BWV 812-817 i to w znakomitym wykonaniu Pierre Hantaï, który odniósł wielki sukces w Filharmonii Krakowskiej. Czwarta z kolei edycja Festiwalu przyniosła *Suites & concertos*, już nie tylko Bacha i Antonio Vivaldiego, ale również Georga Philippa Telemanna, a w Filharmonii Krakowskiej obok znakomitej Orkiestry Il Giardino Armonico wystąpiła również ciesząca się wielką sławą Orkiestra Europa Galante z utworem *La Santissima Annunziata* Alessandro Scarlatti.

W 2008 roku z kolei zabrzmiał utwór Georga Friedricha Händela *Chandos Anthems*, w którym wraz z zespołem Les Musiciens du Louvre–Grenoble, kierowanym przez Marka Minakowskiego, wystąpili znakomici soliści: Ruby Hughes, Colin Blazer, João Fernandes.

Dwa lata później Marc Minakowski powrócił do Krakowa i wraz z zespołem solistów – Joanna Lunn, Judith Gauthier, Helena Rasker, Owen Willetts, Markus Brutscher, Nicholas Mulroy, Christian Immler, Benoît Arnoult – przedstawił *Pasję według św. Jana* Johanna Sebastiana Bacha, co zostało uznane za wyjątkowe wydarzenie artystyczne. Nic dziwnego, że w 2011 roku witany był przez krakowskich melomanów entuzjastycznie a zdobycie biletu na *Mszę h-moll* Bacha, z którą przybył wraz Les Musiciens du Louvre–Grenoble, graniczyło z cudem. Z takim samym odbiorem spotkała się w 2013 roku *Pasja Mateuszowa*. I tym razem Minakowski wystąpił z Les Musiciens du Louvre Grenoble w składzie: Marita Solberg,



Marc Minkowski w ICE

Eugénie Warnier, Nathalie Stutzmann, Owen Willetts, Markus Brutscher, Magnus Staveland, Benoît Arnould, Christian Immeler, Jolanta Kowalska, Mélodie Ruvio, Svetli Chaumien, Charles Dekeyser, tworząc niezapomnianą kreację, do czego wielce przyczynił się Brutschner w roli testo.

Marc Minkowski studiował grę na fagocie, a następnie dyrygenturę u Charlesa Brucka w Pierre Monteux Memorial School w Stanach Zjednoczonych. W 1982 roku założył zespół Les Musiciens du Louvre (od 1996 roku jego siedzibą jest Grenoble), specjalizujący się w wykonywaniu francuskiej muzyki doby baroku (J.-B. Lully, J.P. Rameau, M.-A. Charpentier, Maras), jak również C. Monteverdiego, G.F. Handla, Ch.W. Glucka, W.A. Mozarta i J. Offenbacha.

Festiwal na przestrzeni wielu lat gościł nie tylko tak utytułowane zespoły, jak: Europa Galante, Il Giardino Armonico, ale również Accademia Bizantina, Cappella della Pietà de' Turchini, Le Poème Harmonique, Le Concert Spirituel, Douce Mémoire, Orlando Consort, Binchois Consort, Ensemble Organum, Arte dei Suonatori i innych. Swe kreacje muzyczne prezentowali m.in.: Fabio Biondi, Giovanni Antonini, Ottavio Dantone, Antonio Florio, Fabio Bonizzoni, Jordi Savall, Marc Minkowski, Vincent Dumestre, Hervé Niquet, Denis Raisin Dadre, Richard Egarr, Pierre Hantaï, Pieter Wispelwey, Enrico Onofri, Stefano Montanari oraz wyśmienici wokaliści – Roberta Invernizzi, Sonia Prina, Nancy Argenta, Maria Grazia Schiavo, Emanuela Galli, Marina de Liso, Philippe Jaroussky, Brian Asawa i wielu innych.

Opowiadając o Festiwalu Misteria Paschalia warto wspomnieć o koncercie Agnieszki Budzińskiej-Bennett, która wraz z Ensemble Peregrina wystąpiła w Kaplicy Św. Kingi w Kopalni Soli „Wieliczka”. Pojawiła się tam również Mala Punica wraz z Pedro Memelsdorffem.

Ci którym nie dane było słuchać muzyki paschalnej w filharmonii, mogli jej wysłuchać w kościołach jak choćby w Kościele św. Katarzyny na krakowskim Kazimierzu.

Można powiedzieć, że za sprawą festiwalu Misteria Paschalia, muzyka renesansu i baroku stała się bliższa wielu mieszkańcom Krakowa, którzy nie są stałymi abonamentowymi bywalcami filharmonii. Jest bowiem w okolicy Świąt Wielkiej Nocy coś magicznego, coś co każe ludziom poszukiwać własnej ścieżki w kierunku duchowości, której najgłębszym wyrazem może być właśnie muzyka.

W 2016 roku 13. Festiwal Misteria Paschalia zainaugurował Europejski Dzień Muzyki Dawnej, przypadający nie przypadkiem na pierwszy dzień wiosny. Podkreślenia wymaga fakt, iż organizatorzy festiwalu zwrócili się tym razem w stronę polskich wykonawców i w Kościele Katarzyny Aleksandryjskiej dane będzie wystąpić Capelli Cracoviensis z *Tenebrae Responsoria* Carlo Gesualdo.

Pojawi się też Mark Minkowski w ICE z *Requiem* Mozarta. I w tym miejscu wyrazić należy głębokie ubolewanie stwierdzając, że Królewskie Miasto Kraków nie posiada nowoczesnej sali koncertowej, za jaką Centrum Kongresowe żadną miarą uchodzić nie może.

Przypisy:

1. Władysław Tatarkiewicz, *Dzieje sześciu pojęć*, PWN, Warszawa 2008, s.89
2. Józef Lipiec, *Powrót do estetyki*, Fall, Kraków 2005, s.71
3. Simon Blackburn, *Oksfordzki słownik filozoficzny*, Książka i wiedza, Warszawa 2004, s.145
4. op.cit, s.293
5. *Oratorio* (łac.) to sala przeznaczona do wspólnych modlitw, etymologicznie wywodzi się od łacińskiego czasownika *ora*; módl się.

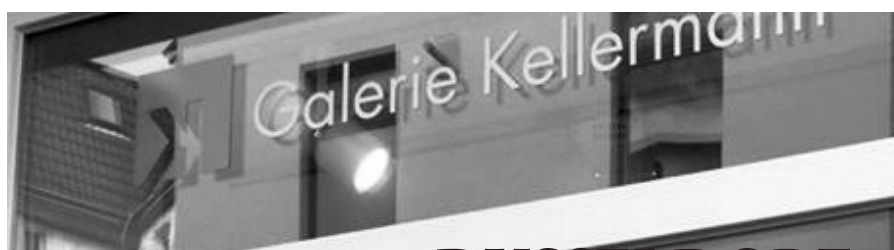


BOLESŁAW FARON ZOSTAŁ LAUREATEM NAGRODY IM. KS. PROF. BOLESŁAWA KUMORA W KATEGORII „SĄDECKI AUTOR”./ Foto: J. Bobrek/

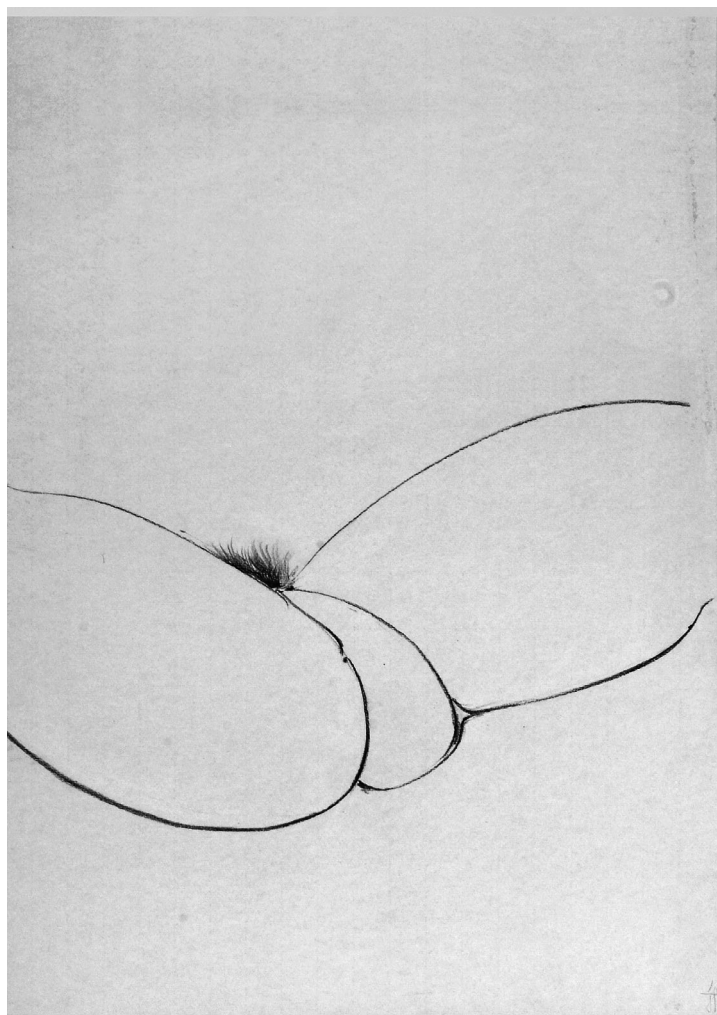
Prof. Bolesław Faron za całokształt twórczości, a Jerzy Giza za wydaną w zeszłym roku książkę pt. „Sądecki garnizon i jego żołnierze 1918-1922” zostali laureatami IV edycji Konkursu o Nagrodę im. Ks. Prof. Bolesława Kumora”, organizowanego przez Fundację Sądecką. Gala podsumowująca konkurs odbyła się w sobotę (20.02) w MCK „Sokół” w Nowym Sączu. Gościem specjalnym uroczystości był prof. Antoni Dudek, historyk, politolog, członek rady Instytutu Pamięci Narodowej. (Red)



JANUSZ TRZEBIATOWSKI
NA ŚWIATOWYCH TARGACH SZTUKI
W KARLSRUHE



DUSSELDORF



AKT, RYSUNEK WĘGLEM, 1999

ZŁĄCZONE W BLASKU O NAJNOWSZYCH RYSUNKACH JANUSZA TRZEBIATOWSKIEGO

Nie istnieje klucz do twórczości autentycznego artysty. Gdy stanie się oko w oko przed nieuchwytnym bogactwem świata wykreowanego przez człowieka, przed bezmiarem zawartym na płaszczyźnie – w tym wypadku nieważne: na kilku metrach kwadratowym naprężonego płótna czy na kartce wyrwanej z małego szkicownika – uzyskuje się pewność, że od rzeczywistości tam przedstawionej nie może być reklamacji. Janusz Jutrzenka Trzebiatowski, wolny mistrz, malarz, grafik, projektant, a ponad tym wszystkim poeta,

który pochyla się nad człowiekiem, odwracając się ze wzgardą od przemocy, tym się wyróżnia spośród twórców ze swojego pokolenia, że nie wystarcza mu to, czego artyści (w odróżnieniu od przemysłowców) nie powinni nazywać marką. Nie wypuszcza na rynek sztuki rozwodnionych powtórek swoich wcześniejszych dokonań. Przecież są nowe, i te w trakcie! Zobaczone w wyobraźni, sprzęgnięte z życiem, wywoływane. Trzebiatowski nie miał czasu, żeby osiąść na laurach. Nie wiadomo, czy i kiedy sypia, bo jak tu co wykroić spomiędzy licznych podróży, nieustającej pracy twórczej i bujnego życia towarzyskiego? Prawdopodobnie lepsze kawałki niekoniecznie snu, ale na pewno marzeń sennych przedostają się do rysunków mistrza, tych najbardziej poetyckich, robionych kreską tyleż czułą, ile zdyscyplinowaną. Kto dziś tak jeszcze rysuje? Warsztat! W rysunkach Trzebiatowskiego są dowody na stałe używanie szkicownika, tego niemal zapomnianego dziś przedmiotu, niegdyś niezbędnego w kieszeni każdego artysty. Otóż bez względu na to, czy to jest rysunek wrażliowy, czy głębiej penetrujący, studyjny, czy nawet szkic konstrukcyjny do obrazu, w dziele krakowskiego artysty mamy do czynienia z wysoką jakością kreski, z tym samym, co pozostaje na zawsze nawet wskromnych w zamiarze szkicach architektury, robionych przez Matejkę, w roboczych szkicach do witraży, robionych przez Mehoffera, z tą siłą mianowicie, która każe odrywać myśl od tego, co zostało narysowane i kierować wzrok na to, jak zostało narysowane. Czym? Jaką kreską? Skąd się wzięło rozmach? Nie tylko długoletnia szkoła „piłowania” gipsów, martwych natur i aktów, nie tylko giętkość ręki i posłuszeństwo narzędzia, ale – nie krępujmy się użyć tego słowa w drugiej dekadzie XXI wieku – talent. Narysowane na kamieniu, odcisnięte na skórze, niekiedy „po prostu” zwykłym ołówkiem na kartce – kształty, biologiczne konstrukcje, płoszące ławice skojarzeń, ptaki w locie, w niezwykle wyrafinowanym układzie,

pozostałe w pamięci artystycznej Janusza Jutrzenki Trzebiatowskiego i strzepnięte czernią na szorstki papier, czy nie mogą nawiązywać do spostrzeżenia Michała Choromańskiego, który zakończył opis pewnego aktu miłosnego rzuceniem przed czytelnika obrazu syren, k t ó r e s p l o t ł y s i ę o g o n a m i ? Oczy człowieka, oczy mistrza. Oczy rysowane przez Trzebiatowskiego to nie tylko drobiazgowie studium źrenicy i jej oprawy, woreczka łzowego, oszronionych brwi. To także – choć nie przede wszystkim – wyraz. Spojrzenie mistrza, wnikliwe, rozumiejące; spojrzenie człowieka nie wyzbytego trosk codzienności, no i na chwilę przenikające nasze „tu i teraz” do tego stopnia, że sięga poza przeźroczysty, ale z trudem cokolwiek przepuszczający mur, za którym już niczego się nie t r z e b a b ę d z i e o b a w i a ć . Właśnie. Autentyczna sztuka wyraża także złe przecucia, ale nie straszy. Tak czy inaczej, Trzebiatowskiemu bliżej niż do wysp Boecklinowskich do klimatu obecnego w twórczości w Polsce w pewnym takim szczęsnym momencie, kiedy modernizm jeszcze nie całkiem ustąpił miejsca sztuce dziennego światła, kiedy więc obie te tendencje trwały, walcząc ze sobą wprawdzie od niechcienia – ale jeszcze się nie zamieniły w konwencję. W jego rzeczach nigdy nie do końca czarno-białych (bo tu dochodzi zamierzony ton lekko pożółkłego papieru i rozmaite, wynikające z narzędzi, rodzaje czerni) odczuwam aurę obecną w rysunkach naszych znakomitych artystów, którzy w 1904 wygrali w Paryżu konkurs czasopisma „Sztuka” na rysunek pod hasłem „Chopin”: Gustawa Gwozdeckiego, Eliego Nadelmana, Wojciecha Weissa... Wspólny im i Trzebiatowskiemu duch muzyki. Lecz zapewne nie tylko ten pomost. W odmiennych formalnie, w najnowszym cyklu, świetliście powietrznych rysunkach naszego artysty, któremu duch tolerancji nie odbiera czujności w oddzielaniu artystycznej prawdy od fałszu, czuję

i trunek z czary symbolizmu, tego spod znaku wielkich ptaków, i słońce, to na przykład, którego w Skandynawii jak na lekarstwo, co, choć sporadycznie, wiło się jednak, wyczekiwane, w rudościach włosów modelek Muncha, kiedy malarz, jeden z najprawdziwszych w dziejach sztuki, korzystał najdelikatniej z miedzianej płyty graficznej, niebawem słońce u młodego Pankiewicza, zdeklarowanego impresjonisty, a teraz to słońce, które się wije w splotach kredkowych kresek Janusza Jutrzenki Trzebiatowskiego, w jego nieustannie modyfikowanych studiach do więcej niż plastycznych Partytur, którymi dyryguje. Orkiestra składa się z wszystkich tych, którzy o b e j r z e l i r y s u n k i .

MAREK SOŁTYSIK



GNIAZDO, RYSUNEK WĘGLEM, 1999



Prof. zw. dr hab. Ewa Maria Poradowska – Werszler, ur. w Warszawie, studiowała w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych we Wrocławiu (obecnie Akademia Sztuk Pięknych im. Eugeniusza Gepperta). W 1967 r. zdała egzamin dyplomowy na Wydziale Architektury Wnętrz w pracowni prof. Władysława Wincze. W 1978r. zorganizowała i uruchomiła Galerię Tkacką „Na Jatkach” we Wrocławiu, a od 1991r. samodzielnie ją prowadzi i utrzymuje. Od 1996r. prowadzi wykłady w Akademii Sztuk Pięknych w Studium Podyplomowym „Dyscypliny plastyczne w Architekturze” we Wrocławiu. W 1990 r. otrzymała zaproszenie Rektora Akademii Sztuk Pięknych w Norymberdze, Prof. Dr.Rainer Back i prowadziła cykl wykładów pt.:” Polska tkanina dziś” dla studentów na kierunku tkaniny artystycznej w pracowni prof. Hannsa Herpicha. W 2002r. rozpoczęła pracę dydaktyczną w Uniwersytecie Adama Mickiewicza na Wydziale Pedagogiczno – Artystycznym w Kaliszu na stanowisku profesora nadzwyczajnego. Od 2005r. jest samodzielnym wykładowcą Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu na Wydziale Pedagogiczno-Artystycznym w Kaliszu w Zakładzie Malarstwa i Teorii Sztuki. Wielokrotnie wyróżniana i nagradzana za twórczość artystyczną, posiada również wiele odznaczeń i nagród państwowych. Jej prace znajdują się z w zbiorach muzeów w Polsce i Europie oraz w zbiorach prywatnych w kraju i za granicą.



Na uroczystym spotkaniu w Galerii tkackiej na jatkach w dniu 3 lutego 2016 roku prof. Ewa Maria Poradowska - Werszler otrzymała Nagrodę Marszałka Województwa Dolnośląskiego za wybitne osiągnięcia w dziedzinie kultury. Za całokształt pracy twórczej i pedagogicznej oraz zasługi w propagowaniu sztuki włókna.



„Sztuka włókna plus ultra – wciąż dalej”- wernisaż wystawy 26 stycznia br.



TWARZĄ W TWARZ
WYSTAWA RENATY BONCZAR W KATOWICACH



MACIEJ SZCZAWIŃSKI



WYKRES

To może być obraz. Rzeźba. To może być f o t o g r a f i a. Zawsze jednak mamy do czynienia z magicznym lustrem, w którym przeglądamy się nadzieje, lęki, przeczucia, sny, ale też pozy i gry, którymi artysta prowadzi swój dyskurs ze światem. Z ludźmi. Z samym sobą. Ta rozmowa trwa już od średniowiecza i nic nie wskazuje na to, żeby kiedykolwiek miała się skończyć.

Bo gdy chodzi o ekspresję to wciąż daje przecież niesamowite możliwości, zwłaszcza kiedy chodzi o wiarygodność. Nie tylko artystyczną!

Niedawno usłyszałem gdzieś, że Jerzy Panek na pytanie dlaczego robi autoportrety odpowiedział: „Robię je, bo siebie znam najlepiej. To moje podstawowe zadanie”.

Ego sum. Można jeszcze powiedzieć: *ars longa vita brevi.*

Zapisuje się więc swoje krótkie życie w stosunku do wieczności.

Pewien patos, który nagle się tu zakrada, nie zmienia przecież istoty rzeczy: auto-portretowanie to ryzykowna podróż! Nie chcemy przeminąć, więc zapisujemy swoją obecność. Tym razem bez kurtyny "sposobu", "tematu", większego lub mniejszego kunsztu.

Ależ tak, to wszystko oczywiście się liczy, tyle tylko, że na pierwszym planie, niejako na proscenium, pojawia się obnażone, rozpoznawalne ja.

Trochę jak próbka DNA. Coś co ma wyodrębnić i wyłuskać z chaosu niekończących się modulacji (siebie znam najlepiej).

xxx

Renata Bonczar i jej autoportrety. Wybitna malarka prezentuje tym razem cykl swoich prac rozpięty formalnie między fotografią, grafiką i plakatem.

Zatem nowy ton. Nowa technika. Inne wyzwania i możliwości.

W przypadku artystów uznanych konwersje tego typu są raczej rzadkie, wiążą się bowiem z ryzykiem braku akceptacji

krytyki i publiczności. Jak wszelka nowość - eksperyment narusza przyzwyczajenie. Unieważnia oswojone tropy interpretacji.

Bonczar weszła w tę niebezpieczną przestrzeń śmiało i energicznie, z pasją kreowania nowych współbrzmień linii, koloru, rytmów i napięć, a le też z niemniej silną motywacją introspekcji. Analizy własnych stanów psychicznych, myśli i przemyśleń.

To niezwykle bogaty i fascynujący "wykres" ludzkiej i artystycznej samoświadomości: *ego sum!* Ja Renata Bonczar! Oto moja (rozpoznawalna) twarz. Oczy. Włosy. Usta. Ja Kobieta. Ja Artystka. Oto moje szaleństwa, przeczucia i fantazmaty. Oto moje lęki, ale też frenezje i igraszki z własną tożsamością. Moje maski, kostiumy, możliwości.

Ten kalejdoskop wcieleń wcale nie zaciera etycznie - intelektualnej prawdomówności przekazu. Kolejne „role”, cała ta pełna polotu i żyzna estetycznie "zabawa" w ujęcia może być przecież interpretowana w aspekcie już całkiem tragicznym ("Ja to Inny" - Rimbaud) i filozoficznym, że napomknę jedynie o relacji ciało - obraz, problemie alienacji podmiotu od jego obrazu, rozdziale podmiotu na różne alter ego, a także o heglowskiej idei obrazu, który jest bardziej n a m i niż my sami.

Odczytań może być zatem mnóstwo. Ale najbardziej naoczna jest rzecz jasna inwencja i polot w tworzeniu tych obrazów "ja - nie ja", od monochromatycznego konturu, przez konterfekty już jawnie "zdjęciowe", aż po wyrafinowaną grę powidoków.

Ryzykowna z definicji podróż, o której wspomniałem - dla Renaty Bonczar okazuje się wyprawą w kierunku nowych i fascynujących spełnień artystycznych.

Maciej Szczawiński
grudzień 2015 r.

DOMY DUSZY



RENATA BONCZAR
MALARSTWO
Stajnie Książęce w Pszczynie
19 stycznia – 15 maja 2016
SOUL HOUSES
RENATA BONCZAR. PAINTING
Prince's Stables in Pszczyna, 19 January – 15 May 2016



Redaktor Naczelny:

Joanna Krupińska-Trzebiatowska
e-mail: joanna.kt@poczta.fm
tel. 12 429 70 40

Sekretarz Redakcji:

Barbara Korta-Wyrzycka
e-mail: wyrzycka@pk.edu.pl

Kolegium Redakcyjne:

Józef Baran
Bolesław Faron
Ignacy S. Fiut
Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska
Ferdynand Nawratil
Tadeusz Skoczek
Marek Sołtysik
Danuta Sułkowska
Anna Szumowska-Chudzińska

Naukowa Rada Redakcyjna:

dr Edward Chudziński
prof. dr hab. Stefan Dousa
prof. dr hab. Bolesław Faron
prof. dr hab. Ignacy St. Fiut
prof. dr hab. Józef Lipiec
prof. dr hab. Ewa Okoń-Horodyńska
prof. dr hab. Jerzy Nowakowski
prof. dr hab. Elżbieta Stefańska-Kłyś
prof. dr hab. Zdzisława Tołoczko
prof. dr hab. Andrzej Ziębliński

Zdjęcia:

Andrzej Makuch

Korekta:

Barbara Korta-Wyrzycka
Danuta Sułkowska
Anna Szumowska-Chudzińska

Adres redakcji:

30-250 Kraków, ul. Gajówka 25
tel. 12 4297040

Wydawca:

Janusz Trzebiatowski
Stowarzyszenie Twórcze POLART
30-250 Kraków ul. Gajówka 25
tel. 12 4297040
ISSN 1731-9668
ISBN: 83-8664855-11-6

Druk:

Bikstudio Krzysztof Marek Szwaczka
Brzeście 30, 28-330 Wodzisław

Numer konta:

Stowarzyszenie Twórcze POLART
30-250 Kraków, ul. Gajówka 25 A
40 1240 4533 1111 0010 3142 4771



Projekt współfinansowany
ze środków Gminy Miejskiej Kraków

www.polart.org.pl



Renata Bonczar – *Powrót do przyszłości*, olej na płótnie, 92 x 100 cm

